www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 34 (1024)
19-25.08.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

CHŁOPCY **KS. JANKOWSKIEGO**

SEJNY: MULTI-KULTI NA CO DZIEŃ

MARCIN KOSZAŁKA
GÓRY, GÓRALE I GORALENVOLK

DR ANNA WÓJCICKA
NOWE TERAPIE W LECZENIU RAKA

PROKURATORZY POD BUTEM WŁADZY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
34 >
9 771509 311904

PROBLEMY DOROSŁYCH TO CIĘŻAR DLA DZIECI.

Razem możemy to zmienić.

SOS Wioski Dziecięce to **opieka zastępcza** oraz **działania profilaktyczne** w ramach **Programu SOS Rodzinie**.

Dowiedz się więcej na: **www.wioskisos.org**

Partner kampanii: onet

Patronat medialny: TVP 2

eprasa.pl 95b41e7ff6

CYTATY

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
redaktor naczelny
W '89 nikt o kapitalizmie nie mówił. Nikt go nie wybierał ani o niego nie pytał.
„Le Monde diplomatique"

PROF. JADWIGA STANISZKIS,
socjolog
Na dłuższą metę lata rządów PiS zostaną uznane za okres stracony.
„Polska The Times"

GRZEGORZ GAUDEN,
były dyrektor Instytutu Książki
Żart zagranicznego europosła: „Jak wam przez tyle lat udawało się udawać, że jesteście Europejczykami?".
„Polityka"

KATARZYNA HERMAN,
aktorka
Im człowiek starszy, tym mniejszą ma odwagę, żeby się zakochać.
„Pani"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Jak zatrudnić dobrego posła

Po co walki w błocie, skoro są kampanie wyborcze? Nie tylko u nas tak one wyglądają. Choć znajdowanie za granicą przykładów jeszcze gorszych i głupszych zachowań żadną pociechą nie jest. My, wyborcy, musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy polityka byłaby aż tak głupia, prymitywna i bezczelna bez aprobaty dużych grup społecznych. Wszyscy na to, co jest, narzekają. Ale gdy ich zapytać, na kogo zagłosują, gotowi są połknąć własny język. Czy można więc się dziwić, że politycy, dla których najważniejsza jest skuteczność, jadą po bandzie? Liczy się tylko efekt końcowy. Wybiorą na kolejną kadencję czy nie? Dobry polityk to ten, który został wybrany. A wartości? Wiedza? Kompetencje? Wygrywa fetysz krótkoterminowej skuteczności. I dlatego kandydaci do parlamentu szykują nam parotygodniowe fajerwerki. Czeka nas festiwal obietnic i parada przebierańców. Żeby temu nie ulec, warto sięgnąć po metody, jakie stosujemy przy zatrudnianiu pracowników. Bo przecież kandydaci na posłów i senatorów to ludzie, którzy mają wykonać dla nas bardzo trudną pracę. Wiemy, czego chcemy od parlamentu, od państwa i rządu. Dobierzmy więc takich ludzi, którzy dają nadzieję, że sprostają naszym oczekiwaniom.

Znajdą się tacy na listach wyborczych. Choć często nie na pierwszych miejscach. Jedynki obsadzają liderzy, kierując się swoimi interesami i partyjnymi zobowiązaniami, a nie kompetencją kandydatów. Jakoś nie udało mi się spotkać lidera, który by stawiał na potencjalnego rywala. Efekty tej kosiarki widzimy w parlamencie. Dominują posłuszni i bezbarwni. Tacy, którzy muszą się trzymać marynarki szefa.

Jeszcze w sierpniu będzie wiadomo, kto kandyduje. I dlaczego nam zawraca głowę.

Sejm to nie jest miejsce na start zawodowy pod hasłem „moja pierwsza praca" ani miejsce dla ludzi, którzy szukają lepiej płatnej posady. Dla weteranów walk też nie może być ostatnią przystanią.

To wiedzą wyborcy. Ale kandydaci z tych grup wystartują, bo nie mają nic do stracenia. Oni nie mają. Jednak wyborcy ryzykują bardzo dużo. Nadchodzą trudne czasy. Kumulują się napięcia międzynarodowe. Krach tej formy kapitalizmu, którą dziś mamy, jest nieuchronny. A niestety, liderzy polityczni w znacznej mierze są na poziomie zwycięzców „Big Brothera". Powierzanie im losu państw i narodów trąci szaleństwem.

I o tym powinniśmy na serio debatować, a nie tylko o tym, który polityk PiS czy PO jest większym oszustem, złodziejem lub kłamcą. Bo idąc tą drogą, wybierzemy ich klony.

Szanowni Czytelnicy,

9 sierpnia awaria techniczna u jednego z dostawców usług, z których korzystamy, oferując zakup książek, prenumeraty oraz subskrypcję, zmusiła nas do wstrzymania sprzedaży w sklepie internetowym PRZEGLĄDU. W tym czasie istniała możliwość bezpiecznego logowania się na konta, pobierania i czytania zakupionych już e-wydań i e-booków.

Po przeprowadzeniu testów i upewnieniu się, że wszystko działa prawidłowo, ponownie uruchomiliśmy sklep.

Bardzo przepraszamy za zaistniałą sytuację i wszystkie kłopoty, które wyniknęły nie z naszej winy.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 95b41e7ff6

W NUMERZE

KRAJ

8 **Prokuratura pod butem władzy**
– rozmowa
z prok. Katarzyną Kwiatkowską

14 **Sejny: multi-kulti na co dzień**
Antysemityzm przywożą turyści

18 **Otoczeni fermami**
Mieszkańcy boją się smrodu

21 **Co Polak robi na basenie**
Zwyczaje niegodne naśladowania

24 **Kajtek, Wojtek i Michał**
Podwójne życie ks. Jankowskiego

36 **Nie zaprzyjaźniać się, pozostać z boku**
– rozmowa z Julią,
pracownicą oragnizacji humanitarnej

KULTURA

28 **Góry, górale i Goralenvolk**
– rozmowa z Marcinem Koszałką

43 **Sztuka w miejscach śmierci**

44 **Qulturalia**

66 **Patryk Bułhak**
Zamknięte

ZAGRANICA

32 **Diabelski libijski młyn**
Wojna domowa od ośmiu lat

52 **Internetowi detektywi**
Po kawałku plastiku do sprawcy

54 **Sklep na głowie**

HISTORIA

40 **Przechytrzyć wroga**
Wojenna dezinformacja i kamuflaż

SPORT

46 **Na desce po medal**
Coraz więcej dyscyplin olimpijskich

ZDROWIE

48 **Nowe terapie w leczeniu raka**
– rozmowa z dr hab. Anną Wójcicką

EKOLOGIA

56 **Bielik – morski orzeł z polskiego godła**
Marek Pióro o ptakach

58 **Ogórek bio, ale w plastiku**
Na bakier z segregacją odpadów

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Jak zatrudnić dobrego posła

31 **Jan Widacki**
Głębokie rezerwy Platformy

35 **Roman Kurkiewicz**
Inwazja władzy a sadzenie drzew

45 **Tomasz Jastrun**
Żętyca i polityka

51 **Ludwik Stomma**
Jak ksiądz Skorupka ocalił Paryż

24
KRAJ

KAJTEK, WOJTEK I MICHAŁ
Podwójne życie ks. Jankowskiego

48
ZDROWIE

NOWE TERAPIE
W LECZENIU RAKA
– rozmowa
z dr hab. Anną Wójcicką

54
ZAGRANICA

SKLEP NA GŁOWIE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER, FORUM, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 95b41e7ff6

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Jak pisarze widzą polską transformację

Mec. Janusz Mazur
Trudna walka z pedofilią w Kościele

Piotr Szukalski, demograf
Należę do pokolenia JP2: „ja płacę dwa razy".

PiS ciągle mówi o godności. Jak to wygląda naprawdę?

Polska Rzeczywiście Ludowa

Kiedy studiowałem prawo, prowadzący zajęcia z przedmiotu teoria państwa i prawa młody asystent dwa razy powiedział nam, studentom z jego grupy, że on i jego dwaj bracia ukończyli studia (w latach 50. i 60.) dzięki pomocy państwa – tak krytykowanego, ośmieszanego, znienawidzonego przez wielu. Rodzice byli niewykształceni i biedni, mówił, ale on i bracia otrzymali wszystko, co było potrzebne, aby ukończyć studia – miejsce w akademiku i stypendium wystarczające na pokrycie wszystkich kosztów. Wystarczyło tylko chcieć się uczyć, sytuacja materialna rodziców nie miała zasadniczego znaczenia. Przed wojną, powtarzał, może jeden z nas – przy wielkim poświęceniu rodziców – ukończyłby studia. Po wielu latach uświadomiłem sobie, że ten asystent powiedział nam coś bardzo ważnego. Wszyscy słyszeliśmy żarty i kpiny z ludzi przenoszących się po wojnie ze wsi do miasta: że prymitywni, że słoma im z butów wystaje itd. Może tak bywało, ale ich dzieci – dzięki stworzonym przez PRL szansom – są inżynierami, prawnikami, lekarzami, naukowcami.

Andrzej

Ile razy polityk może zmieniać poglądy?

Polityk nigdy nie ujawnia swoich prawdziwych poglądów. Publicznie prezentuje takie, jakich oczekują przywódcy partii, do której należy lub chce wstąpić. Liczą się osobiste korzyści, pieniądze, stanowiska, pozycja, zaszczyty, dla których można być elastycznym. Politycy mogą wielokrotnie zmieniać poglądy. Wiele takich przykładów widziałam w ostatnich latach i widzę teraz. *Bożena Miernik*

•

Wszystko zależy od tego, dlaczego zmienia poglądy. Jeżeli pod wpływem naukowej, racjonalnej argumentacji, jest to nawet bardzo wskazane. Natomiast jeżeli kierują nim emocje bądź wyłącznie korzyści własnej kieszeni, wtedy jest to niewłaściwe. *Marcin T. Mądry*

•

Jeśli politykę zdefiniujemy jako sztukę zawiadywania kłamstwem, wówczas zmiana poglądów niektórych przedstawicieli tego światka będzie dla obserwatorów tego zjawiska czymś jak najbardziej naturalnym. *Ergo*: tyle razy, ile będzie tego wymagała sytuacja. Czyli potrzeba bycia wybranym na następną kadencję. *Artur Lewczuk*

•

Polityk nie zmienia poglądów. To poglądy zmieniają polityka. *Leszek Lachowiecki*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Urlop w Egipcie – stroje kąpielowe na basenie hotelowym w Hurgadzie.

FOT. ADAM STAŚKIEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 95b41e7ff6

Róża Thun, europosłanka PO, **wygrała proces z Ryszardem Czarneckim**, europosłem PiS, który porównał ją do szmalcowników. Wyrok jest nieprawomocny i Czarnecki zapowiada odwołanie. Nikczemnicy i paszkwilanci tak już mają.

Sąd Najwyższy wydał wyrok w sprawie spółki Press-Service Monitoring Media, którą pozwała spółka Infor Biznes, i orzekł, że **przegląd prasy** powinien mieć twórczy charakter i **nie może naruszać interesów twórców**. Co oznacza, że firmy stosujące tzw. *press clipping* muszą płacić za teksty prasowe, a nie zarabiać na ich kradzieży.

628 tys. obcokrajowców jest zatrudnionych w Polsce w formach, od których odprowadzane są składki emerytalne i rentowe ZUS. To o 20% więcej niż w roku 2018. 486 tys. ma obywatelstwo ukraińskie, 37 tys. białoruskie, a 9 tys. gruzińskie.

Radni klubu „My Kórniczanie" z Kórnika (woj. wielkopolskie) **zaprotestowali przeciwko występom** na dożynkach **Sławomira Świerzyńskiego i zespołu Bayer Full z powodu homofobii** lidera.

Po raz 25. został zorganizowany w Grochowicach (pow. głogowski) **festiwal Stachuriada, ku czci poety Edwarda Stachury**. Kultowej postaci młodzieży z lat 70. i 80. XX w.

Mamy w Polsce 22 mln chorych na nadwagę lub otyłość, 3 mln chorych na cukrzycę typu II, 8 mln ma wysokie nadciśnienie, a 12 mln stany przedrakowe.

Na 35 krajów służba zdrowia w Polsce została sklasyfikowana na 32. miejscu (Europejski Konsumencki Indeks Zdrowia). Za nami są tylko Węgry, Rumunia i Albania.

Premier Mateusz Morawiecki lubi regularność zachowań. **Przez 18 miesięcy każdego 18 dnia miesiąca latał wojskowymi i rządowymi samolotami do Krakowa na kolejne miesięcznice pogrzebu Marii i Lecha Kaczyńskich.**

Beata Mazurek, europosłanka PiS, pobyt w Brukseli zaczęła tak, że głupiej nie można było. **Powiedziała, że Szwedzi uciekają ze swojego kraju, aby w Polsce znaleźć spokój i normalność.** Nie wie, bidula, że za rządów PiS w latach 2017-2018 do Szwecji wyemigrowało ponad 8 tys. Polaków.

Stanisław Piotrowicz, poseł PiS, były prokurator, **został** przez „Newsweek" **złapany na kłamstwie w sprawie lotu z byłym marszałkiem Kuchcińskim z lekiem dla chorej żony**. Instytut Hematologii i Transfuzjologii zaprzeczył, że wydaje takie leki.

O 6,8% podrożała żywność w stosunku do ubiegłego lata.

PRZEBŁYSKI

Witek uczyć nie kazano

Jakieś pechowe są podejścia nowej pani marszałek do nauki. Elżbieta Witek nie przepadała za nauką już w szkole średniej. A za historią to już w ogóle. Zasłynęła więc rewelacyjnym odkryciem, że „prawdy o zbrodni w Katyniu i pakcie Ribbentrop-Mołotow dowiedziała się z przedwojennych gazet i książek historycznych". Może znajdzie je znana z cudownych odkryć Kancelaria Sejmu? Ale na razie na rozpoczęcie roku szkolnego pani marszałek nie powinna się wybierać. Uczniowie bywają dociekliwi.

Dusza Jędraszewskiego

Trzeba mieć tupet! Tylko tak można skomentować apel abp. Marka Jędraszewskiego „Ratujmy polską duszę". Tłumu ratowników jakoś nie widać. Ludzie pamiętają Jędraszewskiemu, co robił gdy abp Paetz molestował w Poznaniu kleryków i kogo jeszcze się dało. Pamiętają, że wówczas Jędraszewskiego dusza nie bolała. Pamiętają też, że dusza Jędraszewskiego była głucha na krzywdy ofiar księży pedofilów w każdej diecezji, w której pracował. Wiedzą, że jego dusza jest kompletnie niewrażliwa na afery obyczajowe i kryminalne kleru.
Może więc zamiast ratowania duszy narodu na dobry początek Jędraszewski uratuje swoją duszę? Bo jak nie, to piekło czeka.

Kochają, ale prawie za darmo

Dobrobyt idzie za reklamami spółek skarbu państwa i agencji rządowych. Jeśli kochasz władzę, to masz. Jak tygodniki „Sieci" i „ Gazeta Polska", które aż puchną od ogłoszeń. Ale można kochać PiS i mieć tylko na przetrwanie. Jak tygodnik Lisickiego „Do Rzeczy". W numerze 27. miał tylko dwie kolumny Polskiego Funduszu Rozwoju. Takie baju-baj o korzyściach z pracowniczych planów kapitałowych. Zabrakło tylko dopowiedzenia, że korzyści będą mieli ci, którzy ściągną kasę od naiwnych. A dlaczego Lisicki dostaje coraz mniej? Bo za głównym właścicielem jego spółki w PiS nie przepadają.

Lokator na kolanach

Lokator nie może się nudzić. Musi mieć niespodzianki. Szczególną atrakcję mają lokatorzy Krynickiej Spółdzielni Mieszkaniowo-Lokatorsko-Własnościowej z Krynicy-Zdroju. Nasz czytelnik mieszkający na ósmej kondygnacji bez windy zastał taką niespodziankę. Jak wszedł do mieszkania? To proste. Wczołgał się dołem.

FOT. TABLOIDONLINE, DEMOTYWATORY, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl/c/241e7ff6

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak skutecznie walczyć z otyłością?

MAGDALENA GAJDA,
Fundacja Osób Chorych na Otyłość OD-WAGA

Nie mówmy o walce, tylko o leczeniu tej choroby. W Polsce na otyłość choruje 7,3 mln osób, dlatego nie ma już czasu na profilaktykę – potrzebny jest narodowy program leczenia otyłości. W przypadku otyłości I i II stopnia podstawą leczenia są zmiana sposobu odżywiania, odpowiednia aktywność ruchowa oraz leki recepturowe wspierające redukcję masy ciała. Otyłość III stopnia leczy się chirurgicznie. Co istotne, leczenie nadwagi i otyłości powinno być prowadzone przez specjalistę obesitologa. W Polsce jest ich kilkunastu, ale dochodzi do tego ponad 400 lekarzy innych specjalności przeszkolonych przez Polskie Towarzystwo Badań nad Otyłością. Oczywiście obesitolog powinien współpracować z dietetykiem, fizjoterapeutą i psychologiem, a jeśli konieczne jest także leczenie chorób będących następstwami otyłości – ze specjalistami w ich zakresie.

IWONA KIBIL,
dietetyczka, Wegecentrum

Osoby otyłe mogą być jednocześnie niedożywione, jeśli spożywają dużo produktów wysoko przetworzonych i mało warzyw oraz owoców. Z tego powodu największe korzyści mogłyby odnieść z posiłków o wysokiej wartości odżywczej, a nie kaloryczności (np. w porcji brokuła o wartości energetycznej 100 kcal znajduje się dużo więcej składników odżywczych w porównaniu z analogiczną porcją kotleta). Tzw. wysoką gęstością odżywczą cechują się rośliny, szczególnie zielone warzywa liściaste, inne warzywa, nasiona roślin strączkowych. Niską natomiast – produkty pochodzenia zwierzęcego, szczególnie tłuste mięsa i sery. Z tego powodu osoby na diecie roślinnej mają najniższą masę ciała i najniższe ryzyko wystąpienia chorób przewlekłych związanych z otyłością.

DR HAB. MARIUSZ WYLEŻOŁ,
specjalista w zakresie chirurgicznego leczenia otyłości

Nie znam odpowiedzi na pytanie, jak zapobiegać rozwojowi epidemii otyłości. Wszelkie starania w tym kierunku – i to krajów znacznie zamożniejszych i bardziej rozwiniętych pod względem medycznym niż Polska – spełzły na niczym. Dzieje się tak dlatego, że współczesnej medycynie nie są znane przyczyny rozwoju otyłości, rozumianej nie jako nadmiar kilogramów, ale jako zaburzenie samoregulacji energetycznej organizmu. Objadanie się i niewielka aktywność fizyczna są skutkiem otyłości, a nie jej przyczyną. To choroba sprawia, że jemy za dużo, a niewykluczone również, że to przez nią ruszamy się za mało. Należy pamiętać, że otyłość zabija i – jak inne choroby – wymaga pomocy lekarskiej.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
MICHAŁ ŁUKSA

Nakazać ograniczenie zawartości cukru i syropu glukozowo-fruktozowego w produktach spożywczych. Zachęcać młodzież do wysiłku fizycznego, wspierać rozwój sportu amatorskiego, zwiększać dostępność ścieżek rowerowych i rowerów miejskich. Tworzyć tereny zielone w miastach. Współfinansować zdrowe posiłki w szkołach.

FRANCISZEK VETULANI

Niezależnie od tego, jak chcemy zmierzyć się z problemem otyłości, nie można dezawuować osób otyłych, wytykać ich palcami, wyśmiewać, dokuczać. Czym innym jest działanie na rzecz poprawienia diety czy zwiększenia aktywności fizycznej w społeczeństwie, a czym innym pozbawione elementarnej wrażliwości wycieczki osobiste, które mają na celu obniżenie czyjejś samooceny przez to, że ma ciało niewpisujące się w przyjęty kanon czy ideał.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 95b41e7ff6

Prokuratura pod butem władzy

Prokuraturę wykorzystuje się do załatwiania partykularnych interesów i do walki politycznej przed wyborami

Rozmawia Andrzej Dryszel

KATARZYNA KWIATKOWSKA
– prokurator Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, wiceprezes Stowarzyszenia Prokuratorów „Lex Super Omnia", współautorka raportu „Królowie życia w prokuraturze »dobrej zmiany«".

Jak obecna władza traktuje prokuraturę?

– Wykorzystuje ją do załatwiania swoich partykularnych interesów oraz – zwłaszcza w związku z nadchodzącymi wyborami – do walki politycznej. Tym dwóm celom służyła wymiana kadrowa dokonana na mocy nowej ustawy Prawo o prokuraturze, przyjętej w 2016 r. Gdy tworzono tę ustawę, zapewniano, że ma ona poprawić funkcjonowanie prokuratury oraz spowodować szybsze i sprawniejsze prowadzenie postępowań przygotowawczych. Nie podjęto jednak żadnych działań organizacyjnych ani prawnych, aby to osiągnąć. Po trzech latach widać już więc wyraźnie, że chodziło właśnie o wymianę kadr.

O jakich partykularnych interesach może być mowa?

– Na przykład pan prokurator generalny próbuje wykorzystywać prokuraturę w swoich prywatnych sprawach, nie mogąc pogodzić się z tym, że nikt nie ponosi odpowiedzialności za śmierć jego ojca. Dlatego Prokuratura Regionalna w Katowicach wszczęła śledztwo w sprawie sędzi Agnieszki Pilarczyk (uniewinniła oskarżanych lekarzy), podając jej personalia, chociaż nie miała przedstawionych zarzutów. Gdy trzyosobowy zarząd stowarzyszenia „Lex Super Omnia" ocenił to krytycznie, wszczęto z kolei postępowanie dyscyplinarne przeciw członkom zarządu.

Prokurator Waldemar Osowiecki kierował Prokuraturą Okręgową w Płocku, która w 2008 r. przedstawiła zarzut przekroczenia uprawnień panu Zbigniewowi Ziobrze. To postępowanie umorzono w 2009 r., ale w 2016 r., po nastaniu „dobrej zmiany", pan Osowiecki został natychmiast delegowany w dół, do prokuratury rejonowej.

Mamy też głośną sprawę obywatela austriackiego, który od stycznia tego roku domaga się zainicjowania postępowania w związku z nieotrzymaniem zapłaty za prace przy projekcie budowy dwóch wieżowców. Pani prokurator Renata Śpiewak wciąż nie podejmuje decyzji o wszczęciu śledztwa lub jego odmowie, naruszając w ten sposób przysługujące każdemu obywatelowi prawo do sądu, co jest absolutnie naganne. Pani prokurator twierdzi, że cały czas uzupełnia materiał i nie wie, czy ma wszcząć postępowanie, czy nie. W Kodeksie postępowania karnego jest przepis, że w ciągu 30 dni należy podjąć decyzję o wszczęciu lub odmowie wszczęcia postępowania. Gdy prokuratorzy przekraczali ten termin, wszczynano postępowania wyjaśniające, musieli pisać oświadczenia, dlaczego tak się stało. Natomiast pani prokurator Śpiewak otrzymała 10 tys. zł nagrody mimo niedługiego stażu oraz wyższy tytuł: prokuratora prokuratury okręgowej – stąd jej bezstronność może budzić wątpliwości.

Czy pani prokurator Śpiewak sama się domyśliła, jak postąpić, czy może ktoś jej zasugerował, że pośpiech nie jest tu wskazany?

– Dowodów na to nie ma, ale trudno mi uwierzyć, że prokurator sam

Prokurator z niedługim stażem zawodowym, delegowany z Prokuratury Rejonowej w górę, może być bardziej podatny na różne sugestie.

eprasa.pl 95b41e7ff6

nie potrafi ocenić, czy ma wszcząć postępowanie, czy nie. Brak takiej decyzji musi jednak budzić poważne zastrzeżenia.

Na czym polega używanie prokuratury do walki politycznej?

– Chodzi m.in. o podejmowanie przez prokuraturę wielu umorzonych kiedyś postępowań – np. przeciw panu Sławomirowi Neumannowi, posłowi PO i byłemu wiceministrowi zdrowia (umorzono je w grudniu 2014 r., podjęto w grudniu 2018 r.) czy panu Jackowi Kapicy, byłemu szefowi Służby Celnej (umorzono w marcu 2017 r., wznowiono w grudniu 2017 r.) W obu tych przypadkach zarzutem było niedopełnienie obowiązków. Jackowi Kapicy kuriozalnie postawiono zarzut z art. 231 par. 2 kk (niedopełnienie obowiązków w celu osiągnięcia korzyści), przypisując mu niejako wartość całego VAT-u wyłudzonego wówczas w Polsce. Chodziło o to, by zdążyć przed terminem przedawnienia, bo zarzut czynu z art. 231 par. 1 kk (niedopełnienie obowiązków, ale bez zamiaru osiągnięcia własnej korzyści) już się przedawnił.

Prokurator krajowy Bogdan Święczkowski odpowiada za politykę kadrową w prokuraturze.

z materiałem dowodowym. To ocenia sąd, a sąd uznał zatrzymania byłych członków KNF za całkowicie bezzasadne. Skoro ta sprawa została umorzona już za czasów pana Zbigniewa Ziobry, a potem znów podjęta, to trudno mówić o racjonalnym uzasadnieniu zatrzymania pana Kwaśniaka o godz. 6 rano, zakucia go w kajdanki, transportowania z Warszawy do Szczecina i zorganizowania w międzyczasie, gdy nie miał postawionych żadnych zarzutów, konferencji prasowej, na której prokurator krajowy pan Bogdan Święczkowski mówił, że to jest dopiero prawdziwa afera. Tak właśnie wygląda wykorzystywanie mediów i prokuratorów do własnych celów, w dodatku z zastosowaniem środku przymusu, jakim jest zatrzymanie. Niestety, są prokuratorzy, którzy na to się godzą.

Może nie chcą pamiętać, że prokurator to nie tylko oskarżyciel, ale także strażnik praworządności?

– No właśnie, mówią o tym rekomendacje unijne. Karta Rzymska, dokument określający status i standardy prokuratury w Unii Europejskiej, stwierdza jednoznacznie, że powinna ona służyć społeczeństwu i interesowi publicznemu. Oceniam, że obecnie mamy niestety folwark pańszczyźniany, na którym jest feudał i podlegli mu prokuratorzy. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że całe środowisko zachowuje się jak poddani. Jest część prokuratorów rzetelnie wykonujących swoje obowiązki, zgodnie z duchem i literą prawa. Niestety, na ocenę prokuratury rzutują zachowania budzące duże kontrowersje i sugerujące, że większość prokuratorów jest wykorzystywana do wykonywania wszelkich zlecanych im zadań.

Kim są ci zlecający? Czy to tylko panowie Ziobro i Święczkowski, czy też są oni przekaźnikami, a decyduje ktoś wyżej?

– Dziś do szefa każdej prokuratury może zadzwonić ktoś z góry i coś mu zlecić, a jeśli ten się nie podporządkuje, na drugi dzień może już nie być szefem. Nie mamy dowodów na to, kto komu przekazuje polecenia. Jeżeli jednak w 2016 r. weszła w życie „reforma" prokuratury, która się zaczęła od wymiany wszystkich prokuratorów, ówcześnie apelacyjnych, a dziś nazywanych regionalnymi (zmieniono

Przenosi się sprawy z jednej prokuratury do drugiej. W przypadku Wojciecha Kwaśniaka właściwa była prokuratura w Warszawie, ale sprawę przekazano do Szczecina.

Przenosi się też sprawy z jednej prokuratury do drugiej. W przypadku Wojciecha Kwaśniaka, byłego wiceprzewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego (też zarzucono mu niedopełnienie obowiązków), właściwa była prokuratura w Warszawie, ale sprawę przekazano do Prokuratury Regionalnej w Szczecinie. Na jej polecenie Wojciech Kwaśniak, poprzedni szef KNF Andrzej Jakubiak i kilkoro innych byłych urzędników komisji zostało zatrzymanych w grudniu 2018 r. W KNF badali nieprawidłowości w Spółdzielczych Kasach Oszczędnościowo-Kredytowych. Mogę więc mieć podejrzenia, że być może prokuratorzy wydają jakieś decyzje, które nie są zgodne

Liczba postępowań prokuratorskich według czasu ich trwania

	Od 6 miesięcy do roku	Od roku do 2 lat	Powyżej 2 lat	Powyżej 5 lat
2014	3787	927	474	75
2016	7419	1933	833	173
2018	13 120	3410	1721	263

Dane te pokazują, że w porównaniu z rokiem 2014 liczba spraw długotrwałych wzrosła o ok. 250-260%.

Źródło: LSO

eprasa.pl 95b41e7ff6

nazwę po to, żeby zrobić czystki), wszystkich szefów prokuratur okręgowych oraz 95% kadry kierowniczej w prokuraturach rejonowych, czemuś miało to służyć. Tak samo jak zniesienie kadencyjności na stanowiskach szefów i zastępców szefów prokuratury, zapewniającej jakąś niezależność i swobodę dyskusji z przełożonymi.

A panią za co zdegradowano?

– Pracowałam w prokuraturze apelacyjnej, pismo pana Zbigniewa Ziobry mówiło jedynie, że zostaję przeniesiona do prokuratury okręgowej. Prosiłam pana Ziobrę o podanie powodów degradacji, ale moje pisma pozostawały bez odpowiedzi. Zapewne chodzi o to, że w prokuraturze apelacyjnej nadzorowałam śledztwo w sprawie afery gruntowej, a potem byłam wzywana na komisję sejmową ds. nacisków na policję i służby specjalne, gdzie dość krytycznie oceniałam prawidłowość prowadzenia postępowań i postawę panów prokuratorów Andrzeja Szeligi i Dariusza Barskiego, zaufanych pana Ziobry. Zapewne dlatego zostałam wciągnięta na czarną listę. Byłam w grupie 113 prokuratorów zdegradowanych wkrótce po objęciu stanowiska prokuratora generalnego przez pana Zbigniewa Ziobrę (doszło jeszcze 20 osób z dawnej Prokuratury Wojskowej). Pan Szeliga po nastaniu „dobrej zmiany" został szefem Prokuratury Regionalnej w Warszawie i od razu otrzymał tytuł prokuratora Prokuratury Krajowej. Pan Dariusz Barski jest doradcą pana Ziobry, a obrazy malowane przez jego małżonkę zostały zakupione na wyposażenie gabinetu prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego.

Czym podpadła ta spora grupa zdegradowanych prokuratorów?

– Część z tych, którzy byli funkcyjnymi, została odwołana, żeby zwolnić stanowiska dla prokuratorów awansowanych w ramach „dobrej zmiany". Pozostali – zwykle dlatego, że kiedyś wyrażali odmienne zdanie lub dyskutowali z obecnymi szefami prokuratury, no i zostało im to zapamiętane. Inicjowane są postępowania dyscyplinarne wobec tych, którzy mają swój pogląd, opinię i wyrażają je publicznie, kierując się dobrem wymiaru sprawiedliwości. W każdej chwili mogą się spodziewać drobiazgowej kontroli za wiele lat wstecz. Ma to wywołać efekt mrożący: lepiej nie podnoś głowy, nie miej własnego zdania, bo spotka cię to samo.

Jaki jest stan wiedzy w środowisku o odgórnych naciskach na prokuratorów?

– To wiedza z rozmów kuluarowych, których nikt oficjalnie nie potwierdzi, a oświadczenia mówiące o tym, że naciski rzeczywiście się zdarzają, są karane. Przykładem jest Mariusz Krasoń, który był jednym z inicjatorów przyjęcia przez Zgromadzenie Prokuratorów Prokuratury Regionalnej w Krakowie uchwały krytykującej ograniczanie niezależności prokuratorów poprzez wpływanie na ich decyzje z pominięciem drogi służbowej. Ponosi za to konsekwencje – pan prokurator krajowy Bogdan Święczkowski delegował go bez jego zgody z Prokuratury Regionalnej w Krakowie do Prokuratury Rejonowej we Wrocławiu, czyli na najniższy szczebel, 270 km od domu. Na razie do 7 stycznia 2020 r.

Zwykły obywatel musi bardzo długo czekać na rozpoznanie swojej sprawy i przestaje wierzyć w skuteczność wymiaru sprawiedliwości.

Prokuratura „dobrej zmiany"

Stowarzyszenie Prokuratorów „Lex Super Omnia" przygotowało raport, pokazujący patologiczne sytuacje związane z polityką kadrową, do której sprowadza się pisowska „reforma prokuratury". By ją realizować, zniesiono kadencyjność na stanowiskach kierowniczych i konkursy na wyższe stanowiska służbowe. W rezultacie, jak stwierdza stowarzyszenie, prokuratorzy wierni i lojalni zastąpili na stanowiskach kierowniczych prokuratorów niezależnych, doświadczonych i kompetentnych, z charakterem.

Narodziła się grupa beneficjentów „dobrej zmiany", którzy w ciągu trzech ostatnich lat zyskali najwięcej pod względem finansowym i awansowym.

„Dobra zmiana" w prokuraturze sprawiła, że z instytucji mającej stać na straży prawa i strzec praworządności stała się ona narzędziem w rękach rządzących do realizacji ich interesów partyjnych. Obowiązek stania na straży prawa i praworządności zastąpiono podporządkowaniem się politykom partii sprawującej dziś władzę.

Stowarzyszenie zarzuca prokuratorowi krajowemu Bogdanowi Święczkowskiemu, że w działaniach podejmowanych w imieniu prokuratora generalnego przekracza prawo, a z postępowania dyscyplinarnego i decyzji kadrowych uczynił narzędzie osobistej zemsty, wykorzystywane jako metoda pozaprawnych szykan i zastraszania prokuratorów.

Dewastowanie prokuratury spowodowało, że staje się ona coraz kosztowniejsza, a jednocześnie nastąpił nieuchronny spadek jej sprawności działania – oczywiście z wyjątkiem działań wobec osób, które podpadły władzy. Postępowania przygotowawcze trwają coraz dłużej, prowadzone są ślamazarnie, obywatele mają coraz mniej szans, by skorzystać z usług wymiaru sprawiedliwości. Wszystko to zagraża praworządności i prawom obywatelskim. To jeden z bardziej dotkliwych sposobów ograniczania demokracji w Polsce.

Awanse i powiązania

- Na najwyższe funkcje awansowani są prokuratorzy, którzy byli zmuszeni wyjaśniać przed komisjami śledczymi lub w odrębnych postępowaniach zasadność podejmowanych przez siebie czynności w sprawach z lat 2005-2007.
- **Bogdan Święczkowski**, **Krzysztof Sierak**, **Jarosław Hołda** oraz **Tomasz Janeczek** wyjaśniali swój wpływ na przebieg śledztwa lub tragiczne w skutkach zatrzymanie Barbary Blidy.
- Na wyższe stanowiska awansowała połowa liczącego 30 członków Stowarzyszenia Prokuratorów **Ad Vocem** związanego ze Zbigniewem Ziobrą. Do Ad Vocem należy pięciu zastępców prokuratora generalnego: Bogdan Święczkowski, Marek Pasionek, Krzysztof Sierak, Robert Hernand i Przemysław Funiok.

eprasa.pl 95b41e7ff6

Prok. Dariusz Barski jest doradcą Zbigniewa Ziobry. Prok. Andrzej Szeliga został szefem Prokuratury Regionalnej w Warszawie i otrzymał tytuł prokuratora Prokuratury Krajowej.

Już tam się przeniósł z Krakowa?

– Jest na urlopie wypoczynkowym, w Prokuraturze Rejonowej Wrocław-Krzyki Zachód ma się stawić 23 września. Brakuje tam siedmiu prokuratorów, bo cała ta siódemka jest na delegacjach w jednostkach wyższego szczebla. Niektórzy w okręgu, niektórzy w regionie, niektórzy w Prokuraturze Krajowej. Proszę zobaczyć, jakie to powoduje koszty. Mariusz Krasoń musi we Wrocławiu wynająć mieszkanie (na co przysługuje mu ryczałt), dostanie diety za dojazdy. Będzie to kosztować minimum 4 tys. zł miesięcznie. Cała siódemka prokuratorów z rejonu Wrocław-Krzyki Zachód też dostaje dodatkowe pieniądze, ale sporo więcej niż 4 tys. zł miesięcznie, bo są delegowani wyżej.

W porównaniu z 2014 r. stale przybywa postępowań trwających już nie miesiącami, ale latami.

Przepisy mówią, że delegowanie powinno być stosowane wyjątkowo i z uwzględnieniem kompetencji prokuratora. Prokurator Krasoń zajmował się karuzelami podatkowymi, wielkimi wyłudzeniami kredytów czy zamachem terrorystycznym na najwyższe władze państwowe przygotowywanym przez Brunona K. Trafi zaś do prokuratury rejonowej, gdzie są prowadzone drobniejsze sprawy – po to, żeby z niskich pobudek wymierzyć mu substytut kary dyscyplinarnej.

Szefostwo jest łaskawe, wprawdzie niepokornych prokuratorów deleguje w dół, ale zostawia im dotychczasowe zarobki.

– Takie są przepisy, z tym że oczywiście nie mają oni szans na jakąkolwiek podwyżkę i wyższe stawki, jak inni prokuratorzy. Niektórzy już z tych delegacji nie wracają. Prokurator Dariusz Wituszko został oddelegowany ze Szczecina do Rzeszowa (830 km), do domu wracał w weekendy. Zmarł na zawał. Oczywiście nie wykażemy związku przyczynowo-skutkowego, ale ta delegacja mogła być czynnikiem stresogennym.

• **Katarzyna Fedeńczuk** – powołana na stanowisko prokuratora Prokuratury Okręgowej w Lublinie po 41 dniach uzyskała tytuł prokuratora Prokuratury Regionalnej w Lublinie.

• **Wojciech Wassermann** – brat posłanki Małgorzaty Wassermann, prokurator Prokuratury Rejonowej Prądnik Biały w Krakowie po 13 miesiącach został powołany na stanowisko prokuratora Prokuratury Okręgowej w Krakowie.

• **Paweł Wilkoszewski** – prokurator Prokuratury Okręgowej w Warszawie, były asystent Zbigniewa Ziobry, po niespełna 13 miesiącach powołany na stanowisko prokuratora Prokuratury Regionalnej w Warszawie i oddelegowany do Prokuratury Krajowej.

• **Wojciech Matura** – prokurator Prokuratury Rejonowej w Cieszynie po niespełna dwóch miesiącach został delegowany do Prokuratury Regionalnej w Katowicach.

Delegacje i degradacje

• Łącznie na delegacjach we wszystkich jednostkach prokuratury było 1102 prokuratorów, natomiast według danych Prokuratury Krajowej – 789 prokuratorów.

• Prokurator generalny arbitralnymi decyzjami przeniósł 22 prokuratorów Prokuratury Generalnej i 91 prokuratorów prokuratur apelacyjnych na niższe stanowiska służbowe. Tym samym osoby te zostały zdegradowane na zawsze.

• Degradacja dotknęła prokuratorów likwidowanej prokuratury wojskowej, którzy brali udział w prowadzeniu śledztwa w sprawie katastrofy lotniczej w Smoleńsku.

• **Piotr Skiba** – prokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście, który wszczął postępowanie w sprawie znieważenia I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzaty Gersdorf przez dziennikarza telewizji publicznej Cezarego Gmyza, został delegowany do Prokuratury Rejonowej w Grodzisku Mazowieckim.

Zaniechania prokuratury

• Prokuratury w Białymstoku i we Wrocławiu umarzały postępowania w sprawie antysemickich wypowiedzi Jacka Międlara.

• **Prok. Justyna Pilarczyk** na polecenie zastępcy prokuratora regionalnego we Wrocławiu Jerzego Duplagi cofnęła własny akt oskarżenia i umorzyła postępowanie przeciwko szefowej ONR Justynie Helcyk, która na wiecu wzywała do powstrzymania „islamskiego ścierwa, przybyłego do Europy, by gwałcić białe kobiety".

Na podstawie raportów Stowarzyszenia „Lex Super Omnia": *Prokuratura pod specjalnym nadzorem* i *Królowie życia w prokuraturze „dobrej zmiany"*

eprasa.pl 95b41e7ff6

Szefowie prokuratury tłumaczą, że delegacje do niższych jednostek to nie żadne represje, lecz sposób na ograniczanie braków kadrowych.

– Przyczyną braków kadrowych jest przede wszystkim brak racjonalnej polityki kadrowej, za co odpowiadają prokurator krajowy i prokurator generalny. Liczba delegacji wzrosła niebotycznie, nie tylko na dół, ale i w górę. Prokuratorzy dobrze widziani przez kierownictwo są delegowani ze swoich jednostek do wyższych instancji, gdzie lepiej zarabiają, więc w tych niższych brakuje ludzi. W 2017 r. na delegacjach w prokuraturach okręgowych i regionalnych pracowało łącznie 507 osób, a do Prokuratury Krajowej delegowano 282 (podczas gdy samych prokuratorów Prokuratury Krajowej było tylko 61). W zeszłym roku liczba prokuratorów Prokuratury Krajowej wzrosła do 64, a delegowanych do niej – aż do 356. Prokuratorów na delegacjach w prokuraturach okręgowych i regionalnych było natomiast już 924. To ogromna liczba delegowanych, co powoduje systematyczny wzrost wydatków na ich wynagrodzenia. Tylko w ubiegłym roku zwiększyły się one o ponad 38 mln zł.

Po co ich aż tylu w tych wyższych prokuraturach?

– Według oficjalnych wyjaśnień wynika to z faktu, że im wyższa jednostka, tym więcej spraw trudnych, skomplikowanych i wielowątkowych (np. gospodarczych). Tworzy się niekiedy zespoły śledcze, zdarza się, że jedną sprawą zajmuje się kilku prokuratorów. Dotyczy to zwłaszcza spraw najbardziej medialnych i mających zabarwienie polityczne. Rozbudowywane są działy nadzoru nad prokuraturami niższych szczebli. Jest to również sposób nagradzania, bo wśród delegowanych jest wielu prokuratorów z bliskiego obecnej władzy stowarzyszenia Ad Vocem.

Jak zmiany wprowadzane przez PiS w prokuraturze wpływają na sprawność jej działania?

– Zdecydowanie ujemnie, wyniki są fatalne. W porównaniu z 2014 r. stale przybywa postępowań trwających już nie miesiącami, ale latami. To jest tragedia, bo zwykły obywatel musi bardzo długo czekać na rozpoznanie swojej sprawy i przestaje wierzyć w skuteczność wymiaru sprawiedliwości w Polsce. A wraz z długotrwałością prowadzonych spraw wydłużają się też tymczasowe aresztowania w postępowaniu przygotowawczym.

Mam swój miernik pokazujący ciągłe wydłużanie się postępowań: śledztwo w sprawie śmierci Jolanty Brzeskiej. Niemal równo trzy lata temu Zbigniew Ziobro wznowił śledztwo i oznajmił, że są nowe dowody. Śledztwo było już przedłużane, o dowodach głucho, jakichkolwiek efektów brak.

– Gdyby były efekty, to już by się nimi dawno pochwalił. To tak samo jak z poszukiwaniem zleceniodawców zamordowania Krzysztofa Olewnika. Ta sprawa była przenoszona z jednej prokuratury do drugiej, w ubiegłym roku trafiła z Gdańska do Krakowa. Zastanawiam się, czy nie jest tak, że prokuratorzy zamierzali ją umorzyć, ale ktoś z góry uznał, że przed wyborami byłoby to źle odebrane, więc zdecydowano o jej dalszym trwaniu. Sprawa liczy setki tomów, a zatem minie sporo czasu, zanim nowy prokurator gruntownie ją przeanalizuje.

Prok. Mariusz Krasoń został delegowany z Prokuratury Regionalnej w Krakowie do Prokuratury Rejonowej we Wrocławiu. Prok. Waldemar Osowiecki kierował Prokuraturą Okręgową w Płocku, delegowano go do prokuratury rejonowej.

Kim są prokuratorzy idący w górę w czasie „dobrej zmiany", których raport stowarzyszenia „Lex Super Omnia" określa mianem królów życia?

– Nazwa królowie życia dotyczy grupy szczególnie wyróżnianej przez obecne kierownictwo prokuratury. To najczęściej osoby z układu towarzysko-koleżeńskiego, wykazujące wierność i lojalność, które powołano na stanowiska kierownicze i obdarzono funkcjami, ale także i młodzi, pragnący szybko zrobić karierę. Przyznaje się im rokrocznie nagrody finansowe, czasem zawierane są z nimi umowy cywilnoprawne przez instytucje spoza prokuratury. Dla mnie jest to wysoce naganne, bo można mieć wątpliwości, czy wykonywanie zadań w ramach takich umów nie koliduje z prawidłowym realizowaniem podstawowych obowiązków służbowych przez prokuratorów.

Na jakie profity mogą liczyć wybrańcy?

– Niezależnie od wspomnianych umów, w przypadku delegowania z prokuratury rejonowej do Prokuratury Krajowej podstawowe wynagrodzenie wzrasta o ok. 5 tys. zł miesięcznie. Do tego dochodzą dodatki specjalne (czasem nawet jedna trzecia pensji) przyznawane w Prokuraturze Krajowej. Ponadto jeśli delegowany prokurator jest spoza Warszawy, otrzymuje nieopodatkowany

Jest część prokuratorów, która rzetelnie wykonuje swoje obowiązki. Niestety, na ogólną ocenę prokuratury rzutują zachowania budzące duże kontrowersje.

eprasa.pl 95b41e7ff6

ryczałt mieszkaniowy w wysokości ok. 3 tys. zł. Dla prokuratora rejonowego to potężny zastrzyk finansowy. Pozbywa się on jednocześnie ogromnej liczby spraw (prokuratorzy w rejonie mają w referacie nawet od 80 do 120 spraw miesięcznie), bo w Prokuraturze Krajowej zajmuje się głównie nadzorem. Obowiązków jest więc dużo mniej, a zarobki znacznie wyższe. Dochodzą jeszcze nagrody finansowe wprowadzone przez Prawo o prokuraturze. Prokurator generalny, zgodnie ze swoim zarządzeniem, może je przyznawać „za wyjątkowo sumienną i rzetelną pracę". Takie określenie pozwala na ogromną dowolność w nagradzaniu i prokurator generalny przyznaje je w sposób uznaniowy i całkowicie dowolny, nie ma tu żadnych kryteriów.

Trudno krytykować to, że prokurator generalny może nagradzać swoich podwładnych.

– Za czasów prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta takich nagród nie było, zostały wprowadzone w 2016 r., po nastaniu „dobrej zmiany". Nie ma transparentności ani jawności w nagradzaniu (tak jak i w awansach), a to w środowisku prokuratorskim budzi poważne wątpliwości co do rzetelności przyznawania tych nagród – zwłaszcza że dzieje się to potajemnie. Wedle wiedzy autorów raportu stowarzyszenia „Lex Super Omnia" przyznawane są one raz do roku, wynoszą od 7 do 12 tys. zł. Największą w sumie liczbę nagród finansowych dostają prokuratorzy zajmujący kierownicze stanowiska w Prokuraturze Krajowej oraz ci, którzy są delegowani do wyższych jednostek. W prokuraturach rejonowych, gdzie załatwia się prawie 99% spraw, nagrody otrzymało słownie trzech prokuratorów. Dla mnie to po prostu nieuczciwe.

Czy na prokuratorów hołubionych przez obecną ekipę też wywiera się naciski?

– Naciski, zwłaszcza miękkie, nie mają nic wspólnego z poleceniem, które ma charakter oficjalny i udokumentowany na papierze. Szefowie proszą do siebie prokuratora zajmującego się jakąś ważną dla nich sprawą, najlepiej delegowanego, i mówią mu w cztery oczy: „Pan chciał umorzyć tę sprawę, ale może warto, żeby pan ją jeszcze raz przeanalizował. Niedługo kończy się panu delegacja u nas, jeśli potrzebuje pan więcej czasu na zastanowienie, to ją się przedłuży". Prokurator, który to słyszy, z reguły domyśli się, jak postąpić. Wie przecież, że gdy wróci do rejonu, będzie na niego czekać nawet 120 spraw w referacie i dużo niższe zarobki. To także powód nieotrzymywania przez doświadczonych prokuratorów o ustabilizowanej pozycji zawodowej spraw głośnych medialnie lub kontrowersyjnych politycznie. Oni mogą dyskutować, polemizować. Prokurator z niedługim stażem zawodowym, delegowany z prokuratury rejonowej w górę, który nie ma doświadczenia, ale ma rodzinę na utrzymaniu, może być bardziej podatny na różne sugestie i zacząć ważyć na jednej szali prawo, a na drugiej własne dobro materialne.

Jeśli ma sumienie i charakter, powinien postąpić tak, jak mu mówi prawo.

– Powinien, ale sposobu, w jaki obecna władza odnosi się do prokuratury i prokuratorów, nie można porównać z traktowaniem w żadnym okresie rządów demokratycznych w Polsce. Jest to ręczne sterowanie i powrót do co najmniej czasów sprzed 1989 r., jeżeli nie do stalinowskich. Stowarzyszenie „Lex Super Omnia" twierdzi, że polityka kadrowa w prokuraturze z jednej strony, ma charakter korupcji instytucjonalnej, a z drugiej – stała się narzędziem osobistej zemsty. Mamy chwalić albo siedzieć cicho i nie dyskutować. Teraz prokurator jest nikim dla rządzących. Czujemy się trochę jak zwierzyna łowna. Żyjemy z dnia na dzień, nikt z nas nie wie, czy za chwilę decyzją pana prokuratora krajowego nie będzie musiał jechać do prokuratury rejonowej na drugim końcu Polski. Nie mamy prawa odwołania się do sądu czy gdziekolwiek od decyzji degradujących albo delegujących do niższych jednostek. Jeśli PiS wygra najbliższe wybory, prokuratura zostanie już całkowicie podporządkowana rządzącym i nastąpią ostateczne rozliczenia z prokuratorami, którzy nie chcą milczeć i mają własne zdanie. Porządek zapanuje w Polsce...

Andrzej Dryszel

Prokurator Dariusz Wituszko został oddelegowany ze Szczecina do Rzeszowa (830 km), do domu wracał w weekendy. Zmarł na zawał.

Demonstracja przeciw karnemu delegowaniu prokuratorów przed budynkiem prokuratury w Gorzowie Wielkopolskim.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER (2), FORUM/GAZETA POLSKA, M. LASYK/REPORTER, PIOTR AUGUSTYNIAK/AGENCJA GAZETA, FINDSOCIALS.COM

eprasa.pl 95b41e7ff6

Sejny: Multi-kulti na co dzień

Polsko-litewskie pogranicze kipi. Albo nie – zależy kogo zapytać

Jakub Dymek

Naprzeciwko wysokich drzwi do sejneńskiej synagogi wiszą klucze. Cała ściana kluczy: starych, masywnych i dość drobnych, różnokształtnych. To – jak wiele rzeczy tutaj – czytelny symbol i memento. Klucze opowiadają pewną historię.

Otóż gdy w 1939 r. toczyła się już wojna, a widmo zbliżającego się frontu i hitlerowskiego okupanta zaczęło zaglądać mieszkankom i mieszkańcom w oczy, jedna sąsiadka, Żydówka, poprosiła drugą, nie-Żydówkę, o wzięcie kluczy do jej domu. Na przechowanie, bo gdy przyszli Niemcy i zabierali miejscowych Żydów, ci byli przekonani, że wrócą – i to prędzej niż później. Przecież w 1939 r. nikt nie słyszał o obozach zagłady i krematoryjnych piecach. Sąsiadka sąsiadce pomogła i klucz na przechowanie wzięła.

Sejneńscy Żydzi nie trafili do Treblinki ani do Auschwitz, ale po wywózce zginęli niechybnie z rąk okupantów i bandytów wszelkiej narodowości, od chorób, zimna i głodu, od pistoletowej kuli albo pałki. Do swojego domu nie wrócił dosłownie nikt. Pęki kluczy stanowią dziś część wystawy w synagodze. W środku czarnym drukiem wypisane są nazwiska ok. 500 mieszkańców miasta, których wtedy wywieziono – ten pas oplata wnętrze synagogi, gdzie nie zbierają się już Żydzi, bo ich nie ma.

Historia z kluczami to mit – nie pierwszy i nie ostatni, za pomocą którego próbuje się wyjaśnić tożsamość polskiego dziś, choć zawsze wielokulturowego, miasteczka. Rzeczywistość bywa dużo bardziej skomplikowana, pokazuje rysy i pęknięcia i nie daje się łatwo okiełznać. W dzisiejszych Sejnach, na polsko-litewskim pograniczu, żyją – owszem – duchy historii. Ale codzienność wielokulturowego miasta w Polsce mówi nam równie wiele, jeśli nie więcej, o nas teraz – uwikłanych w dużo bardziej doraźne sprawy.

Burmistrz Sejn Arkadiusz Nowalski: W mieście, które nienawidzi, byłoby łatwiej być burmistrzem. W mieście, które ma godzić, o wiele trudniej.

Biesiada i konwenans

Sejny to liczące ok. 5 tys. mieszkańców miasto na Suwalszczyźnie, skąd niemal o połowę bliżej jest do Wilna niż do Warszawy. Nad miastem góruje zabytkowy klasztor, a zabudowa ścisłego centrum przypomina raczej pocztówkowy sztetl – o ile do owej pocztówki dyskretnie dokleić pastelowe bloki z czasów gierkowskiego bumu budowlanego. Naprzeciwko centralnie położonego Pałacu Biskupiego (będącego w rzeczywistości piętrową kamienicą) mieszczą się synagoga i dawna jesziwa, szkoła talmudyczna. Z jednej strony miasta kamień – pomnik upamiętniający zamordowanych w Holokauście Żydów, a po drugiej pomnik smoleński. Są również konsulat Republiki Litwy i Dom Litewski, siedziba stowarzyszeń kulturalnych i obowiązkowy punkt kulinarnych wizyt turystów. Na afiszu sąsiadują ze sobą: litewskie święto państwowe Dzień Koronacji Króla Mendoga i „biesiada sejneńska" w pizzerii, na którą zaprasza wizerunek wydekoltowanej dziewczyny opróżniającej kufel piwa na tle łanów zboża.

Na pytanie, co to za miasto, z łatwością można podać różne i wykluczające się odpowiedzi. Polskie, bo w polskich granicach. Litewskie, bo według wielu tu właśnie jest prawdziwa kolebka nowoczesnej litewskiej tożsamości narodowej. Żydowskie, bo jeszcze w XIX w. to Żydzi byli w miasteczku zdecydowanie najliczniejszą grupą wyznaniową i etniczną, a wszystkie inne – Polacy, Litwini, katolicy, ewangelicy i starowiercy – stanowiły mniejszości.

Wszystkie te spory można by uznać za niedzisiejsze i dawno rozstrzygnięte. Ale mamy rok 2019 – nacjonalizm, wbrew nadziejom wielu, nie rozpłynął się w powietrzu, a historia nie była łaskawa zwyczajnie się skończyć. Do Sejn przyjeżdżam w momencie znaczącym: po eurowyborach i po zaprzysiężeniu nowego prezydenta Litwy, w cieniu rozkręcającej się na dobre kampanii wyborczej w Polsce i nadchodzących obchodów stulecia powstania sejneńskiego, w którym Litwini i Polacy, sąsiedzi, walczyli o to, w czyich granicach znajdą się te ziemie. I – co, jak się okazuje, nie jest bez znaczenia – tuż po wydarzeniach w Białymstoku, gdzie podczas pierwszej w mieście Parady Równości uczestników i uczestniczki powitano kopniakami i kostką brukową.

Antysemici i turyści

Ewelina, która przyjmuje gości w synagodze, sprzedaje książki i bilety na koncerty, ma po uszy antysemityzmu. Ale nie tutejszego, sejneńskiego, tylko tego, który przywożą turyści. Kolejny rok z rzędu ma okazję słuchać najróżniejszych historii, mo-

eprasa.pl 95b41e7ff6

Sejneńska synagoga jest odwiedzana przez wielu turystów. Jej wnętrze oplata pas nazwisk ok. 500 mieszkańców miasta, których wywieziono w 1939 r.

nologów i pytań (uprzejmych lub nie) tych, którzy odwiedzają synagogę. Mogłaby z łatwością zrobić z tego listę hitów i szlagierów. Jak historia z tym panem, który przyprowadził do synagogi wnuka, oprowadzał go niezwykle długo, dając mu historyczny, rzeczowy wykład. Po czym skończył i wychodząc, rzucił, „Chwała Hitlerowi za to, co zrobił z Żydami". Albo cały korowód turystów, którzy do synagogi wpadają, zostają całe 90 sekund, po czym wychodzą i skarżą się, że musieli za wizytę zapłacić: „To dla Żydów typowe, żeby jeszcze kasować". Albo kiedy musi tłumaczyć, że synagoga to nie kościół i, naprawdę nie jest świętokradztwem, że odbywają się tu koncerty i organizowane są wystawy.

Skłonny byłbym do sceptycyzmu, gdyby nie to, że czekając kwadrans na schodach synagogi na inne spotkanie, miałem okazję zobaczyć zupełnie podobne reakcje. Bo uprzejmy pan, który z wciśniętymi za szlufki szortów kciukami omiata synagogę wzrokiem udzielnego księcia szacującego swoje włości, postanawia nieproszony sam udzielić Ewelinie (i po trosze mnie również) wykładu o tym, że kiedyś były tu magazyny, a teraz ich nie ma. I Żydów nie ma. I niczego nie ma, choć ewidentnie stoi i patrzy, i zwiedza wystawę, mija scenę z rozstawionymi instrumentami i pudła książek. „Tu były kiedyś magazyny – nie wiem, czy pani wie?".

Z założenia nie pytam o antysemityzm, stosunki polsko-litewsko-żydowsko-cerkiewne i politykę historyczną. Ale kiedy temat się pojawia, to już uciec się nie da. Ewelina studiuje drugi kierunek w Białymstoku i jest szczerze (jak się szybko okaże, nie ona jedna) przerażona tym, co niedawno wydarzyło się w tym mieście. Jak kilkoro innych białostoczan, których tu spotkam, ma coś w rodzaju wymówki: że już, niebawem, kolejny semestr i rok, a ona z Białegostoku wyjedzie. Bo miasto ma wiele zalet, ale też etykietę polskiego „jądra ciemności" i „stolicy ciemnogrodu".

Jak się cztery osoby pobiją w Sejnach, jest to potencjalnie dyplomatyczny skandal.

Polacy lubią wszakże nienawidzić tych, których akurat nie ma – Żydów lub uchodźców. Bo np. Litwini czy litewskojęzyczni obywatele Polski tu, czyli w Sejnach i na Suwalszczyźnie, są. I nie ma latających w powietrzu cegłówek i nienawistnych wlepek. Kilka lat temu – podobno trzy – ktoś powiedział w aptece, prowadzonej przez Litwinkę, do innych Litwinów, że „psiego języka" tu sobie nie życzy. Bo tu jest Polska. Ale to wszystko.

Niedawno na zmianie Eweliny ktoś stłukł szybę synagogi cegłówką. Ale z daleka było słychać pijackie,

eprasa.pl 95b41e7ff6

rozochocone głosy. Nie sposób dojść, co – poza alkoholem – mogło motywować sprawcę (lub sprawców). W każdym razie nikt nie zgłosił sprawy, nie rozdmuchał jej i nie zażądał policyjnej ochrony. Tolerancja w małym mieście wygląda inaczej niż w metropolii.

Racja stanu i oczyszczalnia ścieków

Burmistrz Sejn Arkadiusz Nowalski ma niezwykłą łatwość przeskakiwania z rejestru na rejestr. Co, jakby się zastanowić, jest cechą dobrego polityka. W jednej chwili imponuje wielowątkowym, erudycyjnym wykładem z historii, by po chwili swojsko przekląć lub nieco się w dygresjach zaplątać. Opowiada z niespotykaną świeżością o państwie, samorządzie, racji stanu, ale też, zwyczajnie i po ludzku, narzeka na głupotę – bezgraniczną głupotę zawistników, nieudaczników i zawalidróg, którzy niczym innym poza wymyślaniem problemów nie chcą w życiu się zajmować.

Burmistrz ma jeszcze jeden talent i jest nim ściąganie na ziemię. Pierwszą bez mała godzinę naszej rozmowy zajmują tematy oczyszczalni ścieków, której budowa zadłużyła miasto, wad reformy samorządowej z 1999 r., bilansowania budżetu i miejskich kłótni, choćby o budowę żłobka. Gdy jednak dotykamy w końcu problemów historii i kultury, dostaję kredo tak wyraziste, jak proste.

Otóż burmistrz Sejn uważa, że na jego barkach spoczywa polityka zagraniczna Rzeczypospolitej Polskiej. I jest w tym tylko trochę przesady.

Zbliża się setna rocznica powstania sejneńskiego. W 1919 r. ziemie będące dziś powiatem, którego stolicą są Sejny, były przedmiotem terytorialnych roszczeń nowo powstałego państwa polskiego i Litwy. Polacy mieli do tego terenu pretensje oparte w ustaleniach traktatowych, Litwini postrzegali go jako nierozerwalną część swojej historii. Sąsiedzi sięgnęli po broń przeciwko sąsiadom, Polska Organizacja Wojskowa walczyła z Litwinami pomimo – mówiąc eufemistycznie – braku ogólnokrajowego entuzjazmu wobec powstania, które z perspektywy Warszawy, Krakowa, Wiednia i innych stolic było tylko jedną z lokalnych awantur. Sprawa była jednak – tak wtedy, jak i dziś – fundamentalna. Czy Sejny są polskie, czy litewskie? Ostatecznie miasto i powiat znalazły się w polskich granicach, ale krew została przelana, a konflikt został zawieszony, lecz nie zakończony. Siły obu młodych państw miały jeszcze się spotkać na polu bitwy, podobnie jak ich odrębne mitologie i wzajemne żale.

Krzysztof Czyżewski: Żeby to było wspólne miejsce, konieczne są praca, rozmowa i namysł.

Nowalski ma na obchody setnej rocznicy swój pomysł. I przekonuje, że chce być burmistrzem i reprezentantem wszystkich mieszkańców. A nie Polaków, Litwinów, katolików i niekatolików, osobno. W mieście, którego nienawidzi – mówi – byłoby łatwiej być burmistrzem. W mieście, które ma godzić, o wiele trudniej. Za największą zasługę poczytuje sobie zresztą uregulowanie długu wobec litewskiej szkoły, co było w skali budżetu RP kwestią zupełnie pomijaną, ale z perspektywy sąsiedzkich relacji niezwykle ważną. I tu także Nowalski powołuje się górnolotnie na rację stanu i ciężar międzynarodowych relacji – i znów nie przesadza aż tak bardzo. Bo przecież z punktu widzenia polskiej racji stanu lepiej nie mieć konfliktu z Republiką Litwy o należne litewskiej szkole pieniądze, niż mieć.

Pomysł burmistrza na – jakże przecież kontrowersyjne – obchody jest taki, żeby pomimo trudnej historii wzajemnych relacji uczynić z nich święto wspólne i międzynarodowe. Ma stanąć pomnik: koło opasane hasłem „Pojednanie to wybór". Idealnie byłoby, gdyby przy jego odsłonięciu byli obecni przedstawiciele i polskich, i litewskich organizacji strzeleckich, potomkowie stron walczących w powstaniu. Co więcej – jak słyszę – wysocy urzędnicy kościelni również wyrazili wolę, aby obchody odbyły się w duchu pojednania. Burmistrz chciałby, aby w krąg wpisana została róża wiatrów Sojuszu Północnoatlantyckiego, NATO – pokazująca jasno i dobitnie, że ci, którzy walczyli przeciwko sobie sto lat temu,

W 1919 r. Polska Organizacja Wojskowa walczyła z Litwinami pomimo braku ogólnokrajowego entuzjazmu wobec powstania.

eprasa.pl 95b41e7ff6

dziś gotowi są walczyć ramię w ramię. Ten pomysł z NATO nie budzi aż tak dużego entuzjazmu, ale jakaś logika, mówią moi rozmówcy, w tym jest.

Nowalski pisze listy: do prezydenta i ministra obrony narodowej, gdzie się da, by obchody podnieść do rangi państwowej uroczystości, a nie – jak ktoś obraźliwie pisze – „sprawy ważnej dla lokalnej historii".

Antysemityzm do Sejn przywożą turyści.

Przecież, mówi, jak się cztery osoby pobiją w Sejnach, to jest to potencjalnie dyplomatyczny skandal. A poza wszystkim to równie niedobrze, gdyby był tu drugi Białystok i zjechali się narodowcy.

Pogranicze

Międzynarodowy Ośrodek Debaty w Krasnogrudzie i „Pogranicze", stowarzyszenie animujące życie kulturalne i kultywujące wielokulturowe tradycje Sejn, są wizytówkami regionu. Z Krzysztofem Czyżewskim, dyrektorem „Pogranicza", spotykam się w jego domu, nieopodal ośrodka, rzut kamieniem od granicy.

Czyżewski, filigranowy i nieustannie uśmiechnięty, natychmiast i z wyraźnym wysmakowaniem wchodzi w dyskusję i razem dzielimy włos na czworo.

Wielokulturowość to proces, a nie gwarantowany fakt. Łatwo przecież zrobić ze skomplikowanej i trudnej historii banalny slogan do wydrukowania na designerskich torbach z płótna, do kupienia przez przyjezdnych hipsterów. „Pogranicze", miejmy jasność, tego nie robi. Naturalnie pojawia się również Białystok – globalny pochód nacjonalizmu i wojny kulturowe byłyby przecież jeszcze bardziej bolesne, gdyby znowu – jak sto lat temu – trafiły między sąsiadów, braci i siostry. Na krótko dzielimy się wspólnym koszmarem – a co by było, gdyby w małych Sejnach działał silny klub piłkarski i co weekend miasteczko najeżdżali fani – goście z Podlasia, Warszawy i Wilna. Nie sposób sobie wyobrazić. Bo Sejny nie są miastem nietolerancyjnym.

Czyżewski, który mieszka tu od prawie 30 lat, nie przypomina sobie nienawistnych incydentów. Wcześniej można było spotkać na murach napisy w rodzaju „Litwini do gazu". Ale dziś podobnych historii nie ma. Awantura z „psim językiem" – Czyżewski przywołuje dokładnie tę samą anegdotę z apteki – odbyła się lata temu.

W ośrodku w Krasnogrudzie goszczą postacie z pierwszej ligi międzynarodowych intelektualistów, jak choćby Marci Shore. W dniu mojej wizyty wykłada ojciec Tomasz Dostatni, dominikanin. Pod koniec jego wykładu jedna ze słuchaczek wstaje i mówi, jak źle się czuje jako katoliczka i matka geja – widmo zajść w Białymstoku, które coraz częściej nazywane są między ludźmi pogromem, nie daje spokoju.

Dyrektor ośrodka (nie sposób i jemu nie przyznać racji) wraca do tego, jak delikatnym tworem jest pogranicze. Przecież nawet sama nazwa jest przedmiotem politycznych rozgrywek. Ci, którzy chcą, będą mówić o ziemi sejneńskiej, inni o pograniczu. Żeby było to – wbrew wszystkiemu – wspólne miejsce, konieczna jest praca, rozmowa i namysł. Czyżewski i „Pogranicze" mają jedną, genialną w swojej prostocie zasadę, a mówi ona, że efektów nie ma od zaraz, a prawdziwa praca wymaga lat, nie wystarczy jeden festiwalowy sezon.

Oczywiście lata włożonej pracy może zniweczyć jeden incydent. I gdyby którykolwiek z tych złych scenariuszy się zrealizował – mówi Czyżewski – Sejny nie mają jak się obronić przed wojną kulturową.

Goście, goście

Sezon kulturalny, włącznie z występami wyśmienitej Orkiestry Klezmerskiej Teatru Sejneńskiego, trwa. Miasteczko żyje – bo czemu miałoby być inaczej – zwyczajnie.

Kluczowe obchody, lada dzień, przejmuje Ministerstwo Obrony Narodowej do spółki z Instytutem Pamięci Narodowej. Na stuleciu powstania, jak się wydaje, nie będzie żadnego Litwina. Ani Żyda, Rusina, Białorusina, ewangelika – to jasne. Pomysł burmistrza – wielokulturowych obchodów z międzynarodową pompą – zostaje zredukowany do trzech linijek na ulotce.

Może uda się wyjść obronną ręką, a może – koniec końców – i na pograniczu brutalna historia przypomni o sobie.

Jakub Dymek

FOT. JAKUB DYMEK (3), AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA, GRZEGORZ DĄBROWSKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 95b41e7ff6

Otoczeni fermami

Fermy w Kruszynianach mają się znaleźć na obszarze Natura 2000. Regionalny dyrektor ochrony środowiska uznał, że nie zaszkodzą przyrodzie

Helena Leman

W liczącym ok. 900 mieszkańców Waplewie Wielkim lato w pełni. Śmigają jaskółki, czerwienią się róże w przydomowych ogródkach. Przy głównej ulicy szkoła z przedszkolem, sklep spożywczy, remiza Ochotniczej Straży Pożarnej i świetlica wiejska. Na końcu drogi figura Matki Bożej, a za nią ciemna plama starego parku. Wśród zieleni na wzniesieniu klasycystyczny pałac zasłużonej dla polskości na Powiślu rodziny Sierakowskich. W 1837 r. koncertował tu Fryderyk Chopin, bywali Jan Matejko, Józef Ignacy Kraszewski, Oskar Kolberg. Od 2006 r. w budynku mieści się Muzeum Tradycji Szlacheckiej, filia Muzeum Narodowego w Gdańsku.

– Mamy we wsi taką perełkę, taki zabytek, który odrestaurowano z dużym wysiłkiem. W planach jest odbudowa części gospodarczej majątku – wozowni, gorzelni. W pałacu odbywają się koncerty, imprezy, przyjeżdżają turyści. Tymczasem chcą nas otoczyć fermami. Jest już jedna chlewnia w Waplewie, naprzeciw pałacu, zabudowania drugiej przy drodze na Tulice na razie są puste. W jej sąsiedztwie na polach po drugiej stronie drogi ma powstać trzecia ogromna ferma – 12 budynków na 40 tys. sztuk trzody chlewnej. Nazywają to pięknie centrum badawczo-rozwojowym trzody chlewnej. Zapewniają, że gnojowica będzie odprowadzana rurociągami do biogazowni, że powietrze oczyszczać będą filtry. Nikt u nas w te zapewnienia nie wierzy. W wyrobisku po żwirowni urządziliśmy jeziorko, zarybiamy je, postawiliśmy ławki, zrobiliśmy plażę. I teraz okazuje się, że będziemy wypoczywać w sąsiedztwie chlewni – mówi sołtys wsi Kazimierz Trussner.

Najbardziej boimy się smrodu

Smród, hałas, spadek wartości nieruchomości – wyliczają negatywne skutki powstania fermy mieszkańcy. Podkreślają, że inwestor musiałby mieć więcej ziemi, żeby zagospodarować odpady, a takich zasobów nie ma. Ferma ma powstać na powierzchni 10 ha.

– Zdarzało się już, że gnojowicę z okolicznych chlewni po prostu wylewano nocą do lasów, bo utylizacja odpadów jest droga – dodają. – Jak się zdarzy zanieczyszczenie środowiska, winnego nie będzie. Obawiamy się też wzmożonego ruchu, zniszczenia dróg, przecież do chlewni trzeba będzie dowozić paszę, mają tam stanąć 23 silosy. Najbardziej jednak boimy się smrodu, u nas już przy jednej chlewni zalatuje gnojowicą. W niedzielę na mszy w kościele przy pałacu czasem trudno wytrzymać.

– Za dużo tych ferm ostatnio powstaje, a zwierzęta są w nich sztucznie chowane – wtrąca mężczyzna, który pracuje u rolnika w Tulicach.

– Inwestycja będzie ciosem dla turystyki na tym terenie – dodaje Andrzej Gałęzewski, który prowadzi ośrodek wypoczynkowy.

Inwestorowi nie udało się przekonać ludzi obietnicami dofinansowania klubu sportowego ani parafii czy inwestycjami w infrastrukturę.

Według raportu Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gdańsku „planowane przedsięwzięcie nie narusza standardów jakości powietrza poza terenem, do którego użytkownik ma tytuł prawny. Nie wpłynie też na stan klimatu akustycznego środowiska".

21 i 28 lutego 2019 r. w świetlicy wiejskiej w Waplewie Wielkim odbyły się konsultacje społeczne w sprawie centrum badawczo-rozwojowego hodowli trzody chlewnej. Mieszkańcy wsi wypowiedzieli się przeciw planowanej inwestycji. 6 maja wójt gminy Stary Targ Wiesław Kaźmierski postanowił powołać biegłego, który dokonałby niezależnej oceny wpływu planowanej inwestycji na środowisko, a 29 maja zawiesił wydanie decyzji środowiskowej w sprawie fermy do momentu otrzymania raportu biegłego.

Niezależną ekspertyzę przygotowuje biegła Anicenta Bubak. Opinia ma być gotowa we wrześniu. Grzegorz Przytuła z Urzędu Gminy Stary Targ informuje, że przeciwko inwestycji w Waplewie opowiedziały się Stowarzyszenie Razem Łatwiej, Stowarzyszenie Turystyczno-Wędkarskie „Żwirki", ośrodek wypoczynkowy Gałęziaki i fundacja „Gospodarstwo Opiekuńcze Gałęziaki" oraz wspólnoty mieszkaniowe. Władze gminy na razie nie sprawdzają firmy, która ma budować fermę. Właścicielem pustych zabudowań gospodarczych przy drodze na Tulice jest jedna ze spółek inwestora centrum badawczego.

Rzecznik wspiera Tatarów

Na drugim krańcu Polski, w województwie podlaskim, mieszkańcy liczących zaledwie 100 osób Kruszynian próbują powstrzymać budowę dwóch ferm. We wsi jest zabytkowy meczet z XVII w. i muzułmański cmentarz, które przyciągają turystów. Mimo że fermy mają się znaleźć na chronionym obszarze Natura 2000, regionalny dyrektor

eprasa.pl 95b41e7ff6

ochrony środowiska uznał, że nie zaszkodzą przyrodzie ani krajobrazowi kulturowemu. Zagrożeń nie dopatrzyła się też dyrektor wód polskich. Ze zdaniem tych instytucji zgodziła się burmistrz Krynek i wydała inwestorowi decyzję o środowiskowych uwarunkowaniach. Mieszkańcy Kruszynian zaskarżyli ją do Samorządowego Kolegium Odwoławczego w Białymstoku, które decyzję uchyliło i skierowało do ponownego rozpatrzenia przez panią burmistrz. 31 maja z mieszkańcami i władzami gminy Krynki spotkał się Maciej Taborowski, zastępca rzecznika praw obywatelskich.

Łukasz Kosiedowski z Biura RPO informuje, że sprawa ferm w okolicy Kruszynian jest na etapie postępowania wyjaśniającego. W zależności od ustaleń będą podejmowane dalsze działania, np. procesowe. Małgorzata Żmudka, specjalistka w Zespole Prawa Administracyjnego i Gospodarczego w Biurze RPO, w analizie zamieszczonej na stronach tej instytucji pisze: „Sprawa Kruszynian jak w soczewce pokazuje iluzoryczność praw mających chronić przyrodę. Gdy nie ma planu zagospodarowania przestrzennego, fermy mogą być planowane na najbardziej ekologicznych terenach. (...) Zgodnie ze studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy Krynki z 2002 r., na tych terenach możliwe są usługi turystyczne i ekstensywne rolnictwo z kategorycznym wyłączeniem lokalizacji ferm przemysłowych. Tylko że studium nie jest prawem miejscowym. A wprowadzenie planu miejscowego obowiązkowe nie jest".

Autorka analizy pisze, że badanie wpływu inwestycji na środowisko jest najczęściej czczą formalnością. „Właściwie badanie zagrożeń dla środowiska kończy się na wypowiedzi organów uzgadniających. A tak naprawdę inwestora. To, co napisze autor zleconego przez inwestora »raportu oddziaływania na środowisko«, organy gminy biorą za pewnik. Wystarczy, że w dokumencie pada stwierdzenie, że »wpływ hodowli na środowisko nie będzie znaczący«. Problem w tym, że żaden przepis nie precyzuje, co należy uznać za »znaczący« wpływ na środowisko. A organy nie wnikają, choć mają do dyspozycji cały arsenał środków dowodowych: np. oględziny, opinie biegłych, mogą się domagać dodatkowych wyjaśnień od inwestora i organów specjalistycznych".

Wójt gminy Stary Targ z tych środków skorzystał.

Co zostawimy przyszłym pokoleniom

Wiele lokalnych społeczności w Polsce, tak jak mieszkańcy Waplewa czy Kruszynian, sprzeciwia się powstawaniu ferm wielkoprzemysłowych. Na internetowej stronie Koalicji Społecznej „Stop fermom przemysłowym" zamieszczono mapę protestów. Obejmują one cały kraj. Sytuację protestujących dodatkowo pogarsza nowelizacja ustawy środowiskowej. Uchwalono ją w ekspresowym tempie. 9 lipca projekt ustawy trafił do parlamentu, Sejm uchwalił ją 19 lipca, a 2 sierpnia Senat przyjął ustawę bez poprawek. Najwięcej kontrowersji wywołuje przepis, który zmienia definicję obszaru oddziaływania inwestycji. Będzie on ograniczony do 100 m wokół inwestycji. Mieszkańcom trudniej będzie też się dowiadywać o przebiegu sprawy. Zmniejszenie z 20 do 10 liczby stron postępowania spowoduje, że wszystko trzeba będzie sprawdzać w BIP.

Organizacje takie jak Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, WWF, ClientEarth Prawnicy dla Ziemi, ruch Strajk dla Ziemi mówią wprost, że ustawa została napisana pod dyktando przedsiębiorców i deweloperów. Nadano jej miano lex inwestor.

Do zmian w ustawie podczas debaty w senackiej Komisji Środowiska 30 lipca bezskutecznie przekonywali ekolodzy i mieszkańcy terenów zagrożonych szkodliwymi inwestycjami, w tym przedstawiciele Kruszynian, oraz rzecznik praw obywatelskich.

– We wsi Odrowążek w województwie świętokrzyskim, z której pochodzę, także mają powstać kurze fermy – mówił Radosław Ślusarczyk ze Stowarzyszenia na rzecz Wszystkich Istot. – Według starych przepisów do postępowania przeciwko inwestorowi mogłoby przystąpić 27 właścicieli okolicznych działek. Według nowych przepisów – żaden. Wystarczy postawić inwestycję na odpowiednio dużej działce, żeby skutecznie wykluczyć sąsiadów z udziału w postępowaniu.

Posłanka Anna Paluch z PiS podkreślała, że stronami we wszelkich postępowaniach dotyczących uciążliwych inwestycji będą mogli być mieszkańcy działek położonych nie dalej niż 100 m od niej, ale także tych, na których w wyniku inwestycji „zostałyby przekroczone standardy jakości środowiska".

Nadzór nad fermami jest dziurawy. Właściciele dzielą „na papierze" duże fermy na mniejsze i dzięki temu podlegają mniej rygorystycznym przepisom.

eprasa.pl 95b41e7ff6

– Jak mamy określać jakość środowiska, skoro nie mamy określonych np. standardów odorowych? – pytał rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Dodał, że podczas spotkań z obywatelami problem fetoru z ferm pojawia się często, a jego urząd od 12 lat czeka na przyjęcie kompleksowej ustawy antyodorowej. Rzecznik podkreślił też, że „już teraz obowiązujące prawo nie zapewnia równowagi stron na linii inwestor-mieszkańcy. A jeśli ustawa wejdzie w życie, pogłębi ten stan nierówności".

– Skoro większość z nas spożywa mięso – mówił – to trudno zakazać powstawania ferm hodowlanych. One muszą gdzieś istnieć. Ale chodzi o to, że zasada zrównoważonego rozwoju zawarta w art. 5 konstytucji powinna tak określać sposób działania władz, aby równoważyć prawo do środowiska lokalnych społeczności oraz interesy tych, którzy chcieliby inwestować. Rozwój powinien mieć jednak swoje ograniczenia. Trzeba zastanawiać się, co zostawimy przyszłym pokoleniom i jakie życie stwarzamy tym, którzy żyją „daleko od szosy".

6 sierpnia rzecznik praw obywatelskich zwrócił się do prezydenta Andrzeja Dudy o zawetowanie ustawy, gdyż stanowi ona „zagrożenie dla praw i wolności obywatelskich", a jej rozwiązania budzą wątpliwości co do zgodności z prawem unijnym.

Zagrożenie czy przyszłość

Problem ferm wielkoprzemysłowych istnieje od wielu lat. W październiku 2016 r. RDOŚ w Gdańsku zorganizowała konferencję. Według danych tej instytucji w województwie pomorskim w latach 2010-2016 uzgodniono 84 wnioski dla przemysłowych ferm, najwięcej – aż 41 – w powiecie kartuskim, 14 w bytowskim, 11 w starogardzkim, 10 w człuchowskim, osiem w słupskim. W grudniu 2016 r. minister rolnictwa powołał specjalny zespół, który miał przeciwdziałać ekspansji ferm. Takie zespoły powstały wcześniej w województwie podkarpackim i wielkopolskim.

– Nasze województwo powinno nastawiać się na rozwój turystyki, a nie takich ferm. Nasi rolnicy produkują żywność dobrej jakości i nie musimy popełniać błędów, które popełniono na Zachodzie. Rolnik ma żywić, ale powinien być też przyrodnikiem – mówiła Danuta Makowska*, dyrektor RDOŚ w Gdańsku, podkreślając, że fermy powstają najczęściej tam, gdzie nie planów miejscowych.

– Fermy prowadzą tzw. przemysłowy chów nakładczy na podstawie umowy rolnika np. z koncernem z Europy Zachodniej. Rolnik udostępnia swoje obiekty, a koncern dostarcza prosiaki, paszę, a następnie odbiera produkcję, która trafia do krajów zachodnich i sklepów wielkopowierzchniowych w kraju, psując rynek chowu wieprzowiny w Polsce – mówił Adam Śliwicki z Agencji Nieruchomości Rolnych.

Przedstawiciel Pomorskiej Izby Rolniczej natomiast twierdził, że duże fermy to przyszłość rolnictwa. Powoływał się na dane z Niemiec, Holandii i Danii. W Niemczech jest ponad 25 tys. gospodarstw hodowlanych, na każde z nich przypada 1085 świń, podczas gdy w Polsce takich gospodarstw jest 288 tys., a na każde z nich przypada 35 zwierząt.

Ekolodzy podkreślają, że konsumenci zachodni coraz częściej kupują mięso z małych ekologicznych farm, co sprawiło, że zachodnie firmy postanowiły przenieść przemysłową hodowlę do Polski.

– W państwach europejskich największa liczba ferm w basenie Morza Bałtyckiego to maksymalnie sto, tak jest w Niemczech. Natomiast są takie kraje jak Finlandia czy Norwegia, w których nie ma ani jednej fermy wielkoprzemysłowej – mówił Przemysław Boruszak z koalicji społecznej „Stop Fermom".

W komunikacie pokontrolnym NIK z 2015 r. czytam, że w Polsce działają 864 wielkoprzemysłowe fermy zwierząt. Nadzór nad nimi jest dziurawy, co wykorzystują niektórzy właściciele, dzieląc „na papierze" duże fermy na mniejsze i podlegając dzięki temu mniej rygorystycznym przepisom.

W 2018 r. Związek Gmin Warmińsko-Mazurskich apelował w sprawie ferm do sejmowej Komisji Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej: „Mimo ogromnych korzyści finansowych, jakie uzyskują właściciele ferm drobiu i chlewni, gmina ponosi jedynie negatywne konsekwencje w postaci degradacji środowiska. Wpływy z podatku rolnego z tytułu prowadzenia ferm wielkoprzemysłowych osiągają symboliczną wartość, a w przypadku prowadzenia tej działalności na gruntach klasy V gmina nie otrzymuje żadnej kwoty podatku" – podkreślali samorządowcy, domagając się zrównania sytuacji prawnej właścicieli wielkopowierzchniowych chlewni oraz ferm drobiu z podmiotami prowadzącymi działalność gospodarczą.

W czasie sejmowej konferencji pod hasłem „Społeczeństwo w obliczu ekspansji ferm przemysłowych" w kwietniu 2018 r. rozmawiano o zanieczyszczeniach np. amoniakiem pochodzącym z ferm, o wypychaniu gospodarstw rodzinnych z rynku i o problemach etycznych.

– Wprowadza się na fermach zabiegi zootechniczne, mające umożliwić życie zwierząt w dużym zagęszczeniu: obcinanie dziobów, ogonów, zębów. W dobrych gospodarstwach rodzinnych takich praktyk się nie stosuje, a przemysłowe warunki chowu budzą grozę i niedowierzanie rolników – mówił Jacek Piechocki, rolnik z Wielkopolski.

Prezes Ogólnopolskiego Związku Producentów Drobiu ripostował: – Nie przekładajmy tych pojedynczych, mrożących krew w żyłach historii na całą branżę. Polska jest czołowym producentem drobiu w Europie, a odnoszę wrażenie, jakby komuś zależało na tym, żeby ta branża przestała się rozwijać.

– Czy jesteśmy skazani na fermy przemysłowe – pytał Piotr Kwiatkowski, specjalista ochrony środowiska. – Pewnie tak, ale to nie znaczy, że możemy zezwalać na rzeczy, na które zezwalać nie wolno.

Wobec całej złożoności problemu zaskakuje szybka nowelizacja ustawy środowiskowej. W gminie Stary Targ słyszę, że ta ustawa utrudni możliwość zablokowania powstania fermy w Waplewie.

Helena Leman

Zdarzało się już, że gnojowicę z okolicznych chlewni wylewano nocą do lasów, bo utylizacja odpadów jest droga.

* Danuta Makowska została odwołana ze stanowiska w lipcu 2018 r., dwa tygodnie po wydaniu krytycznej opinii w sprawie przekopu Mierzei Wiślanej.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 95b41e7ff6

Co robi Polak na basenie

Wiele osób nie kąpie się pod prysznicem przed wejściem do basenu, nie opłukują stóp w brodziku, niektórzy wchodzą do wody w bieliźnie, w której przyszli

Ewa Smolińska-Borecka

Przez dwa upalne tygodnie sierpnia dzieci nie mogły korzystać z basenu w Powsinie.

Najbardziej pechowy w tym sezonie jest basen w raciborskiej dzielnicy Obora. Z powodu braku ratowników został otwarty dopiero 22 czerwca. Radość raciborzan nie trwała długo. Już trzy dni później po południu wydarzył się „incydent kałowy" – jak to dyplomatycznie określił ośrodek sportu i rekreacji, żeby nie powiedzieć wprost, że jakiś pływak oddał kał do basenu. Basen natychmiast zamknięto, przeprowadzono dezynfekcję wody, a potem jej interwencyjne badanie. – Dołożymy wszelkich starań, aby badania zostały przeprowadzone tak szybko, jak to będzie możliwe. Za zaistniałą sytuację przepraszamy – poinformował dyrektor OSiR, choć przepraszać powinien pływak, który basen potraktował jak WC.

Przez ponad miesiąc kąpielisko działało i za 6 zł dorosły mógł się w nim pluskać bez ograniczeń. Ale 6 sierpnia zdarzył się ponownie „incydent kałowy". Odchody znaleziono w czterech miejscach. Basen został zamknięty, przeprowadzono badania wody. Otwarto go cztery dni później. Tym razem funkcjonował tylko dwa dni. 12 sierpnia „incydent" się powtórzył. W głównej niecce kał odkryto w dwóch miejscach. Basen został zamknięty. Dyrekcja uważa, że te zdarzenia to nie przypadek. Choć basen ma monitoring, nie można ustalić, jak zachowują się ludzie w czasie pływania. Zarządzający OSiR znów obiecał, że basen zostanie jak najszybciej otwarty. Poprzednio za każdym razem niezbędne procedury kosztowały OSiR ok. 20 tys. zł. Można powiedzieć, że w tym sezonie ośrodek będzie pod kreską. Zapłacą oczywiście mieszkańcy Raciborza, bo OSiR jest jednostką budżetową miasta.

Brunatne punkty

Jeszcze zanim zaczął się sezon, który na basenach odkrytych trwa od 1 czerwca, do zanieczyszczenia kałem doszło na krytej pływalni Aqua-Tur w Szczecinku. 17 maja w głównym basenie sportowym znaleziono odchody. Basen zamknięto i poddano dezynfekcji. Na Facebooku kierujący basenem poinformowali jedynie, że jest nieczynny, i przeprosili za niedogodności. O przyczynie doniosła miejscowa prasa. Poinformowała też, że sprawcą nie było dziecko. A internauci drwili, że kierownictwo basenu zabroniło wstępu dzieciom w pieluszkach kąpielowych, ale nie przewidziało, że zawinić może dorosły. Następnego dnia basen otwarto.

Oddawanie moczu do basenu jest społecznie akceptowane, nie wiadomo właściwie dlaczego.

Jako drugi w tym sezonie ucierpiał basen Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Kostrzynie nad Odrą. 24 czerwca basen otwarto po dwuletnim remoncie, a już 3 lipca trzeba go było zamknąć. W tym przypadku powodem zamknięcia nie był „incydent", ale obecność w wodzie bakterii *Pseudomonas aeruginosa*. Prawdopodobnie przywlekli je użytkownicy. Dyrektor ubolewał, że wiele osób nie kąpie się pod prysznicem przed wejściem do basenu, choć jest taki wymóg. Ludzie nie korzystają z brodzika, w którym powinni opłukać stopy, niektórzy wchodzą do basenu w bieliźnie, w której przyszli, a dzieci wprowadzają do wody bez pieluszek. Państwowy powiatowy inspektor sanitarny Danuta Kozera podejrzewała, że nie zadziałał prawidłowo system odpowiedzialny za oczyszczanie wody, co po remoncie jest zaskakujące. Wodę przefiltrowano, zbadano i basen otwarto.

W sobotę 6 sierpnia ten sam problem co w Raciborzu wystąpił w Ośrodku Sportowo-Rekreacyjnym „Ruda" w pobliskim Rybniku, gdzie wypoczywało tego dnia kilka tysięcy ludzi. Nieoczekiwanie po południu goście ośrodka usłyszeli komunikat: „Ze względu na zanieczyszczenie biologiczne prosimy o natychmiastowe opuszczenie niecki basenu rekreacyjnego". Nie podano wprost powodu, ale dziennikarze miejscowego portalu dowiedzieli się, że zauważono w basenie kał. Dyrektor poinformował, że niecka basenu rekreacyjnego zostanie otwarta ponownie po uzyskaniu po-

FOT. EWA BORECKA

eprasa.pl 95b41e7ff6

zytywnych badań mikrobiologicznych wody. Czynne były w tym czasie basen sportowy, brodzik i wodny plac zabaw. Na czas zamknięcia basenu rekreacyjnego obowiązywały ulgowe bilety.

Rozgrzeszanie siusiania

Można by powiedzieć, że nie ma problemu. W dobiegającym końca sezonie na odkrytych basenach „incydentów kałowych" w kraju było zaledwie kilka, co można by uznać za sukces. Jednak problem jest, bo nie wiadomo, ile osób wchodzi do basenu bez wcześniejszego umycia się pod prysznicem i ile oddaje mocz do wody. Takie badania przeprowadzano w różnych krajach i dowiodły, że jest to duży problem, więc można przypuszczać, że u nas również. Na przykład badania z 2017 r. dowiodły, że do basenu oddaje mocz 64% obywateli USA, ponad 50% Kanadyjczyków, 46% Brytyjczyków, 44% Niemców i 41% Chińczyków. Nawet jeśli w kwestii siusiana jesteśmy na poziomie Chińczyków, możemy sobie wyobrazić, że z czterech osób, które pływają w naszym sąsiedztwie, dwie właśnie oddają mocz.

Do sikania do basenu przyznają się nawet zawodnicy trenujący pływanie, twierdząc, że szkoda im czasu na wychodzenie do toalety. Oddawanie moczu do basenu jest społecznie akceptowane, nie wiadomo właściwie dlaczego. Oczywiście można sobie wyobrazić, że jeśli basen ma objętość kilkuset metrów sześciennych, to litr moczu nie zmieni jakości wody, i w ten sposób się rozgrzeszać. Ale dziwne, jak wiele osób uważa, że nie ma czym się przejmować, bo przecież na pływalniach prowadzona jest dezynfekcja wody. Tymczasem w wyniku reakcji zachodzących między chlorem zastosowanym do dezynfekcji a moczem powstają uboczne produkty, m.in. trichlorek azotu, chloroamina i dichloroamina, które powodują podrażnienie górnych dróg oddechowych. Takim ubocznym produktem są też trihalogenometany, które mogą powodować reakcje alergiczne, astmę, niewydolność płuc, a nawet nowotwory. Dlatego osoby pracujące przy basenie, np. ratownicy, często mają objawy chorób dróg oddechowych – właśnie z powodu trichlorku azotu, który zamienia się w gaz i unosi nad basenem. Również pot zawiera mocznik, więc jeśli nie umyjemy się przed wejściem do basenu, przyczyniamy się do powstawania trichlorku azotu. Jeśli przy basenie jest mocny zapach chloru, to wcale nie oznacza, że woda jest mocno chlorowana, ale że jest w niej dużo mocznika i produktów ubocznych dezynfekcji.

> Basen w Raciborzu był zamykany trzy razy z powodu „incydentów biologicznych".

Zarządcy basenów mają obowiązek badania zawartości w wodzie chloru związanego co najmniej raz na dobę w godzinach funkcjonowania pływalni. Zwykle robią to częściej, np. w warszawskim Parku Kultury Powsin cztery razy na dobę. Kiedyś rozeszła się pogłoska, że do wody w basenach

eprasa.pl 95b41e7ff6

dodawane są środki chemiczne, które wchodzą w reakcję z mocznikiem i zabarwiają wodę. To na jakiś czas zdyscyplinowało kąpiących się. Kiedy jednak się okazało, że takich środków się nie dodaje, wróciło poczucie bezkarności. Z punktu widzenia zarządzających basenami barwienie wody w miejscu oddania moczu niczemu nie służy, bo wyegzekwowanie kary od pływającego byłoby niemożliwe, a zabarwienie wody zniechęcałoby do kąpieli innych użytkowników.

Jeśli tak mało zdyscyplinowani są użytkownicy basenów, to można sobie wyobrazić, co się dzieje na kąpieliskach zorganizowanych na wodach otwartych, czyli w morzu, na jeziorze, na rzece. Często widzi się osoby, które wchodzą do wody tylko na parę chwil i zanurzają jedynie do pasa. Dowodów brak, ale można domniemywać, że weszły do wody właśnie w celu oddania moczu. Słyszy się na plaży, kiedy matka, której nie chce się iść z dzieckiem do WC, namawia je, by zrobiło siusiu do wody.

Kiedy fajnie jest

W kraju jest 606 kąpielisk, z czego w sierpniu decyzją inspekcji sanitarnej zamknięto 13, bo woda nie nadawała się do kąpieli, np. ze względu na parametry mikrobiologiczne. Choćby z powodu spuszczenia do zbiornika czy rzeki ścieków komunalnych bez wcześniejszego oczyszczenia. W Warszawie, gdzie mieszka ponad 1,7 mln ludzi, jest tylko jedno kąpielisko na wodzie naturalnej dopuszczone do użytku – na Jeziorku Czerniakowskim na Mokotowie i działa od tego sezonu. Nie ma ani jednego kąpieliska na Wiśle. Na Zalewie Zegrzyńskim, największym zbiorniku wodnym w pobliżu Warszawy, są jedynie dwa kąpieliska: dzika plaża w Nieporęcie i plaża miejska w Serocku, jednak bardziej oddalona od Warszawy.

Nie najlepsza jest też sytuacja pod względem liczby basenów otwartych w stolicy. Wiele lat temu zakończyły żywot popularne niegdyś bardzo baseny klubów Gwardia i Skra. Teraz funkcjonuje ich kilka: w parku Szczęśliwickim na Ochocie, w ośrodku Inflancka w Śródmieściu, baseny Kora na Pradze-Południe, baseny Wał Miedzeszyński 407, również na Pradze-Południe, basen w ośrodku Moczydło na Woli oraz na południu – w Powsinie. Ten ostatni, który jest najstarszym basenem warszawskim, bo powstał w 1958 r., po gruntownym remoncie zyskał nowe oblicze. Użytkownicy mówią, że czują się tam jak w zagranicznym kurorcie. Ale nie zawsze.

28 lipca, zaledwie miesiąc po remoncie, i tu doszło do „incydentu". Kał zauważono w brodziku, ale zamknięto również wodny plac zabaw, połączony w jednym obiegu wody z brodzikiem. Częściowo wodę spuszczono z basenu i wykonano badania. Wykazały one, że wprawdzie nie ma bakterii z grupy *coli*, ale w wodzie znajduje się bakteria ropy błękitnej (*Pseudomonas aeruginosa*).

Rodzice, którzy zdecydowali się przyjść z małymi dziećmi na początku upalnego sierpnia, są niepocieszeni. Jeden z maluchów, pod czujnym okiem matki, bawi się w brodziku służącym do mycia nóg osób wchodzących na basen rekreacyjny. Kilkulatek stoi uczepiony ogrodzenia nieczynnego brodzika i wlepia oczy w wodę i rekina na wodzie. Babcia, która przyszła z wnukami, narzeka, że te procedury poprzedzające otwarcie basenu tak długo trwają. I dziwi się, jak można było nie dopilnować dziecka, że doszło do zrobienia kupy do basenu. Rodzice z dwojgiem dzieci też są niezadowoleni. Mówią, że ratownik powinien tego pilnować. Naprawdę ratownik, a nie rodzice?

Ponowne badanie wykazało, że woda nie zawiera bakterii i 12 sierpnia brodzik oraz plac wodny ponownie udostępniono.

– Historia lubi się powtarzać; w lipcu zeszłego roku też mieliśmy taki „incydent higieniczny" – mówi Marcin Osuch, kierownik działu organizacyjnego Parku Kultury Powsin. – Tamten wydarzył się na basenie rekreacyjnym, a nie – jak tym razem – w brodziku. Ale nawet gdyby wtedy był w brodziku, też musielibyśmy zamknąć duży basen, bo miały wspólny obieg wody. Na szczęście teraz, po remoncie każdy z basenów ma oddzielny obieg, dlatego mogliśmy wyłączyć z użytkowania tylko brodzik.

Remont kosztował 10 mln zł i trzeba przyznać, że basen wygląda znakomicie. Jednak, jak widać, nie da się uniknąć takich sytuacji jak kupa w basenie.

– Pierwsze badanie wody wykazało, że są w niej bakterie ropy błękitnej – informuje Marcin Osuch. – Ta bakteria powszechnie występuje m.in. w glebie. Być może przyniósł ją ktoś z kąpiących się. Po tym wyniku zdecydowaliśmy się całkowicie wypuścić wodę z brodzika i placu wodnego – 90 m sześc. Nie mamy kanalizacji, więc musieliśmy zapłacić za wywóz szamb ok. 3 tys. zł. Także 3 tys. zł kosztowało interwencyjne badanie wody. Akurat druga analiza, po powtórnym napuszczeniu wody, wypadła w terminie badania wynikającego z harmonogramu, dlatego nie musieliśmy długo czekać w kolejce do poboru próbek, jak poprzednio.

Rodzice upierali się, że dziecko wprawdzie nie ma trzech lat, ale już nie używa pieluch, więc nie będzie ich zakładać na basenie.

W regulaminie ośrodka w Powsinie jasno jest napisane, że dzieci do lat trzech muszą mieć w czasie kąpieli pieluchomajtki przeznaczone do kąpieli. O tym przypomina rodzicom także informacja na tablicy świetlnej. Jednak nie sposób wszystkich upilnować.

– Po tym „incydencie higienicznym" na naszym profilu facebookowym rozgorzała dyskusja na ten temat – mówi Osuch. – Pretensje były i do nas, i do rodziców, którym wytykano, że powinni lepiej pilnować dzieci. Kąpiel małych dzieci w pieluchomajtkach to jeden z najistotniejszych zapisów w regulaminie. Kiedy pracownicy dostali dyspozycję, żeby egzekwować ten zapis, skarżyli się, że muszą prowadzić z rodzicami długie dyskusje. Rodzice upierali się, że ich dziecko wprawdzie nie ma trzech lat, ale już nie używa pieluch, więc nie będzie ich zakładać, idąc do brodzika czy na plac wodny. Ale nawet jeśli małe dziecko już nie korzysta z pieluch, to w czasie zabawy może zapomnieć o potrzebach fizjologicznych. W wodzie czasami emocje biorą górę.

A dorośli? Też dają się ponieść emocjom?

Ewa Smolińska-Borecka

eprasa.pl 95b41e7ff6

Bożena Aksamit,
Piotr Głuchowski

Kajtek, Wojtek i Michał

To, że ksiądz ma pociąg do młodych chłopców, nie było dla nikogo w jego otoczeniu tajemnicą. Wszyscy o tym wiedzieli

Dla Lecha Wałęsy, któremu po wypuszczeniu z internatu – wbrew jego obawom – pozwolono wrócić do pracy w stoczni, plebania Świętej Brygidy jest przez większą część lat 80. drugim domem i biurem. Po fajrancie melduje się na MO – junta nałożyła na niego tzw. dozór milicyjny – potem je obiad u proboszcza. Kuchnia Teresy Glazy i zatrudnionych tu sióstr zakonnych sprawia, że rośnie mu brzuch – już nigdy nie będzie szczupły. Po obowiązkowym deserze i kawie z niemal nieznanego w Polsce ekspresu ciśnieniowego następują cykle oficjalnych i poufnych spotkań w księżych apartamentach lub w domu parafialnym.

Tajne rozmowy Lech prowadzi m.in. z wysłannikami podziemnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej związku, którą stworzyli Bujak (Mazowsze), Frasyniuk (Dolny Śląsk), Władysław Hardek (Małopolska) oraz Bogdan Lis i Aleksander Hall w Gdańsku. Po zwolnieniu z więzienia dołączy też Borusewicz.

Spotkania jawne to debaty z zachodnimi ambasadorami i gośćmi oraz wywiady udzielane dziennikarzom z wolnego świata – zazwyczaj w salonie proboszcza lub na dziedzińcu, gdzie ekipy telewizyjne już na kilka godzin przed przybyciem Lecha zajmują najlepsze miejsca widokowe. Kiedy po niedzielnej mszy świętej Wałęsa staje na schodach, towarzyszą mu najczęściej: Michnik, Kuroń, Mazowiecki, Hall, Lis i ksiądz proboszcz. Pojawia się także kapelan stołecznej „Solidarności" Jerzy Popiełuszko. W ciągu najbliższych dwóch lat wiele razy spotka się z Jankowskim, ale przyjaźni między nimi nie będzie. Są swoimi przeciwieństwami. Ksiądz Henryk nie lubi być sam, ksiądz Jerzy jest samotnikiem z wyboru. Proboszcz z Gdańska jest silny i zdrów jak byk, ksiądz z Warszawy – chorowity i fizycznie słaby. Popiełuszko dużo czyta, mieszka skromnie w kawalerce, nie zależy mu na poklasku i pieniądzach. A przyszły prałat z rozkoszą pławi się w podziwie i bogactwie. Czuje się doskonale w centrum zdarzeń.

Piotr Semka, konserwatywny publicysta:

W każdą niedzielę dziennikarze ABC, CBS czy ZDF, którym towarzyszyły oszałamiająco piękne polskie tłumaczki, przychodzili na […] plebanię Brygidy [która] przypominała brzęczący ul. Poznałem ją dobrze, gdy w suterenie domu parafialnego odbywały się zajęcia kółka samokształceniowego Ruchu Młodej Polski. [Plebania była biurem] „Solidarności" wypełnionym zaaferowanymi działaczami i parafianami przychodzącymi po pomoc. Na podwórzu [przemawiał] ksiądz Popiełuszko. To tu zajeżdżały ciężarówki z darami z całej Europy. To tu przyjeżdżali z kopertami pełnymi dolarów, marek czy koron wysłannicy zachodnich związków zawodowych, którzy wręczali je księdzu.

Albo Lechowi Wałęsie. Już wcześniej o Henryku i Lechu mawiało się w Gdańsku: bliźniacy, teraz faktycznie są rodziną. W 1983 r. proboszcz zostaje ojcem chrzestnym córki Wałęsów, która nieprzypadkowo dostaje na drugie imię Wiktoria. Trzy lata później ochrzci na Profesorskiej kolejną dziewczynkę – Brygidę Wałęsę. Rok w rok będzie odprawiał msze z okazji urodzin przewodniczącego „Solidarności", dla którego przez lata 1982-1989 dom parafialny będzie biurem, bankiem, stołówką, hotelem i magazynem wszystkiego, czego on sam lub jego otoczenie mogą potrzebować.

W suterenie, spiżarni i kuchni wiszą wędzone szynki i ryby, a obok tego dziesiątki kilogramów serów, skrzynie cytrusów, kartony czekolady, kawy i papierosów – bo darczyńcy przysyłają także używki. Dostają je głównie aresztowani i skazani działacze związkowi, lecz nie odmawiają sobie także mieszkańcy plebanii. Jest ich teraz w sumie prawie dwadzieścioro:

- księża wikariusze (Grzegorz Rafiński, Mieczysław Adamczyk, Andrzej Jarosz, Janusz Rekowski);
- Marek Mężyk, który znów jest kierowcą, a poza tym zajmuje się naprawą wszystkiego od dachu po fundamenty plebanii;
- żona Mężyka – Marta, która gotuje i podaje;
- Teresa Glaza, szefowa kuchni – ta okaże się tajną współpracownicą SB o pseudonimie „Karol";
- elektryk Józef Krzysztofiński – teść Mężyka;
- kościelny Czesław, którego z czasem zastąpi były stoczniowiec Kazimierz;
- siostry zakonne, które piorą i sprzątają;
- dwaj mężczyźni do noszenia paczek i innej fizycznej roboty – Ludwik i Hubert;
- młody przyjaciel księdza Wojtek Knitter, licealista.

•

Rodzice Wojtka zginęli w wypadku, gdy miał siedem lat. Od tego czasu kanonik wspomaga finansowo dziadków sieroty. Wojtek kilkanaście razy w miesiącu służy do mszy, wozi

Przyszły prałat z rozkoszą pławi się w podziwie i bogactwie. Czuje się doskonale w centrum zdarzeń.

Jak duchowny się kładzie do wielkiego, małżeńskiego łoża, a obok młody człowiek, to co o tym myśleć?

eprasa.pl 95b41e7ff6

Zachodni korespondenci mówili o bizantyjskim przepychu na plebanii ks. Jankowskiego.

proboszcza mercedesem, dużo czasu spędza w jego prywatnych apartamentach, gdzie ogląda filmy na wideoodtwarzaczu (jednym z pierwszych w Gdańsku). I sypia z kapłanem w jednym łóżku.

W 1982 r., przed Wojtkiem, bywał na plebanii 16-letni Michał Wojciechowicz, uczeń drugiej klasy ogólniaka, który niecałe dwa lata wcześniej zasłynął jako najmłodszy ze strajkujących w stoczni. Pisał o nim „Le Monde". 15 sierpnia, w drugim dniu strajku, chłopiec przyjechał żukiem pełnym chleba. Dostał pracę w strajkowej drukarni. Odbijał, a potem rozrzucał w Trójmieście ulotki. W grudniu 1981 r. jego mama została zamknięta w ośrodku internowania.

Ćwierć wieku później syn powie:

– Chodziłem do Brygidy, bo to było nasze miejsce. Ówczesnej opozycji. Wychodził ksiądz Jankowski i pytał na korytarzu: „co z mamą?". Podszedłem, by się przytulić. Mija 15 sekund i ja czuję, że to jest nie ten dotyk: człowieka, ojca, księdza. To dotyk zboczeńca. Zaczął mnie gładzić po twarzy, i to tak, że zrobiło mi się niedobrze. Brał mnie tym dotykiem. Miał wzwód, kiedy mnie dotykał. Nawet po latach czuję ten dotyk i czuję jego penisa na sobie. Wykonywał ruchy frykcyjne, trzymając mnie, ściskając. U mnie był absolutny paraliż. Trwało to może z półtorej minuty, on mnie po tym policzku gładził, gładził i nagle mnie złapał mocniej za twarz i chciał mnie pocałować. I to był ten moment, kiedy ja jakby się ocknąłem. Bez jakiejkolwiek wątpliwości wiedziałem, że to dotykanie pederasty. Nie mówiło się wówczas „pedofil" lub „gej". Nie znaliśmy takich słow. Były „pedały", „pederaści" i „cioty". Ci pierwsi byli normalnymi chłopakami lub mężczyznami o orientacji homoseksualnej. „Cioty" to zniewieściałe „pedały" lub starsi już faceci. „Pederaści" to byli ci, którzy, jak ksiądz Jankowski, lubili młodych.

Chłopcy mieszkają i będą mieszkać z ks. Jankowskim przez całe lata 90. i pierwszą połowę kolejnej dekady.

Mimo wszystko Michał jeszcze kilka razy przyjdzie na plebanię, by przekonać się, że w obecności osób trzecich kanonik nie zdradza najmniejszych odchyleń. Potem chłopaka zgarnie bezpieka – za podjętą razem z kolegami z Ruchu Młodej Polski próbę podłożenia materiałów wybuchowych pod trybuną honorową pochodu pierwszomajowego. Ładunek miał posłużyć do zdalnego odpalenia pojemnika z ulotkami Ruchu, które winny zasypać świętujących komunistów. Historia skończy się wyrokiem, więzieniem, a potem emigracją.

Maria, gospodyni księdza:

– To, że [proboszcz] ma pociąg do młodych chłopców, nie było dla nikogo w jego otoczeniu tajemnicą. Wszyscy o tym wiedzieli i komentowali jego kolejne miłostki. [Jak duchowny] się kładzie do wielkiego, małżeńskiego łoża, a obok młody człowiek, to co o tym myśleć? Najpierw był ten Wojtek, osierocone dziecko, gdy dorósł, ksiądz uczynił go swoim osobistym sekretarzem i z tym sekretarzem nadal spędzał noce w sypialni na górze. Wówczas nikomu nie było wolno tam wejść. [Następna] miłość prałata to Kajtek. Na znak więzi obaj nosili na złotych łańcuchach jakieś medale z kutego złota z amorkami, wykonane na specjalne zlecenie księdza. Wszyscy na plebanii byliśmy, niestety, przekonani, że rodzice Kajtka doskonale wiedzieli, z kim syn sypia i że nie jest to zwykłe sypianie. Nas, domowników, najbardziej śmieszyły majtki prałata. Wszystkie z naszywkami w postaci serduszek i kwiatków. Raz jedna ze służących, prasując te majtki, zażartowała, że chciałaby wiedzieć, w których ksiądz się kocha, i z przerażenia mało nie zemdlała [gdy proboszcz stanął za nią]. Zamiast zareagować ostro, tylko się uśmiechnął i odparł: „Zawsze w tych z kwiatkami".

Kajtek, gdy zrobi się zbyt dorosły, aby sypiać z proboszczem, zostanie szoferem Jankowskiego.

•

Chłopcy, w większości jasnowłosi, mieszkają i będą mieszkać z księdzem Jankowskim przez całe lata 90. i pierwszą połowę kolejnej dekady. W 1993 Bikontowie zanotują: „Po plebanii kręci się gromadka młodzieńców przeszkolonych na wszystkie fronty. Są ministrantami, bramkarzami, sekretarzami. Mijamy w przedpokoju jednego z nich, wprowadza rower – szorty, adidasy i biała podkoszulka z wielkim czerwonym napisem: Jestem Dziewicą".

Piotr Semka stwierdzi, że przez lata na Profesorskiej wytworzył się „specyficzny świętobrygidowy dwór" złożony z przystojnych blondynów.

eprasa.pl 95b41e7ff6

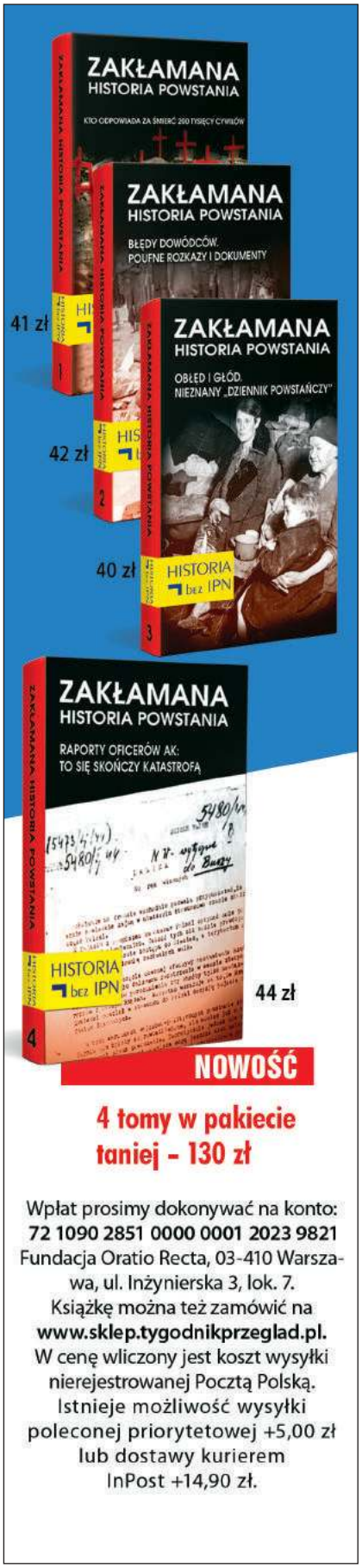

Zachodnie ekipy dziennikarskie, które tam zjeżdżały, obsypywały członków dworu prezentami: paczkami pall malli czy butelkami whisky. Parafia powoli rozsmakowała się w luksusie i w światowości.

Zachodnie ekipy dostrzegały jednak to, czego zdawali się nie widzieć Polacy. Małgorzata Niezabitowska, reporterka „Tygodnika Solidarność" i rzeczniczka rządu Mazowieckiego:

To, co robił Jankowski [z chłopcami], było zadziwiającą tajemnicą poliszynela, a później już rzeczą powszechnie wiadomą. Przypominam sobie, jak [w 1990 roku] przyjechali do Polski szefowie największych amerykańskich mediów: Time Warner i innych. Ja się z nimi spotkałam, kiedy wrócili z Gdańska, gdzie byli u księdza [bo chyba] spotykali się na plebanii z Lechem Wałęsą. I oni, mimo że mieliśmy tematy ważne do rozmowy i żeśmy je poruszali, ale każdy z nich po kolei mówił, jak był niebywale wstrząśnięty tym, co zobaczył na plebanii Brygidy. Przepych, mówili, bizantyjski przepych, jak u szejków, i mnóstwo młodych chłopców, którzy się wdzięczyli do prałata, a prałat do nich. I cały czas [moi amerykańscy rozmówcy] wracali do tego i pytali, jak to jest [w Polsce] możliwe.

Leszek Lackorzyński, jako były już radca kurii i osoba bardzo życzliwa prałatowi, przyzna, że prócz Wojtka, Kajtka i Michała widywał u kanonika wielu innych nastolatków.

Chłopcy chętnie do księdza przychodzili, bo miał wideo i telewizję satelitarną. Zawsze kilku siedziało [w jego prywatnych pokojach] i coś tam oglądało. Ale niczego, co wzbudzałoby podejrzenia, nie widziałem. Zresztą gdyby ksiądz miał tego typu ciemną kartę, to przecież ubecja by ją wywlekła.

Błąd w rozumowaniu. Ubecja (ściślej: esbecja) prawdopodobnie wie, ale absolutnie nie zamierza niczego wywlekać. Ma haka na kapłana i z tego korzysta. Bogdan Borusewicz zwraca uwagę, że choć nie zachowała się teczka pracy „Delegata"/„Libelli", to historia dewiacji księdza i jego współpracy z bezpieką tworzy logiczny ciąg przyczyn i skutków. Co zresztą potwierdzi w 2004 r. oficer gdańskiej „czwórki":

– Pierwsze sygnały, że [proboszcz] może być gejem, pojawiły się w latach 70. Jeden z kleryków seminarium, a nasz tajny współpracownik, twierdził, że Jankowski dobierał się do niego. Później uzyskaliśmy więcej danych potwierdzających to przypuszczenie [...]. Choć Jankowski był ostrożny [...] mógł sobie pofolgować podczas wyjazdów na Zachód. Wiedział, że tam jest bezpieczny. Złapaliśmy kiedyś rozmowę telefoniczną, że ktoś organizuje mu w Niemczech imprezę z małolatami.

Choć Jankowski był ostrożny, mógł sobie pofolgować podczas wyjazdów na Zachód. Wiedział, że tam jest bezpieczny.

Głuchowski (w trakcie pracy nad książką) dotrze do trzech byłych kochanków i faworytów proboszcza. Żaden nie będzie chciał rozmawiać o tym, co go łączyło z kapłanem. Wszyscy zostali hojnie wynagrodzeni przez patrona, który w ten sposób kupował ich przyszłe milczenie. Dostawali pracę, mieszkania, samochody, po roku 2000 założą rodziny, będą mieli dzieci. Klasyczny przykład to ministrant Jarek. Duchowny zabawiał się z nim m.in. w *séparé* lubianej przez siebie restauracji Złota Podkowa we wsi Przejazdowo, niecałe 8 km od Gdańska. Potem załatwił chłopakowi pracę w tym lokalu, wreszcie – gdy Jarosław dorośnie – dostanie od Jankowskiego mieszkanie na Łostowicach między Gdańskiem-Orunią a obwodnicą Trójmiasta. Wedle jednej wersji to lokal własnościowy, wedle drugiej – mieszkanie z przydziału, które ks. Henryk zorganizuje młodemu mężczyźnie przez znajomości w urzędzie miejskim. Informacja o tym, że za pośrednictwem proboszcza z Brygidy można „dostać komunalne", pojawi się w kilku relacjach osób, które go znały.

Jest jeszcze trzecia wersja – chyba najbliższa prawdy i odtworzona z różnych strzępów informacji: Jarek dostanie komunalne, bo sprawa z własnościowym w centrum Gdańska nie wypali. To lepsze (i większe) należy na razie do parafianki

eprasa.pl 95b41e7ff6

Ks. Jankowski lubił luksusowe limuzyny, zwłaszcza mercedesy.

o imieniu Wanda. Jej losy i kariera księdza splotły się we wczesnych latach 70. Kobieta była przedsiębiorcza i bardzo religijna. Jeszcze w czasie stalinowskiej bitwy o handel, na przekór trudnościom, zdołała razem z mężem – prywaciarzem – wystawić w Gdańsku niewielką kamienicę z parterem handlowo-usługowym. Jedno piętro w budynku – 100 m kw. – zajmują teraz sami. Gdy mąż umiera, Wanda dalej robi interesy. Jednocześnie modli się, siadając regularnie w tej samej ławce kościoła przy Profesorskiej. Tak poznaje administratora parafii. Ksiądz Henryk namawia ją najpierw do wsparcia odbudowy świątyni, potem nakłoni jeszcze do ufundowania płaskorzeźby, która wciąż wisi w nawie.

W połowie lat 70. Wanda dostaje od ówczesnej skarbówki tzw. domiar. Podatek jest szykaną, którą komuna nęka badylarzy (bogatych ogrodników), praktykujących prywatnie lekarzy, mechaników naprawiających po garażach samochody, a przede wszystkim – rzemieślników i sklepikarzy. Wymierza się go uznaniowo na podstawie „zewnętrznych znamion bogactwa". Ponieważ kobieta nie zamierza płacić, grozi jej aresztowanie. Przed spodziewaną wizytą milicji deponuje u kanonika 70 tys. dol. – astronomiczną kwotę. Kilka tysięcy średnich krajowych pensji. Przy przekazaniu kasy asystuje jej przyjaciółka, znana gdańska śpiewaczka.

Milicja rzeczywiście przychodzi, 60-letnia Wanda zostaje osadzona w gdańskim areszcie przy ulicy Kurkowej. Gdy po zwolnieniu, ale przed rozpoczęciem sprawy w sądzie, zgłasza się do kapłana, ten odmawia oddania pieniędzy, gdyż przeznaczył je już „na potrzeby Kościoła". Powtórna wizyta z przyjaciółką świadkiem też niczego nie daje. Starsza pani wpada w rozpacz. Zgłoszenie sprawy na milicję nie wchodzi w grę – czeka ją rozprawa karnoskarbowa, podczas której musi udowadniać, że nie ma żadnych odłożonych pieniędzy i nie stać jej na zapłacenie podatku domiarowego.

Rozprawa skończy się wyrokiem w zawieszeniu. Majątku Wanda nie odzyska nigdy. Będzie musiała sprzedać parter ze sklepami i resztę kamienicy. Uda jej się zachować mieszkanie, które kiedyś zajmowali oboje z mężem, a które zamieni w prywatną kaplicę. Święte obrazy i figury, krucyfiksy, wizerunki Jana Pawła II, gobeliny o treści religijnej itd. We wczesnych latach 80. kobieta wróci do ławki w Brygidzie. Ksiądz Henryk dostrzeże ją i odnowi kontakt: kilkakrotnie odwiedzi, wreszcie zaproponuje sprowadzenie notariusza, który przepisze lokal Wandy na niego. 70-latka – schorowana i zdewociała – zgodzi się, pomimo że wcześniej obiecała piętro bratankowi. Pojawi się jednak niespodziewany problem – starsza pani zgubiła wcześniej dowód osobisty. Ksiądz kanonik załatwi sprawę w prezydium Miejskiej Rady Narodowej i kobieta dostanie nowy dokument. Przybędzie notariusz, spisze akt, na mocy którego Wanda zrzeknie się mieszkania i dodatkowo upoważni księdza Henryka do dysponowania swoim kontem w PKO. Na rachunku została resztka z dawnego majątku: ćwierć miliona złotych.

Żaden z kochanków i faworytów proboszcza nie będzie chciał rozmawiać o przeszłości. Wszyscy zostali hojnie wynagrodzeni.

Ostatnie lata – do śmierci – staruszka przeżyje w lokum będącym własnością proboszcza. Gdy umrze – w latach 90. – jej bratanek dowie się, że nie odziedziczył mieszkania. Wniesie sprawę o unieważnienie spadku, a gdy ta pójdzie nie po jego myśli, pójdzie do prasy. Jego perypetie ze spadkiem opiszą „Fakty i Mity". Były ministrant Jarosław nie dostanie mieszkania po Wandzie.

Fragmenty książki Bożeny Aksamit i Piotra Głuchowskiego *Uzurpator. Podwójne życie prałata Jankowskiego*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019

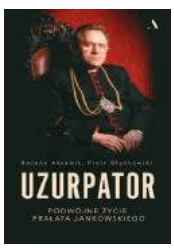

FOT. FORUM, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 95b41e7ff6

Góry, górale i Goralenvolk

Niemcy zagrali na góralskich ambicjach, powiedzieli: „Wcale nie macie słowiańskiego pochodzenia, tylko germańskie”

MARCIN KOSZAŁKA
– reżyser, scenarzysta, autor zdjęć

Rozmawia Mateusz Demski

Dwa lata temu zacząłeś pisać scenariusz, w którym podejmujesz niełatwy temat akcji germanizacyjnej na Podhalu. W czerwcu 1940 r. kilkanaście tysięcy ludzi mieszkających na Podhalu zadeklarowało przynależność do Goralenvolku. Dziś do tego nikt otwarcie się nie przyznaje.

– Kwestia Goralenvolku nie będzie poruszana na żadnej lekcji historii, w żadnym możliwym ustroju tego kraju. Zaraz po wojnie komuniści zatuszowali to i zamietli pod dywan. Przepracowanie tematu nie było też nikomu na rękę po 1989 r., bo góral jest przecież wizytówką Polski. Może więc lepiej nie grzebać się w tej sprawie.

No właśnie, góral jest dziś traktowany jako narodowy mit.

– Zgoda, tylko musimy wziąć pod uwagę, że jeszcze w 1939 r. wyglądało to inaczej. W tamtym czasie górale nie czuli się wielkimi patriotami, nie towarzyszyła im głęboka potrzeba budowania polskiej tożsamości narodowej. Popatrzmy na to przez pryzmat historii górali na przestrzeni wieków. Prawda jest taka, że żaden polski król nigdy nie był w Tatrach. Górale nie brali udziału w wielkich bitwach o Polskę, nie walczyli ani z Kozakami, ani z Turkami. Nikt się nimi nie przejmował, żyli więc po swojemu. Potem nastał czas zaborów i przez sto lat żyli w Austrii. Zaczęli mówić po niemiecku, służyli w armii cesarskiej, podróżowali do Dalmacji w ramach wymiany handlowej, docierali do portów morskich, przywożąc len na żagle. Stąd na kapeluszach góralskich wzięły się muszle, które były symbolem luksusu.

A góral jako symbol polskiej wiary?

– Pierwszy kościół w Zakopanem powstał dopiero w połowie XIX w. Jeszcze w latach 30. zeszłego wieku w niektórych wsiach na Podhalu dominowały obrzędy pogańskie. Ludzie modlili się do gór, odprawiali czary i wierzyli w ludyczne przepowiednie. Tak właściwie był to dziki lud.

To zaskakujące, bo dziś oficjalna narracja przebiega zupełnie inaczej. Kiedy tak naprawdę zaczęła się u nas moda na góralszczyznę?

– Dopiero pod koniec XIX w., kiedy do Zakopanego przyjechał Tytus Chałubiński, który propagował turystykę tatrzańską i był prekursorem polskiego lecznictwa sanatoryjnego. Mówi się, że to on darował Polakom Tatry. Wtedy też Zakopane i Tatry stały się modne, polska inteligencja i arystokracja zobaczyły w góralach pewien czar, bajkowość, magię. Ten prosty lud wzbudził zachwyt bogatych panów, zaczął imponować im kulturą, ciekawą fizjonomią i nieskrępowaną wolnością. Karol Szymanowski na potęgę czerpał inspirację z systemu ludowych skal i charakterystycznych dla regionu interwałów, które później wykorzystał w swoich kompozycjach. Stanisław Witkiewicz stworzył styl zakopiański. Góralszczyzna stała się fetyszem, dostarczała podniet. Góralom ta sytuacja bardzo zaimponowała, zresztą większości podobała się Polska. Natomiast kiedy w trakcie wojny na tych terenach pojawili się Niemcy, dość łatwo było im rozpracować górali i przeciągnąć ich na swoją stronę.

Do uzyskania oczekiwanych rezultatów wystarczyła metoda kija i marchewki?

– Tak, bo Niemcy zagrali na góralskich ambicjach. Przyjechali

Marcin Koszałka – debiutował w 1999 r. dokumentem „Takiego pięknego syna urodziłam”, nagrodzonym na festiwalach w Berlinie, Krakowie i Nyon. Kolejne filmy autorstwa Koszałki zdobywały nagrody na światowych festiwalach. Najbardziej znane to: „Istnienie”, „Śmierć z ludzką twarzą”, „Cały dzień razem”, „Do bólu”, „Ucieknijmy od niej”, „Deklaracja nieśmiertelności”, „Zabójca z lubieżności”. Jego debiut fabularny, „Czerwony pająk”, w 2015 r. otworzył konkurs główny w Karlowych Warach.

eprasa.pl 95b41e7ff6

i powiedzieli: „Wcale nie macie słowiańskiego pochodzenia, tylko germańskie. Wasze korzenie sięgają pierwotnych ludów zaginionych Gotów, więc jesteście narodem wyjątkowym". Ten transfer z Ekstraklasy do Bundesligi, który wiązał się z coraz większym prestiżem, zrobił na góralach wrażenie. Poza tym trwała wojna, a rękę wyciągnął do nich najpotężniejszy wówczas naród świata, przed którym rysowała się perspektywa zawładnięcia całą Europą. Polacy stali się robotnikami, Żydów czekała zagłada, a górale otrzymali najkorzystniejszą propozycję – układu partnerskiego.

Jak udowodniono, że „nasi" górale to Niemcy?

– Po pierwsze, niemieccy antropolodzy powoływali się na stuprocentowy, udowodniony naukowo fakt, że spora część wiosek na Podhalu została założona przez niemieckich osadników. Wśród nich były Frydman, Szaflary czy Frywałd. Drugim źródłem była legenda o wędrówkach ludów po upadku Cesarstwa Rzymskiego. Na Europę napierali Hunowie z Mongolii, którzy mieli zepchnąć uciekających Gotów pod ściany Tatr. I tak oto za przodków górali podhalańskich zostali uznani Ostrogoci.

Ale przecież ten drugi trop to tylko gdybanie i sprawa umowna. Rozumiem, że byli tacy, którzy w to uwierzyli, ale Niemcy chyba musieli znaleźć jakiś wiarygodny dowód na potwierdzenie swoich wniosków.

– Ważnym tropem stało się porównanie metalowych spinek góralskich ze spinkami gotów pontyjskich. Okazało się, że rzeczywiście istnieją podobieństwa kształtów i rzeźbień. Tymi badaniami zajmował się m.in. Anton Plügel, austriacki antropolog związany z NSDAP, który przyjechał do Krakowa na zlikwidowany Uniwersytet Jagielloński, przemianowany wówczas na IDO – Instytut Niemieckich Prac na Wschodzie. Plügel początkowo z rezerwą podchodził do tematu legendarnych spinek, ale z czasem postanowił powołać się na tę koncepcję. Jeździł od wsi do wsi, zrobił tysiące fotografii. Co więcej, chcąc dostarczyć Berlinowi dowodów na germańskie pochodzenie górali, rozpoczął gigantyczne badania związane *stricte* z przynależnością rasową. Fotografował góralskie dzieci o określonym typie urody: blond włosy i niebieskie oczy. Dziś brzmi to dość złowrogo, ale panowała tam wyjątkowo przyjazna jak na tamte czasy atmosfera.

Mówisz, że badania przebiegały pokojowo, a ja zastanawiam się, do czego tak na dobrą sprawę miały one prowadzić. Jaką rolę mieli odgrywać górale w III Rzeszy?

– Paradoksalnie Plügel odnosił się do górali z szacunkiem. Tak właściwie dążył do gloryfikacji ich niezależności oraz utrzymania kolorytu lokalnego. Nie bez powodu uważał, że najwięcej zła na Podhalu dokonali Polacy. Powołał się na drenaż kulturowy, który nastąpił tam w 20-leciu międzywojennym. Nazistowski badacz sądził, że jeszcze w okresie zaborów polska arystokracja sprostytuowała i skomercjalizowała podhalańskiego górala. Dosłownie przywłaszczyła jego atrybuty i uznała go za symbol przyszłej wolnej Polski. Nie było lepszego kandydata do stworzenia patriotycznego trade marku oraz synonimu wolności. Potem dokonał się akt całkowitej demoralizacji i zaprzedania góralszczyzny na potrzeby turystyki międzywojennej. Dziś obserwujemy absolutne apogeum tego szlamu, który niszczy kulturę góralską. I który sprowadził górali do roli cyrkowców.

Chcesz powiedzieć, że Plügel walczył o lepsze życie dla górali podhalańskich?

– W słowach nazisty i wroga Polski, mówiącego o krzywdzie wyrządzonej przez Polskę międzywojenną, paradoksalnie było sporo racji. Co ciekawe, jego koncepcja wręcz unikała germanizacji, np. w tym czasie działała szkoła góralska, w której za język wykładowy uznano podhalańską gwarę. Plügel dążył do zaakceptowania lokalnej tożsamości górali i uznania ich za niezależny, dumny, wręcz osobny naród w strukturze III Rzeszy. Oczywiście gubernator generalny Hans Frank podszedł do tego z pewnym dystansem, nazywając ich „ludem dekoracyjnym".

Przejdźmy do czerwca 1940 r., kiedy dochodzi do wspomnianego na początku spisu ludności i zadeklarowania przynależności do Goralenvolku. Jak zrozumieć przebieg całej akcji?

– Spis mieszkańców Podhala nie przyjął formy przymusowej germanizacji, był raczej wyrachowanym działaniem ze strony Niemców. Na arkuszach spisowych można było wybrać, że jest się: Polakiem, Żydem, Cyganem, Ukraińcem lub Góralem. Zauważ, że nie było opcji Niemiec. Ludzie chcieli zakreślić dwa pola: Góral i Polak. Ale musieli wybrać jedno. No to ci, którzy dbali o swoje poczucie regionalne, zaznaczali, że są góralami.

Jeszcze w latach 30. zeszłego wieku w niektórych wsiach na Podhalu dominowały obrzędy pogańskie.

Zakopane, 1939 r. Przewodniczący Komitetu Góralskiego Wacław Krzeptowski wita gubernatora Hansa Franka..

eprasa.pl 95b41e7ff6

Był to cwany sposób, ale faktem jest, że ok. 30 tys. ludzi podpisało listę. W Szczawnicy aż 90% mieszkańców. Z punktu widzenia dzisiejszej historii uznaje się to za największą polską kolaborację z hitlerowskim okupantem.

W takich okolicznościach trudno chyba jednak mówić o volksliście czy dosłownej zdradzie. Chciałbym przypomnieć, że dookoła panuje wojna, więc sytuacja też ich do tego zmusiła. Inaczej podpisaliby na siebie wyrok śmierci.

– To prawda, nie mieli wyboru. Nawet jeśli chcemy rozpatrywać Goralenvolk przez pryzmat zdrady, była to zdrada w celu ocalenia siebie i swojej kultury. Podjęcie walki w obronie kraju, którego właściwie już nie ma, a z którym górale nigdy nie czuli pełnej tożsamości, byłoby aktem samobójczym. Współpraca zapewniała im przetrwanie. Musieli wciąż tańczyć, śpiewać, bawić, być przewodnikami i kompanami, aby ocalić to, co kochali najbardziej.

Domyślam się, że o tym będzie twój film, którego projekt właśnie trafił pod skrzydła producentek z Balapolis. O próbie poszukiwania kompromisu i przetrwania za wszelką cenę.

– Chciałbym przede wszystkim pokazać dramat wybitnego narodu górskich ludzi, o których zawsze ktoś grał. Którzy przechodzili z rąk do rąk, traktowani niczym piękna kobieta, którą każdy chciałby się pochwalić. Interesuje mnie motyw przetrwania, ustawienia się w tak dramatycznej sytuacji. Nie bez powodu bohaterami są bracia, którzy stają po dwóch stronach barykady. Jeden po stronie Niemców, bo został omamiony teorią germańskiego rodowodu i chce nakłonić górali do współpracy. Drugi, mimo że nie jest przekonany do Polaków, z przekory i na złość bratu dołącza do polskiego podziemia. I takie sytuacje miały miejsce. Część słynnej rodziny Krzeptowskich z Zakopanego opowiedziała się za Goralenvolkiem, pozostali pracowali jako przewodnicy dla polskiego rządu w Londynie.

Można więc odnieść wrażenie, że powołujecie się na postacie historyczne.

– Nie będzie w tym filmie ani jednej autentycznej postaci, co najwyżej inspirowane. Oczywiście odwołujemy się do faktów, konsultujemy nasz scenariusz m.in. z historykiem Wojtkiem Szatkowskim, wnukiem Henryka Szatkowskiego, który był twórcą ideologicznej koncepcji Goralenvolku i namawiał górali do ocalenia swojej tradycji. Ale głównie zależy nam na historii o wymiarze uniwersalnym. Na czysto ludzkiej opowieści o dramatycznych wyborach, które trzeba podjąć dla siebie i bliskich w obliczu realnego zagrożenia.

No dobrze, ale jaką funkcję ma spełnić ten film? Czy rachunek związany z Goralenvolkiem jest możliwy do wyrównania? Film jeszcze nie powstał, a już można przeczytać komentarze, które wskazują, że temat wzbudza emocje na Podhalu.

– Po latach spotkań z ludźmi i dokumentacji historii góralszczyzny moje przemyślenia są takie: nie uważam górali za zdrajców, jednak temat Goralenvolku został zatuszowany ze względu na fakt, że stanowili oni szczególnie ważną, wręcz symboliczną grupę dla naszego kraju. I niestety przez to nie znaleźli skutecznej metody na przepracowanie traumy. Dramat ludzi mieszkających na Podhalu polega na wymazaniu tej bolesnej kwestii i fakcie, że muszą żyć z tym piętnem do dziś. Że nie doszło do *katharsis*, a każda próba oczyszczenia kończyła się ze strony górali wyparciem. Kiedy Stanisława Trebunia-Staszel, doktor antropologii i góralka z Poronina, prowadziła badania na temat archiwum Plügla, nie mogła wejść w dialog z krajanami. Usłyszała tylko: „Ludziska pohucom, pohucom i zapomną".

Pozostaje też sprawa sprzedaży i komercjalizacji kultury góralskiej.

Górale nie brali udziału w wielkich bitwach o Polskę. Nikt się nimi nie przejmował, żyli więc po swojemu.

W pierwszej części filmu chcemy pokazać, że jeszcze w międzywojniu arystokraci za ciężkie pieniądze skolonizowali Zakopane. Wielcy panowie wkładali kapelusze góralskie i wychodzili na spacer w góry. Los górali jest podobny do losu Indian, którzy zostali ośmieszeni i rozmienieni na drobne. Stali się maskotką w rękach elit. Chcemy pozostawić widza z pytaniami: na ile stali się oni towarem, a na ile pozostali autentyczni? I czy mogą tę autentyczność jeszcze uchronić?

Strasznie to zagmatwane, ale sam powiedziałeś, że żaden ustrój tego kraju nie zdobędzie się na przepracowanie sprawy Goralenvolku. Wierzysz, że w obecnym układzie politycznym istnieje realna szansa na powstanie twojego filmu?

– Staram się nie podlegać tak skrajnemu myśleniu. Dopóki nie podjęto oficjalnych decyzji w sprawie filmu, nie chcę wchodzić w buty wojującego opozycjonisty. Skoro żyję w tym kraju, muszę prowadzić dialog z panującą władzą i funkcjonującymi w ramach tej władzy instytucjami. Demonizowanie i stawianie tego filmu na z góry przegranej pozycji jest równoznaczne z poddaniem się zbiorowej paranoi. Wierzę w obiektywizm w sprawie Goralenvolku, który polega na tym, że nie ma ani dobrych, ani złych Polaków. Nie ma winnych i niewinnych. Ta sytuacja była, często jak w życiu czy dobrym filmie, po prostu skomplikowana, niejednoznaczna, wielowymiarowa.

Mateusz Demski

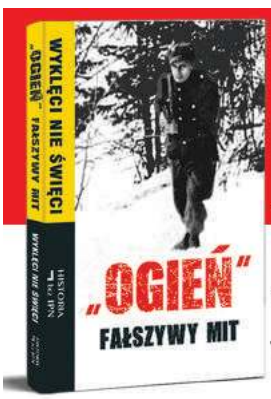

Gwałcili.
Mordowali kobiety i dzieci.
„Ogień" i jego banda
zabijali Polaków,
Żydów i Słowaków.

46 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.**
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł
lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, NAC

eprasa.pl 95b41e7ff6

Z Galicji

Jan Widacki

Głębokie rezerwy Platformy

Platforma, która chce się mierzyć z PiS, odkrywa swoje najgłębsze rezerwy. W Krakowie z listy Koalicji Obywatelskiej (na dobrą sprawę jest to koalicja Platformy z Platformą, która dokooptowała jeszcze jakieś niedobitki Nowoczesnej i uciekinierów z kilku innych partii) na pierwszym miejscu kandydować będzie Paweł Kowal. Kowal ładnie mówi, jest inteligentny. To prawda. Ale można powiedzieć o nim to, co kiedyś Michnik mówił o Rokicie: „Żeby on jeszcze taki mądry był, jak jest inteligentny". Gdyby Kowal był taki mądry, jak jest inteligentny, nie znalazłby się w PiS. Nie byłby zastępcą Anny Fotygi w MSZ. Nawet ludzie mniej od niego inteligentni uważali, że jest to najgorsza osoba w fotelu ministra spraw zagranicznych. Mylili się. Nikt nie przewidział, że to stanowisko może objąć ktoś o charakterze, intelekcie i zdolnościach dyplomatycznych pana Waszczykowskiego. Oczywiście rekord Fotygi został pobity, ale nie zmienia to faktu, że Kowal był jej współpracownikiem i zastępcą. Nawet ludzie mniej od Kowala inteligentni wiedzieli, do czego dąży PiS i prezes Kaczyński. Wtedy Kowal jeszcze się nie zorientował? Był wiceministrem ważnego resortu w pisowskim rządzie. Nie miał udziału w budowaniu IV RP metodami PiS? Naprawdę nie odpowiada za to, co się działo w Polsce w latach 2005-2007?

Teraz Kowal ma przyciągać liberalny elektorat Krakowa. Jest twarzą liberalnej Platformy Obywatelskiej, która na czas wyborów nazywać się będzie Koalicją Obywatelską. Nie bardzo wierzę, by krakowscy działacze PO (jeszcze trochę ich zostało) z wielką gorliwością angażowali się w kampanię Pawła Kowala.

W Warszawie podobno do Senatu z ramienia Platformianej koalicji ma kandydować Roman Giertych. Dziś adwokat celebryta (dawniej nazywało się to kabotyn), ulubiony pełnomocnik polityków Platformy przed sądami, prokuraturami, komisjami śledczymi, aktywniejszy w mediach niż w sądach. Kpiący z Kaczyńskiego i PiS, nieprzejednany przeciwnik katoprawicy. Ale raczej świeżej daty.

Nie tak dawno przecież wicepremier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, szef Ligi Polskich Rodzin, wskrzesiciel Młodzieży Wszechpolskiej, wreszcie minister edukacji, rewident listy lektur szkolnych. Przeczytał już Gombrowicza? Zmienił się? Na pewno chce wrócić do wielkiej polityki. Liczy na głosy liberalnego elektoratu Platformy. A Platforma liczy na Giertycha? Pogratulować!

W liberalnych mediach króluje Ludwik Dorn, czołowy komentator, ekspert od PiS i jego zagorzały krytyk. Kiedyś nazywany „trzecim bliźniakiem", pisowski minister spraw wewnętrznych i marszałek Sejmu. Zasłużony w obrzydzaniu elit. Inteligentny jak Kowal. Autor pogardliwego terminu wykształciuchy, pomysłodawca brania lekarzy w kamasze. Dziś ma zniechęcić wykształciuchów do głosowania na PiS.

Nie zdziwiłbym się specjalnie, gdyby w następnych wyborach do Sejmu krakowską listę Platformy otwierał Ryszard Terlecki. Teraz już wszystko jest możliwe. Tak jak ze wszystkich wojen najokrutniejsza jest wojna domowa, tak też największe, najbrutalniejsze są kłótnie w rodzinie. I często następuje w nich zmiana ról. Wczoraj wujek Wiesiek poparł ciotkę Basię, dziś razem ze szwagrem jest już przeciw ciotce Basi, jutro z zięciem wystąpi przeciw teściowej, a pojutrze konfiguracja wzajemnie skłóconych będzie jeszcze inna. Jak to w rodzinie. Nie mam złudzeń: PiS i Platforma to jedna rodzina.

Platforma robiła delikatniej i kulturalniej, to co PiS robi brutalnie i po chamsku. Platforma starała się zachowywać pozory, PiS nawet się nie stara. Platforma była umiarkowanie populistyczna, umiarkowanie antykomunistyczna (cokolwiek by to miało znaczyć), umiarkowanie antyrosyjska, umiarkowanie dewocyjna. Obydwie partie przyznają się też do dziedzictwa pierwszej Solidarności, spierają się tylko o to, kto stoi tam, gdzie kiedyś stała Solidarność, a kto tam, gdzie stało ZOMO, co z perspektywy lat nie ma większego znaczenia. PiS na żadnym z tych odcinków, na których Platforma jest umiarkowana, umiarkowane nie jest. Zasadnicza różnica między Platformą a PiS jest taka, że Platforma jest proeuropejska, PiS jawnie antyeuropejskie. Oczywiście, że to dużo. Nawet bardzo dużo. Ale mimo wszystko stanowczo za mało. Podobieństw między tymi partiami jest tyle, że przepływy kadr nie wydają się niczym nadzwyczajnym.

Nie zdziwiłbym się specjalnie, gdyby w następnych wyborach do Sejmu krakowską listę Platformy otwierał Ryszard Terlecki.

Prawdziwa zmiana nastąpi, gdy na scenie politycznej zaistnieje ponownie lewica. Partia ludzi o lewicowej wrażliwości społecznej, o liberalnych poglądach w sferze obyczajowej, nowoczesna, europejska, patrząca w przyszłość, nieuwikłana w przeszłość i spory o to, kto dziś stoi tam, gdzie stało ZOMO. Niebędąca niewolnikiem dziedzictwa Solidarności ani PZPR. Dzięki egoizmowi Platformy, która nie chciała koalicji z SLD, jest szansa, że ta nowa lewica powstanie. I życzę jej sukcesów w październikowych wyborach.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 95b41e7ff6

Wojciech Osiński

Zbombardowany ośrodek dla afrykańskich imigrantów na przedmieściach Trypolisu, lipiec 2019 r.

Diabelski libijski młyn

Wojna domowa w Libii trwa od ośmiu lat i coraz dobitniej pokazuje, że żadna z walczących stron nie zwycięży

Czerwiec 2019 r., Trypolis. 56-letni Hamza i jego jednostka czekają na południowych rubieżach stolicy Libii na rozkazy. – Przed 2011 r. walczyliśmy przeciwko siłom Kaddafiego, potem z terrorystami Państwa Islamskiego, a teraz z wojskami Haftara. Dla nas, żołnierzy z Trypolisu, właściwie nic się nie zmieniło. Nadal walczymy w tych samych mundurach, choć tak naprawdę już nie wiadomo, w jakiej i czyjej sprawie – opowiada zrezygnowany Hamza.

Co chwilę słychać jakiś strzał bądź odległą detonację. Tydzień temu zginął przyjaciel Hamzy, przedwczoraj został postrzelony inny kolega. Amputowano mu obydwie nogi. Tutaj, kilkanaście kilometrów pod Trypolisem, przebiega linia frontu kolejnej odsłony wojny domowej w Libii trwającej od ośmiu lat. W kwietniu Chalifa Haftar, który kontroluje już prawie 90% całego kraju, zainicjował natarcie na stolicę. Od tego czasu trwają zaciekłe bratobójcze walki.

– Nasze państwo ledwo dyszy. Sytuacja jest już tak beznadziejna, że nawet diabeł byłby powitany jak wyzwoliciel, gdyby zdołał ją rzeczywiście poprawić – wzdycha Hamza, na którego twarzy wieloletnia wojna pozostawiła wyraźne ślady. Jak mówi, prawie nic nie je, nie może spać. – Krótkie wojny zmieniają rządy, długie wojny zmieniają ludzi – podsumowuje.

Podzielone państwo

W mediach najczęściej mówi się ostatnio o Libii w kontekście źle traktowanych tam uchodźców lub spektakularnych akcji ratunkowych załogi niemieckiego statku „Alan Kurdi", który kursuje między libijskim a włoskim wybrzeżem, zaogniając spór na linii Rzym-Berlin. Tymczasem w samej Libii dzieje się wiele niepokojących rzeczy. Osiem lat po spektakularnym obaleniu rządów Muammara al-Kaddafiego Libia nadal jest pogrążona w krwawej wojnie domowej. W opinii ekspertów kraj ten już od dawna jest pozbawiony znamion prawdziwego państwa, choć ma dwa rządy. Jeden z nich działa we wschodnim Tobruku i opowiada się po stronie gen. Chalify Haftara. Drugi – w zachodnim Trypolisie, a na jego czele od 2016 r. stoi Fajiz as-Sarradż. Ten rząd jest wprawdzie uznawany przez Unię Europejską i ONZ, ale nie przez libijski parlament, który zbiegł na wschód. Jednak autentyczną władzę dzierżą rozsiane po całym kraju milicje islamskie, plemiona i klany, o których łaski zabiegają główne strony konfliktu politycznego.

– Nie interesuje nas ani Sarradż, ani Haftar! Szefowie milicji i tak robią swoje. Jeśli któryś z nich chce porozmawiać z Sarradżem, nie pyta nikogo o zgodę, lecz wyważa od razu jego drzwi i rozkazuje mu: „Premierze, podpisz do cholery!" – mówi Hamza. Libijczyk mimo swojego munduru nie czuje sympatii do rządu w Trypolisie. – Walczymy wprawdzie z Haftarem, ale gdyby on nie zaatakował naszego miasta, prawdopodobnie my byśmy to zrobili – wyznaje. Hamza twierdzi, że jest mu już całkowicie obojętne, po której stronie walczy. Pragnie po prostu żyć w normalnym kraju. Nigdy nie zamierzał zostać żołnierzem. Studiował w Niemczech, jest dyplomowanym inżynierem, chciał po powrocie budować nowoczesną ojczyznę. Większość mieszkańców Trypolisu myśli podobnie, tym bardziej że w samym centrum miasta życie toczy się dalej – mimo nieustannych wybuchów i przygnębiającego wojennego klimatu. W parkach stoją małe karuzele, na których bawią się uśmiechnięte dzieci. Na chodnikach rozmawiają ludzie, w kawiarniach starsi Libijczycy grają w karty. Tak jakby wybuchy granatów stały się codziennością. – W Trypolisie ludzie żyją własnym życiem, niezależnie od tego, czy wczoraj na domach wisiały plakaty Kaddafiego, dzisiaj wiszą Sarradża, a jutro zawisną Haftara – zapewnia Hamza.

Dla żołnierzy z Trypolisu nic się nie zmieniło. Walczą w tych samych mundurach, choć nie wiadomo, w jakiej i czyjej sprawie.

Sytuacja wewnętrzna w Libii jest skomplikowana dla samego Hamzy, a co dopiero dla zagranicznych obserwatorów. Wciąż trudno uzyskać wyczerpujący obraz tego, co rozgrywa się obecnie na terenie tego kraju. Co

eprasa.pl 95b41e7ff6

rusz odradzają się napięcia między skłóconymi organami władzy, rozmaitymi grupami przestępczymi, a także ludnością cywilną. W tym chaosie u wybrzeży Wielkiej Syrty czekają ponadto na przeprawę do Europy tysiące uchodźców z Afryki Subsaharyjskiej. Libijskie milicje torturują lub trzymają ich w niewolniczych warunkach. Zmuszają do udziału w konfliktach zbrojnych albo wysyłają jako pracowników przymusowych do Europy, gdzie zachodni pracodawcy często nie wiedzą, że zatrudniają niewolników libijskich mafii.

Na początku lipca podczas nalotu na ośrodek dla imigrantów na przedmieściach Trypolisu zginęły 44 osoby, a 130 zostało rannych. – Kto przeżyje libijskie więzienie lub obóz, jest potem kompletnie złamany psychicznie – tłumaczy Christophe Biteau z organizacji Lekarze bez Granic. Na oczach całego świata rozgrywa się tragedia państwa, które ze względu na zasoby naturalne mogłoby być najzamożniejsze na kontynencie. Najpierw Kaddafi przez niemal 42 lata hamował jego rozwój w celu utrzymania swojej władzy. Gdy go zabito, pozostała próżnia, której skłócone plemiona do dziś nie potrafią zgodnie wypełnić. Ale jedno jest pewne – były przyjaciel obalonego Kaddafiego, powracający do dawnego blasku Chalifa Haftar, od przyjazdu z emigracji tytułujący się „marszałkiem", ostatnio w zawrotnym tempie poszerzył w Libii swoje wpływy, zajmując coraz więcej terytorium kraju.

Walki między siłami Rządu Zgody Narodowej (GNA) a zwolennikami Chalify Haftara.

Koniec przyjaźni

Kiedy w 2011 r. świat obiegły nagrania i zdjęcia schwytanego przez rebeliantów Kaddafiego, o rok młodszy od niego Haftar był już w Libii. Ponieważ jednak nie został mianowany naczelnikiem armii, postanowił wrócić do Stanów Zjednoczonych, gdzie wcześniej wyczekiwał na korzystny dla siebie moment. O ile więc jego były przyjaciel Muammar Kaddafi już jako 27-letni polityk mógł się upajać pełnią władzy, by w niesławie skończyć panowanie krótko przed 70. urodzinami, o tyle 75-letni dziś Haftar wciąż czeka na swoją szansę. Tymczasem początki zawodowej biografii obu polityków były bardzo podobne. W tym samym okresie zasilili szeregi libijskiego wojska i obaj byli wpatrzeni w arabskiego nacjonalistę Gamala Abdel Nasera, przywódcę Egiptu, a potem Zjednoczonej Republiki Arabskiej (unii zawartej między Egiptem a Syrią). W 1969 r. Haftar był jednym z głównych autorów zamachu, który pozbawił libijską monarchię władzy i wyciągnął Kaddafiego z politycznego niebytu. Niebawem jako jeden z najbliższych współpracowników nowego przywódcy stanął na czele wojska libijskiego.

Przyjaźń obu wojskowych przerwała dopiero wojna graniczna między Libią a sąsiednim Czadem, a raczej jej ostatnia faza, nazywana wojną toyot (nazwa pochodzi od pick-upów Toyota Hilux i Land Cruiser, które zapewniały dużą mobilność czadyjskim żołnierzom walczącym przeciw Libii – przyp. red.). Libia już od 1965 r. udzielała się w wojnie domowej w Czadzie, gdzie wspierała muzułmańską opozycję. W 1982 r władzę w Czadzie przejął Hissène Habré. Jego polityka, wyraźnie ukierunkowana na Zachód, była solą w oku młodego Kaddafiego. Niebawem jego żołnierze znów wkroczyli do Czadu i zajęli część północnego terytorium. W 1986 r. głównym dowódcą sił libijskich był Haftar, a kierowana przez niego ofensywa zakończyła się całkowitą klęską. Ta ostatnia interwencja Libii była spowodowana niepokojem Kaddafiego, który obawiał się utraty wpływów w sąsiednim kraju. Kiedy wiosną 1987 r. Haftar poniósł ostatecznie porażkę w walce z Czadyjczykami, tracąc ok. 2 tys. żołnierzy, a sam trafił do niewoli, Kaddafi zerwał z nim kontakty, obarczając winą zarówno za klęskę w „wojnie toyot", jak i za pogwałcenie wcześniejszych ustaleń zawartych podczas rozmów w Paryżu. W ten sposób chciał ratować swoją reputację na Zachodzie.

Letarg emigracji

Dla Chalify Haftara był to smutny moment. Miał dopiero 45 lat, a już został utrącony przez Kaddafiego, który obawiał się jego rosnących wpływów w kraju, bo mimo klęski w Czadzie Haftar cieszył się popularnością i nie zamierzał rezygnować z kariery. W czadyjskim więzieniu wykazał się lojalnością wobec agentów CIA i dzięki temu mógł się ubiegać o status uchodźcy politycznego w USA. Tam zaangażował się w libijski ruch opozycyjny, szczodrze wspierany przez służby amerykańskie. W połowie lat 90. dostrzegł swoją szansę w niezadowoleniu Libijczyków z rządów Kaddafiego i wrócił do ojczyzny. Nie był to jednak odpowiedni moment na obalenie dyktatora, więc Haftar znowu wyjechał do USA. Tym razem pozostał na

FOT. REUTERS/FORUM, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 95b41e7ff6

dłużej, z powodzeniem ubiegając się o amerykański paszport.

Do 2011 r. Haftar praktycznie nie angażował się w politykę. Wrócił do niej dopiero po śmierci Kaddafiego. W lutym 2014 r. jego żołnierze zajęli stacje telewizyjne w Trypolisie, a Haftar oznajmił, że zawiesił parlament i konstytucję. Dla libijskich widzów te słowa nie brzmiały wiarygodnie, ponieważ doskonale wiedzieli, że w ich państwie zarządzanym przez milicje o jawnie terrorystycznym charakterze jeszcze długo będzie panował bezład. Powiązania ich liderów m.in. z Al-Kaidą i Państwem Islamskim były oczywiste.

Natomiast wcześniejsze wybory parlamentarne wygrały wpływowe ugrupowania powiązane z Braćmi Muzułmanami, którzy nie zamierzali ulegać „marszałkowi". Dlatego ofensywa ogłoszona w 2014 r. przez Haftara nie przyniosła właściwie żadnych zmian, a wręcz skomplikowała sytuację. Kiedy następne autoryzowane przez niego próby zamachu zakończyły się porażką, a niska frekwencja w kolejnych wyborach parlamentarnych dała islamistom pretekst do ich nieuznania, ukonstytuowały się dwa rządy – na wschodzie i zachodzie. Jednocześnie na południu kraju konkurują zwaśnione plemiona oraz rady szarijackie, oparte na ideologii Państwa Islamskiego. Niezasypane podziały między Trypolisem a Tobrukiem stworzyły bojownikom ISIS warunki do budowania zrębów własnego państwa. Jako że w Syrii i Iraku ekspansja dżihadystów została ostatnio w znacznym stopniu ograniczona, znaleźli oni oparcie w części libijskiego społeczeństwa. Już w lutym 2015 r. dżihadyści zajęli Syrtę, rodzinne miasto Kaddafiego. Pod ich całkowitą kontrolą znalazło się też niebawem północno-wschodnie miasto Bengazi.

Złudne porozumienie

W maju 2014 r. Haftar rozpoczął operację wojskową, której celem było wyparcie islamistów z kontrolowanych przez nich terenów, szczególnie z nader ważnego strategicznie Bengazi. Interwencja dowodzonej przez Libijskiej Armii Narodowej (LNA) trwała aż do grudnia 2017 r., kiedy to zakończyła się pełnym sukcesem. Już wiosną 2015 r. doszło do porozumienia między Haftarem a rządem w Tobruku, który oficjalnie uznał jego status dowódcy libijskich sił zbrojnych. Wydawało się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, ponieważ w tym samym czasie ONZ skutecznie namawiała przedstawicieli obu rządów do negocjacji. Na konferencji w marokańskim Skhirat ogłoszono zawarcie porozumienia w sprawie utworzenia tzw. Rządu Zgody Narodowej (GNA). Tyle że ta zainscenizowana przez ONZ harmonia szybko okazała się iluzoryczna. Islamiści z Trypolisu wzdragali się przed zaakceptowaniem zbyt silnej według nich pozycji Haftara. Również parlament w Tobruku zgłosił zastrzeżenia wobec rządu premiera Sarradża, któremu zarzucił, że jest marionetką dżihadystów. Ale to właśnie Sarradż jest na Zachodzie powszechnie uznawany za oficjalnego przywódcę Libii. Tymczasem Chalifa Haftar nie przejmuje się zbytnio tym, że w efekcie konferencji w Skhiracie rząd tobrucki stracił międzynarodowe uznanie na rzecz GNA, bo w tym czasie zdołał rozszerzyć kontrolę nad niemal 90% libijskiego terytorium, podczas gdy rząd w Trypolisie panuje zaledwie nad północno-zachodnią częścią kraju.

Swoją drogę do sukcesu Haftar zawdzięcza nie tylko wytrwałości i cierpliwości, umiejętnemu negocjowaniu czy mądrym militarnym posunięciom, lecz także wsparciu władz egipskich i saudyjskich, które podobnie jak on dostrzegają wroga w Braciach Muzułmanach. GNA ma natomiast po swojej stronie m.in. Turcję, która najchętniej zatrzymałaby marsz Haftara na Trypolis. Gorzej, że tlący się wciąż konflikt między libijskim wschodem a zachodem dzieli także Unię Europejską, m.in. z powodu kryzysu migracyjnego i zagrożenia terrorystycznego.

Libia wciąż pozostaje ważnym punktem węzłowym dla uchodźców i dżihadystów w drodze do Europy. Przykładowo Francja wspiera Chalifę Haftara, obawiając się utraty swoich wpływów w zachodniej Libii na rzecz islamistów. Natomiast Włochy nadal flirtują z Trypolisem, kierującym libijską strażą przybrzeżną, gdyż są zainteresowane zawracaniem afrykańskich migrantów. Libia pozostaje kością niezgody w i tak już napiętych stosunkach między Emmanuelem Macronem i Matteo Salvinim.

Zdaniem ekspertów ds. Bliskiego Wschodu jest tylko kwestią czasu, kiedy armia Haftara wkroczy do Trypolisu, tym bardziej że obecny prezydent USA, w przeciwieństwie do poprzednika, nie obawia się tego, że Libia może zostać kolejną Syrią. Donald Trump zamierza jednak przede wszystkim skończyć z polityką opartą na złudnym przeświadczeniu, że w krajach Bliskiego Wschodu można zbudować demokrację na fundamencie Braci Muzułmanów. W mediach krążą plotki o rozmowach telefonicznych między gospodarzem Białego Domu a libijskim „marszałkiem", a także o przygotowaniach do spotkania bilateralnego.

Ale czy ewentualna wiktoria Haftara w wojnie o Trypolis zmieni sytuację zwykłych Libijczyków? – Wojna coraz bardziej zżera nasze dusze. Młodzi chłopcy z mojej jednostki spędzają całą młodość w okopach, kryjąc się przed bombami i granatami. Nie wiem, czy kiedykolwiek będą mogli prowadzić normalne życie – podsumowuje Hamza.

Wojciech Osiński

Sytuacja w kraju jest tak beznadziejna, że nawet diabeł byłby powitany jak wyzwoliciel, gdyby zdołał ją poprawić.

Tęczowa zaraza dotarła do kościelnego Bizancjum w Licheniu
– o tym reportaż w najnowszym numerze tygodnika „NIE".

eprasa.pl 95b41e7ff6

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Inwazja władzy a sadzenie drzew

Przyznawanie się do słabości to w naszej kulturze „niemęska" rzecz. Masz być silny, skuteczny, zwycięski, pokonywać przeciwności, zwalczać wrogów, zwyciężać, a hymn nasz narodowy podpowiada, „jak zwyciężać mamy". Ale czy te walki, które są podręcznikowymi wzorcami, mogą być doprawdy jakimś przykładem dla nas? Naprawdę tamte wojny to wciąż obrazek do naśladowania? Moja słabość to ostatnio całkowite osłabienie i zużycie rozpalonymi emocjami wokół podróży marszałków (byłych i przyszłych byłych), premierów, kast politycznych. Latają, bo mogą, latają, bo tak pieszczą swoje wyposzczone ego, latają, bo im się należy. Więcej, słyszymy, że lecą, a dużo mniej wiemy po co, dlaczego, co takiego robią, kiedy po nocach nie stanowią złych praw. Prawią o wojnach dawnych, wydają pieniądze na wojny przyszłe, w których i tak jesteśmy bez znaczenia. Nie przygotowują nas do starcia realnego, do którego sami się przyczynili i przyczyniają – do starcia z klęską rozgrzanej planety. Kiedy patrzymy na polską politykę, widzimy, jak rozłazi się to wszystko na boki, jak przecieka między palcami, jak usuwa się spod nóg. Jak nic się nie składa w całość, jak znika rozróżnienie na przyczynę i skutek, jak wyparowuje odpowiedzialność za pojedyncze decyzje i skutki tysięcy decyzji.

Chwilami, mając pełną świadomość absurdalności takiego myślenia, żywię przekonanie, że robią to umyślnie, że psują z wszystkich stron rybę, od głowy przez płetwy boczne do ogona poprzez każdą łuskę, żeby tylko nie dać rady tego pojąć, zareagować, sprzeciwić się, bo za dużo tego. Takiej zmasowanej inwazji władzy na mnie, czyli na nas, nie pamiętam. Tu nas faszyzmem, tam lekceważeniem całych grup społecznych i ich postulatów, służebnością polityczną prokuratury, niewydolnością służby zdrowia, transferami kasy do swoich, demontażem struktur i instytucji państwa, ciszą nad własnymi aferami. I – co najgorsze – absolutnym milczeniem zbywany jest problem zmian klimatycznych i nie tylko ich skutki (nie tyle bolesne, ile zagrażające naszemu istnieniu), ale apokaliptyczny wymiar. Kiedy cały świat krzyczy w tej sprawie (chyba że płonie Syberia – niech płonie za polskie cierpienie, to nie katedra Notre Dame, nasze dziedzictwo, o które trzeba walczyć ramię w ramię z biskupami nienawistnikami) – to nad wyschniętą Wisłą cisza aż huczy jak huragany, które nie występując wcześniej w tych rejonach ziemi, nadchodzą. Drzewa w miastach idą pod piły i topory. Miejskie przestrzenie oddawane są tym, którzy na nich zarobią bez żadnych warunków. Budujta, co i jak chceta. Bez drzew, bez szkół, bez poradni, bez przedszkoli, bez sklepów (a nie, sklepy będą, wszak to ołtarzyki wszechpanującej religii).

I w takich chwilach czytam ze zdumieniem niewartym żadnej czołówki w polskich mediach, że Etiopia jednego dnia posadziła 350 MILIONÓW drzew. Jednego dnia. A wszystko to część planu, żeby zasadzić 4 biliony drzew. Etiopia, o której w polskiej szkole nie dowiemy się niczego, a o wyobrażeniach lepiej zamilczeć. I w takim dniu myślę, że zamiast słuchać polskich bredni o doganianiu i przeganianiu Szwecji, Szwajcarii, Niemiec, chciałbym się poczuć Etiopczykiem.

Kiedy w czerwcu brałem udział w jednej z debat zorganizowanego przez Empik festiwalu literackiego Apostrof, którego kuratorką była Olga Tokarczuk, na koniec dostaliśmy zwyczajowy upominek. Tym razem nie był to magnes, lniana torba z wegańskim nadrukiem ani drewniany ołówek. Dostaliśmy coś żywego i prawdziwego – sadzonki buka. Rozdano ich ponad sto i co najmniej kilkadziesiąt osób pochwaliło się, że je zasadziło. Też posadziłem mój buk. Byłem zmotywowany, bo ostatnio wchodząc w 20. rok trzeźwienia, napisałem o tym fakcie w serwisie społecznościowym. Prawie tysiąc osób zareagowało jak na żadną inną superważną informację, tekst, wydarzenie, które udostępniam. I chwilę później spotkałem drzewo, które zasadziłem właśnie w tamtym czasie, a o którym przez te wszystkie lata nie pamiętałem. Kasztanowiec jest już dorodny, parometrowy, stabilny i nawet potężnawy. Bardzo serdecznie z nim się przywitałem. Na taką słabość dobrze się poważyć. Niemal poczułem się Etiopczykiem.

Tylko jednego dnia Etiopia posadziła 350 milionów drzew.

A potem dowiedziałem się jeszcze, że na punkcie sadzenia drzew oszalała Islandia i zalesia w ogromnym tempie swoje pustkowia po lasach wyciętych przez Wikingów. Żartują, że aby nie zabłądzić w ich lesie, wystarczy wstać. A w tamtych warunkach drzewa rosną dziesięciokrotnie wolniej niż gdzie indziej. Ale sadzą na potęgę. I to jest myślenie o potędze, które imponuje i którego można pozazdrościć. W tym samym czasie aktywiści i aktywistki „Dzikich Karpat" przywożą do Krosna i Warszawy dowody na masowe wycinki Puszczy Karpackiej w Bieszczadach, pod piły idą ponadstuletnie jodły i inne olbrzymy. Będą deski. A z desek nasze trumny. Bo deski to interes, równie dobry jak trumny. Dlatego jestem za kremacją i byciem pośmiertną pożywką dla sadzonki drzewa. I wciąż mam nadzieję, że w tym obłędzie wycinania drzew Polska się zatrzyma i otrzeźwieje.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 95b41e7ff6

Joanna Orzechowska

Nie zaprzyjaźniać się, pozostać z boku

Pracownicy organizacji humanitarnych muszą być otwarci na świat, silni, odporni na stres, niezależni i skuteczni w działaniu

Szczepienie dzieci w obozie dla syryjskich uchodźców w Turcji.

JULIA*
– pracownica organizacji humanitarnej w Syrii

Iloma językami mówisz?

– Dziewięcioma. Polski – wiadomo. Angielski i francuski ze szkoły, niemiecki ze studiów, włoski, bo mi się podobał, hiszpański również ze studiów, serbski, ponieważ przez jakiś czas tam mieszkałam, do tego portugalski oraz arabski i jego dialekty. Nawiasem mówiąc, język arabski uczony w szkołach jest tylko bazą – w poszczególnych regionach ludność posługuje się dialektami i trzeba trochę czasu, żeby z nimi się oswoić. W tej chwili uczę się rosyjskiego.

Przez dłuższy czas pracowałaś na Lesbos jako tłumaczka w dużej organizacji humanitarnej. Teraz jesteś na misji w Syrii z ramienia innej organizacji. Dlaczego Syria?

– Po powrocie z Grecji zgłosiłam swoją kandydaturę do organizacji, w której obecnie pracuję. Kiedy po rozmowach i egzaminach językowych okazało się, że spełniam wymagania, zaproponowano mi jako pierwszą misję pracę w Homs. Takie są zasady funkcjonowania organizacji i należy im się podporządkować.

Po ukończeniu studiów, w tym renomowanej Akademii Dyplomatycznej w Wiedniu, znajomość języków zaprowadziła cię na Lesbos, gdzie tłumaczyłaś historie imigrantów.

– To nie była praca tłumacza, ale stanowisko mediatora kulturalnego, stworzone na potrzeby organizacji humanitarnych. Nie chodziło przy tym o rozwiązywanie konfliktów, tylko o pomoc przy rozwiązywaniu różnego rodzaju problemów – medycznych, ale przy okazji również życiowych.

Tłumaczyłaś wtedy przerażające opowieści o gwałtach i przemocy. Jak dawałaś sobie z tym radę?

– Na Lesbos mieszkają tymczasowo imigranci z całego świata, wielu pochodzi z krajów afrykańskich, np. z Konga. Ich opowieści były bardzo różne, ponieważ wśród pacjentów byli także mężczyźni i dzieci. Rzeczywiście historie ich życia były często tragiczne. W trakcie treningu w organizacjach humanitarnych uczy się nas jednak zachowania niezbędnego dystansu, tzw. suchej empatii – chodzi o to, aby lekarze i pracownicy sami nie popadli w depresję, żeby nie zdruzgotały ich nieszczęścia, z którymi się stykają. Dlatego powtarza się nam, żeby nie zaprzyjaźniać się z beneficjentami, nikogo nie wyróżniać, pozostać z boku. Ja również starałam się więc być neutralna.

W organizacjach humanitarnych kobiety są wręcz wyróżniane: zajmują sporo odpowiedzialnych stanowisk.

W Serbii z kolei koordynowałam cały zespół tłumaczy, siłą rzeczy miałam więc mniej kontaktu z uchodźcami.

Czy są osoby, które nie wytrzymują presji i odpadają?

– Być może, ale osobiście z nimi się nie zetknęłam. Aby tego uniknąć niektóre organizacje opracowały specyficzny system urlopów – co kilka tygodni musimy odpoczywać, żeby odreagować. Poza tym już sama rekrutacja nastawiona jest na wyłowienie specyficznego profilu przyszłych współpracowników: muszą to być osoby otwarte na świat, silne, stabilne pod względem emocjonalnym, odporne na stres, nieprzywiązujące się zbyt łatwo, niezależne i skuteczne w działaniu. To oczywiście również kwestia doświadczenia, ale przede wszystkim odpowiednich predyspozycji psychicznych. Widocznie przynajmniej częściowo do takich odpornych osób się zaliczam, ponieważ codzienne wysłuchiwanie strasznych historii nie wywołało u mnie jakiejś wyjątkowej traumy. Być może dlatego,

eprasa.pl 95b41e7ff6

że kierujemy się dopracowanymi w najdrobniejszych szczegółach procedurami. Mamy także zapewnioną pomoc psychologiczną.

W Syrii również stykasz się z ofiarami wojny.

– Charakter mojej pracy jest zupełnie inny, ale oczywiście ma bezpośredni związek z działaniami wojennymi. Moja organizacja na całym świecie zajmuje się m.in. poszukiwaniem zaginionych. Rejestrujemy tego typu przypadki. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Pracujesz w Homs, mieście praktycznie zmiecionym z powierzchni ziemi w trakcie walk syryjskich sił rządowych z ugrupowaniami opozycji. Jak można żyć i pracować w gruzach?

– Miasto rzeczywiście zostało częściowo zniszczone, ale powróciło do niego życie – człowiek potrafi je tchnąć nawet w ruiny. Nasza grupa ma zapewnioną podstawową infrastrukturę życiową – czuwa nad tym organizacja. Życie w Homs jest więc możliwe.

Jak to zmieniło twoje spojrzenie na człowieka i problem imigracji? W Polsce sprawa imigrantów pozostaje bardzo nagłośniona, a opinia społeczna odnosi się do nich zdecydowanie niechętnie.

– Spojrzenie z punktu widzenia Europy jest nastawione na zagrożenie. Jest to podejście całkowicie nierealistyczne, ponieważ w dzisiejszym świecie nie będziemy mogli uniknąć ruchów migracyjnych – każdy człowiek szuka przecież bezpieczeństwa. Nie zapominajmy jednak, że podejmowane środki – mury, zasieki, kontrole – powodują, że migracja staje się niebezpieczeństwem samym w sobie. Ludzie uciekają od bomb czy walk po to, żeby ginąć na przepełnionych łodziach czy wpadać w ręce przemytników. Nawiasem mówiąc, Europa przyjęła bardzo mały procent uchodźców. Najwięcej jest ich w Turcji, Jordanii, Libanie, w krajach afrykańskich. Ucieka się bowiem z reguły jak najbliżej, tam gdzie panuje względny spokój. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja uchodźców jest nie do pozazdroszczenia – powinni pamiętać o tym ci, którzy ich demonizują. Organizacje humanitarne nie zajmują się jednak kontekstem politycznym – tym, czy ci ludzie powinni tu być, czy nie, jakie mają problemy życiowe i jaka przyszłość ich czeka. Dostarczają doraźnej pomocy – za każdym razem mamy przed sobą konkretnego człowieka, który ma konkretny problem i staramy mu się pomóc.

Zetknęłaś się z przedstawicielami różnych kultur. Co one wniosły do twojego życia? Co nas łączy?

– Za każdym razem uderza mnie wspólnota potrzeb i odczuć. Każdy człowiek, z jakiegokolwiek kraju czy grupy etnicznej, odczuwa potrzebę bezpieczeństwa, miłości, akceptacji. Kobiety z Syrii czy z Niemiec, które straciły dziecko, cierpią tak samo. To cierpienie może się wyrażać w inny sposób, w innym języku kulturowym czy pojęciowym, ale na najbardziej podstawowym poziomie jego natura pozostaje ta sama, wspólna dla całego rodzaju ludzkiego. Wszyscy jesteśmy do siebie podobni, choć oczywiście pochodzenie oraz system wychowania kształtują nas w określony sposób. Pod warstwą będącą efektem określonej kultury grupy czy narodu, wychowania czy indywidualnych wzorców rozciąga się jednak płaszczyzna uniwersalnych wartości. Dzięki temu możemy się zrozumieć, niezależnie od języka, jakim się posługujemy – nasze doświadczenia, dążenia, marzenia są w gruncie rzeczy identyczne.

Czego nauczyła cię praca z uchodźcami?

– Pokory. Kiedy spotyka się ludzi, którzy tyle przeszli i których nic nie złamało, nawet cierpienia wydawałoby się nie do zniesienia, którzy mają w sobie jakąś niezwykłą siłę, oczywiście przewartościowuje się własne priorytety i zmienia własne spojrzenie na życie. Wbrew temu, co się mówi, ci ludzie niosą nadzieję.

Od 18. roku życia nie mieszkasz praktycznie w Polsce. Odwiedzasz jednak regularnie rodzinę. Polska pozostaje dla ciebie wciąż punktem odniesienia?

– Wyjechałam najpierw na studia, następnie na drugie studia, a jeszcze później okazało się, że możliwości pracy poza Polską są w moim przypadku o wiele bardziej interesujące. Regularnie wracam jednak do Łodzi, gdzie mieszka moja mama, przez kilka miesięcy nawet tu pracowałam, ale prowadzenie przez telefon rachunkowości po francusku nie dawało mi specjalnej satysfakcji. Co zabawne, spotkana przypadkowo w Łodzi osoba bardzo się dziwiła, że znowu chcę jechać na misję humanitarną – jej zdaniem z moją znajomością języków mogłam z łatwością złapać kontrakt w korporacji! Mówiąc poważnie – nie wiem właściwie, gdzie mieszkam. Mieszkam tam, gdzie właśnie jestem – to mi bardzo odpowiada. Takich jak ja są tysiące, a może nawet miliony – pochodzą z jednego kraju, mieszkają w innym lub też ciągle są w drodze, ich partner czy partnerka zaś mieszka jeszcze gdzie indziej. Nowoczesne technologie komunikacyjne sprawiły, że nie ma już granic. Świat stoi dla nas otworem. W tym kontekście pytanie „gdzie mieszkasz?" staje się przestarzałe.

Zawsze fascynowały cię podróże. Można powiedzieć, że przecierałaś szlaki – jako młoda dziewczyna jeździłaś w miejsca, gdzie nie spotykało się raczej samotnych kobiet – myślę o Jemenie, Iranie czy Ameryce Łacińskiej. Przez dłuższy czas mieszkałaś w Egipcie. W Gwatemali spałaś w namiocie. Nigdy się nie bałaś?

– Nie myślałam o tym, że mogę się bać – może dlatego nigdy nie miałam problemów, nawet w Jemenie czy w innych krajach arabskich. Natomiast Ameryka Łacińska nie jest szczególnie niebezpieczna, mimo że tyle pisze się o przemocy, chociażby w Meksyku. To jednak prawda, że zawsze ciągnęło mnie w rejony, gdzie nie dotarła jeszcze masowa turystyka. Moje podróże to podróże do ludzi – interesuje mnie, gdzie mieszkają, jak żyją, o czym myślą. Zawsze szukam kontaktów. Kiedy mówi się

Jako pracownicy humanitarni co kilka tygodni musimy odpoczywać, żeby odreagować.

Europa przyjęła bardzo mały procent uchodźców. Najwięcej jest ich w Turcji, Jordanii, Libanie, w krajach afrykańskich.

FOT. ANADOLU AGENCY/EAST NEWS

eprasa.pl 95b41e7ff6

Elżbieta Czykwin
Anders Breivik
Między dumą a wstydem
Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2019

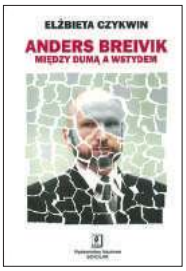

Prof. nauk społecznych Elżbieta Czykwin z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, analizując kazus Breivika, który 22 lipca 2011 r. pozbawił życia 77 osób, odpowiada na pytanie: jakie cechy współczesności sprzyjają pojawieniu się postaci tego rodzaju. Najczęściej mówi się w podobnych sytuacjach o dysfunkcjonalnej rodzinie, powszechnym narcyzmie oraz szkodliwym wpływie internetu. Autorka wskazuje na jeszcze inne społeczne wymiary przypadku Breivika i osobowości jemu podobnych: złamanie naturalnego oporu przed zabijaniem, status incela (odrzuconego przez kobiety mizogina). Na plan pierwszy wysuwają się kluczowe kwestie wstydu i poniżenia jako decydujące w genezie agresji. Breivik został jednak skazany nie za takie czy inne poglądy, lecz za zbrodnię, której dokonał. Wprawdzie jest wielu ludzi, którzy podzielają jego niespójny polityczny punkt widzenia, ale przecież nie decydują się na podobne akty terrorystyczne, które są przedmiotem analizy autorki tej bardzo interesującej i dociekliwej, wielonurtowej książki.

Agata Diduszko-Zyglewska
Krucjata polska
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019

Autorka od lat walczy o wolną od kościelnego przymusu Polskę, bo jest to kraj, w którym Kościół ma szczególną pozycję. Sprawuje rząd dusz nad malejącą częścią społeczeństwa i większością elit politycznych. Jego majątek rośnie. Sprzyja mu dziś populistyczny rząd. Dlatego w Polsce rośnie opór. Toczy się bitwa o świeckie państwo, poszanowanie konstytucji, wolność światopoglądową szkoły, pociągnięcie przestępców w sutannach do odpowiedzialności za molestowanie dzieci. Felietony, dłuższe teksty i rozmowy zamieszczone w tej książce dokumentują kolejne etapy i punkty zwrotne prawicowo-katolickiej krucjaty przetaczającej się przez Polskę z rosnącą intensywnością.

językiem danego kraju, jest to dużo prostsze, mieszkańcy łatwiej nas akceptują, przestajemy być intruzami, stajemy się częścią wspólnoty. Nigdy nie zastanawiałam się specjalnie nad kwestią bezpieczeństwa – dopiero dzisiaj, kiedy pracuję dla organizacji, w której istnieją liczne obostrzenia w zakresie poruszania się, zdaję sobie sprawę z tego, że rzeczywiście są miejsca, w które lepiej się nie zapuszczać. Przedtem po prostu zakładałam, że będzie dobrze. I było. Poza tym lubię podróżować sama – na dłuższą metę towarzystwo mnie po prostu męczy. Mogę wytrzymać z kimś przez kilka dni, ale po prostu nie wyobrażam sobie dłuższego przemieszczania się z inną osobą. Czy z grupą!

Czy z twoim wykształceniem nie kusiła cię praca w dyplomacji?

– Owszem, był taki moment. Zdawałam nawet egzaminy do polskiego MSZ, ale nie zostałam zaakceptowana. Wtedy odebrałam to jako porażkę, ale dziś już tego nie żałuję – nie muszę się zajmować polityką, a organizacja, dla której pracuję, jest neutralna. Bardzo mi to odpowiada – doceniam możliwość pracy z ludźmi, którzy pragną, żeby innym było lepiej, i na własną, niewielką skalę próbują coś zmienić.

Świat stoi dla nas otworem. W tym kontekście pytanie „gdzie mieszkasz?" staje się przestarzałe.

Kim są?

– Wywodzą się z różnych środowisk. Ludzie coraz bardziej mają dość wyścigu szczurów i pragną nadać sens swojemu życiu. Szukają go w pracy w organizacjach humanitarnych czy w stowarzyszeniach niosących pomoc innym. Jest ich coraz więcej. Mogą to być osoby samotne, ale również takie, które mają rodziny. Wbrew myślowym schematom nie wszyscy pracownicy organizacji humanitarnych są też młodzi – niektórzy należą do grupy 50+ a nawet 60+. Są wśród nich księgowi, architekci, dyrektorzy przedsiębiorstw, lekarze. Często pochodzą z rodzin dyplomatów i jako dzieci często zmieniali miejsce zamieszkania. Ogólnie biorąc, ludzie coraz częściej podróżują, stykają się więc z nieszczęściami, biedą. To im daje do myślenia.

Dużo się mówi teraz o maczyzmie i szykanowaniu kobiet w środowisku zawodowym. Czy sama zetknęłaś się z tym zjawiskiem?

– Osobiście niczego takiego nie doświadczyłam, chociaż muszę przyznać, że nasłuchałam się tego typu opowieści. Dotyczyły jednak sytuacji, które wydarzyły się kilka czy kilkanaście lat temu. Ja sama nie padłam ofiarą jakiejkolwiek dyskryminacji jako kobieta. Wręcz przeciwnie, odniosłam wrażenie, że w organizacjach humanitarnych kobiety są wręcz wyróżniane: zajmują sporo odpowiedzialnych stanowisk. Zaszła więc radykalna zmiana.

Nie unikniemy ruchów migracyjnych – każdy człowiek szuka przecież bezpieczeństwa.

A gdzie widzisz się za kilka czy kilkanaście lat?

– Nie mam pojęcia. To nie ode mnie zależy – jeśli będę dalej pracować w tej organizacji, będzie to zależało od moich kolejnych misji. Ale nie sądzę, że mogłabym gdzieś zamieszkać na dłużej, gdzieś osiąść. Nigdy nie przywiązywałam się do miejsc.

A do ludzi?

– Od wielu lat regularnie rozstaję się z bliskimi mi ludźmi w kolejnych krajach. Pożegnania są trudne, ponieważ mamy bardzo mało czasu, nawiązujemy ze sobą bardzo silną więź. Z reguły utrzymujemy jednak ze sobą regularne kontakty – pula międzynarodowych pracowników organizacji humanitarnych jest ograniczona, spotykamy się więc na kolejnych misjach. Stanowi to dla mnie pewien problem, ale powtarzam sobie, że żyję w świecie nomadów. Ten świat ma jednak pewne stałe punkty – to Łódź i inne miasta, w których mieszkałam i do dziś mam w nich przyjaciół i znajomych. Ale to też się zmienia – mój bliski przyjaciel z Lizbony zamierza na przykład przenieść się do Chin...

* Ze względu na wymogi bezpieczeństwa nie możemy podać nazwiska rozmówczyni i niektórych danych.

eprasa.pl 95b41e7ff6

TO W PRL UPAMIĘTNIONO OFIARY POWSTANIA

List do prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Szanowny Panie Prezydencie,

W czasie obchodów 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego padło z Pana ust stwierdzenie, że historia rzezi na Woli była za czasów PRL zatajana.

Szybkie przemieszczanie się luksusowymi limuzynami z przyciemnianymi szybami nie pozwala Panu dostrzec tablic upamiętniających ofiary ludobójstwa na Woli (w tym kilku na dawnym terenie Zakładów Ursus, gdzie doszło do najstraszniejszych zdarzeń), Ochocie, w Śródmieściu i w innych dzielnicach Warszawy.

Poza tym dokładna historia Warszawy nie jest być może Panu zbyt bliska, bo przecież nie jest Pan rodowitym warszawiakiem.

Te wszystkie miejsca zostały upamiętnione właśnie za czasów znienawidzonego przez Pana PRL. Natomiast w świadomości mieszkańców Warszawy istnieją one od bardzo wielu lat.

Należałoby też wspomnieć o tysiącach miejsc upamiętniających śmierć żołnierzy, ludności cywilnej w całej Polsce i za granicą, m.in. na Westerplatte, Monte Cassino, Pawiaku, w Oświęcimiu, na Majdanku i w wielu innych obozach koncentracyjnych. Wszystkie zostały odsłonięte w czasach PRL, co chętnie wymazałby Pan z historii i pamięci.

Powstały one dzięki zaangażowaniu i benedyktyńskiej, społecznej pracy Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa pod przewodnictwem – w latach 1960-1981 – szefa Urzędu Rady Ministrów ministra Janusza Wieczorka, żołnierza kampanii wrześniowej, kleeberczyka, uczestnika bitwy pod Kockiem, jeńca oflagu w Murnau, który w rzezi na Woli w dniu 5 sierpnia stracił całą najbliższą rodzinę – rodziców oraz brata i siostrę z rodzinami. Brat Jego żony, Alicji Wieczorek, Roman Ciesiołkiewicz, ksiądz z parafii św. Wojciecha, został rozstrzelany 8 sierpnia za pomoc udzielaną ludności cywilnej.

Dokładniejsze informacje poświęcone osobie Janusza Wieczorka znajdują się m.in. na stronach Wikipedii.

Właśnie w okresie PRL, dzięki Radzie, wydano tysiące albumów, książek, folderów i innych publikacji poświęconych miejscom walk, straceń, kaźni z czasów II wojny światowej.

W „Przewodniku po upamiętnionych miejscach walk i męczeństwa – lata wojny 1939-1945" (Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1988, wydanie IV) jest zamieszczony ich spis, także tych z Powstania Warszawskiego, poświęconych ofiarom cywilnym i wojskowym. Należy też przypomnieć, że pomnik u zbiegu Leszna i al. Solidarności ku czci ofiar rzezi na Woli został odsłonięty w 2004 r., za czasów rządów SLD.

Natomiast w okresie ostatnich 30 lat kolejne rządy nie były i nadal nie są w stanie postawić muru z nazwiskami cywilnych ofiar Powstania Warszawskiego. Mimo wielu szumnych zapowiedzi i obietnic jakoś nie może się on doczekać realizacji.

Tablice postawione za czasów PRL upamiętniają miejsca rzezi, natomiast obecne władze powinny kontynuować prace i oddać cześć poszczególnym pomordowanym, bo przecież wielu z Nich nie ma grobów, a ich rodziny nie znają nawet dokładnego miejsca śmierci swoich bliskich.

Ograniczanie działalności do składania kwiatów i wygłaszania płomiennych, nadekspresyjnych przemówień świadczy o bardzo powierzchownym traktowaniu tych faktów z historii Warszawy.

Panie Prezydencie, we wspomnianej wyżej publikacji są również zamieszczone informacje o setkach miejsc upamiętnienia w bliskim Pana sercu dawnym województwie krakowskim, odsłoniętych w latach 40., 50., 60. i 70., np. odsłoniętym w 1964 r. pomniku w Płaszowie, mauzoleum partyzantów AK, GL-AL, BCh, tablicy pamiątkowej fabryki broni AK, imiennych tablicach zamordowanych żołnierzy różnych formacji, w tym też AK, tablicach ku czci rozstrzelanych profesorów krakowskich uczelni i wiele, wiele innych.

Paradoksalnie pomnik Powstania Warszawskiego na placu Krasińskich to też dzieło wykonane dzięki inicjatywie władz PRL, o czym wolałby Pan zapomnieć, licząc na demencję wszystkich Polaków.

Piotr Wieczorek
(syn Janusza i Alicji),
Beata Sokalska-Wieczorek

Protest przeciw dewastacji pomnika gen. Berlinga

My, weterani i rezerwiści Wojska Polskiego i służb mundurowych z oburzeniem i żalem przyjmujemy fakt dewastacji pomnika gen. Zygmunta Berlinga, dowódcy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, wzniesionego ze środków społecznych w Warszawie. Nie wolno wymazywać z pamięci pokoleń bohaterskich tradycji Wojska Polskiego. (…) Osoby i organizacje, które dopuściły się zniszczenia tego pomnika, powinny zostać ukarane zgodnie z obowiązującym prawem.

Edward Skrzypczak, wiceprezes Oddziału Wojewódzkiego Związku Weteranów i Rezerwistów WP
Kazimierz Seredyński,
prezes Poznańskiego Oddziału Powiatowego ZWiRWP

Czczenie Brygady Świętokrzyskiej dzieli Polaków

Celebracja przez głowę państwa polskiego rocznicy sformowania Brygady Świętokrzyskiej NSZ prowadzi do jeszcze większego skłócenia Polaków. Swoim patronatem prezydent gloryfikuje formację, która po 1945 r. liczyła na wszczęcie w Polsce wojny domowej i dała tej wojnie zaczyn trwający co najmniej do 1947 r. Tym samym deprecjonuje Wojsko Polskie powołane 21 lipca 1944 r. i stojące na straży granic naszej ojczyzny aż do roku 1989. Równocześnie pozbawia godności tych rodaków, których przodkowie w latach wojny byli torturowani i rozstrzeliwani przez Brygadę Świętokrzyską NSZ. Jeśli prezydent RP pozytywnie rozumie piastowaną funkcję ojca narodu, powinien także celebrować spotkanie z potomkami tych ofiar i uhonorować je.

Pytamy też, czy prezydent publicznie wyrazi opinię na temat wszczętej w Polsce wojny pomnikowej, w szczególności zburzenia pomnika Wdzięczności Armii Radzieckiej w Parku Skaryszewskim w Warszawie w 2018 r., a teraz pomnika gen. Zygmunta Berlinga.

Roland Dubowski, prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej oraz członkowie zarządu

eprasa.pl 95b41e7ff6

Tomasz Wojciechowski

Przechytrzyć wroga

To dzięki dezinformacji udało się zachować w tajemnicy prawdziwe miejsce lądowania aliantów w Normandii w 1944 r.

Wygląda na zamieszkaną, poruczniku. Jeśli to prawda, co pan mówi, to gdzie są ich samochody? – zapytał mjr George Driscoll, dowódca sekcji rozpoznania lotniczego amerykańskiej 9. Armii Powietrznej. Studiował uważnie przekazane mu zdjęcia z rozpoznania lotniczego, na których widać było zabudowę typowej z pozoru francuskiej farmy. Było lato 1944 r.

– Tutaj, w tym lasku. Za dużo w nim gałęzi. O tej porze roku powinno być trochę mniej zieleni. Prawdopodobnie dodano sporo sztucznego listowia. I proszę popatrzeć na te stogi. W tych stronach Francuzi układają siano inaczej, w długie sterty.

Podejrzany lasek i kępy krzaków, które wyrosły w ciągu 10 dni, plus postawione nagle drewniane szopy spowodowały, że mjr Driscoll polecił dokonanie nalotu. Jak się okazało, rzekoma farma była ważnym węzłem łączności niemieckiego Wehrmachtu, a jej zniszczenie spowodowało spore zamieszanie w szeregach wroga.

Chiński generał i teoretyk wojskowości Sun-Tsu twierdził, że „każda sztuka wojenna opiera się na podstępie". Maskowanie, kamuflaż, sprowadzają się do jednego – jak ukryć swoje prawdziwe zamiary i zdezorientować przeciwnika. Z wagi tych działań doskonale zdawali sobie sprawę dowódcy wojsk alianckich podczas II wojny światowej. To dzięki umiejętnej dezinformacji udało się wprowadzić w błąd feldmarszałka Erwina Rommla pod El Alamein oraz zachować w tajemnicy prawdziwe miejsce lądowania aliantów w Normandii w 1944 r.

Aby blef był skuteczny, należało oczywiście zachować wszelkie pozory wiarygodności i zadbać o szczegóły. Fałszywe oddziały pancerne musiały przy przemieszczaniu się podnosić tumany kurzu, a gumowe imitacje pojazdów wyglądać jak prawdziwe, by zdjęcia wykonywane przez nieprzyjacielskie samoloty zwiadowcze, wskazywały, że faktycznie znajdują się tam czołgi. Japończycy na Pacyfiku wprowadzali Amerykanów w błąd, tworząc fałszywe stanowiska artylerii z armat wykonanych z drewna bambusa; ich obsługą byli „żołnierze" wykonani z trawy. Na zdjęciach lotniczych trudno było odróżnić, czy to prawdziwe stanowisko ogniowe, czy imitacja. Japończycy potrafili także w przemyślny sposób ukryć całe lotniska, a w dżungli byli mistrzami tzw. kamuflażu osobistego.

Podczas lądowania w Normandii razem z prawdziwymi spadochroniarzami zrzucono setki kukieł – fałszywych spadochroniarzy.

Alianci przed inwazją na Sycylię podrzucili Niemcom spreparowanego trupa, który był oficerem zmarłym podczas katastrofy. W jego teczce znaleziono plany inwazji na Grecję i Peloponez. Hitler w nie uwierzył. Podczas II wojny światowej zarówno alianci, jak i wojska Osi stosowali działania mające zmylić przeciwnika. Często decydowało to o wyniku batalii.

Okpić Rommla

Brytyjczycy w czasie bitwy o Anglię tworzyli fałszywe lotniska polowe RAF-u, na które spadały prawdziwe bomby samolotów Luftwaffe. Podobnie rzecz się miała w Afryce Północnej. Powołany w 1940 r. zespół znany jako „A" Force miał stosować różne chwyty kamuflażowe. Jednostką dowodził brygadier Dudley Clark – twórca komandosów. „A" Force była jednostką elitarną – w szczytowym okresie liczyła 41 oficerów, 76 podoficerów i trzy kompanie żołnierzy. Mogła też liczyć na pomoc informa-

eprasa.pl 95b41e7ff6

torów i agentów wywiadu. Ale jak zwerbować specjalistów w zakresie mistyfikacji i gry pozorów?

Jeśli specjalista, to tylko mjr Jasper Maskeline, przed wojną popularny w Wielkiej Brytanii iluzjonista. Jego zespół zwano gangiem magików. Dla „magików" nie było rzeczy niemożliwych. Podczas oblężenia Tobruku przez Niemiecki Korpus Ekspedycyjny gen. Erwina Rommla kwestią kamuflażu najważniejszych obiektów w twierdzy zajmował się Geoffrey Barkas – w cywilu scenograf filmowy. Zadbał zwłaszcza o zabezpieczenie oczyszczalni wody, bez której obrońcy długo by nie wytrzymali. Po prostu sfingował efekty nalotu niemieckiego lotnictwa, co wystarczyło, by Niemcy uznali oczyszczalnię za całkowicie zniszczoną. Udało się też względnie zabezpieczyć port przed bombardowaniem poprzez skierowanie nalotów na specjalnie spreparowane cele (w tym wypadku imitacje barek i okrętów transportowych). Na konto specjalistów z „A" Force należy też zaliczyć udane pozorowanie istnienia całej dywizji pancernej czy umiejętne schowanie magazynów z zaopatrzeniem pod okiem nacierających Niemców. Po wojnie szef sztabu Rommla, gen. Fritz Bayerlein, dowiedziawszy się, co znajdowało się w zasięgu Afrika Korps, stwierdził: „Gdybyśmy wiedzieli o tych składach, wygralibyśmy bitwę".

W zespole bardzo przydał się kpt. Stephen Sykes, w cywilu malarz i artysta ceramik. Dzięki niemu alianci zbudowali dworzec towarowego z systemem szyn. Makieta była tak wiarygodna, że przez wiele dni stanowiła cel nalotu niemieckich bombowców.

Rommel stanął jednak ze swoją armią niebezpiecznie blisko Kairu. El Alamein miało być ostatnią próbą powstrzymania „Lisa Pustyni". Siły Rommla były osłabione, musiał więc się zatrzymać, by czekać na posiłki. Brytyjczycy i ich sojusznicy byli w odmiennej sytuacji. Jednak dowódca 8. Armii Bernard Law Montgomery, mimo że wraz z upływem czasu zyskiwał przewagę w sprzęcie i zaopatrzeniu, obawiał się atakować. Jak w tej sytuacji zmusić Niemów, by atakowali? Najlepiej podsunąć im miejsce, które idealnie nadaje się do przeprowadzenia ataku. Wojna na pustyni była o tyle specyficzna, że często nie istniała tam jednolita linia walk, podstawą był ruch, manewr. Czołgi Rommla miały zamiast dogodnego do szarży terenu trafić wprost w ruchome piaski i bagna. I tak się stało. Rommel połknął haczyk. Zainicjowano przypadkową potyczkę między liniami frontu, a niemieccy zwiadowcy znaleźli w jednym ze zniszczonych pojazdów plik papierów, w tym mapę sztabową z zaznaczonymi pozycjami wokół wzgórz Alam Halfa. Mapa była autentyczna, jednak naniesiono na nią fałszywą ścieżkę wiodącą pomiędzy bagnami. Rommel w nieudanym natarciu na tę pozycję stracił prawie 50 czołgów i 70 dział.

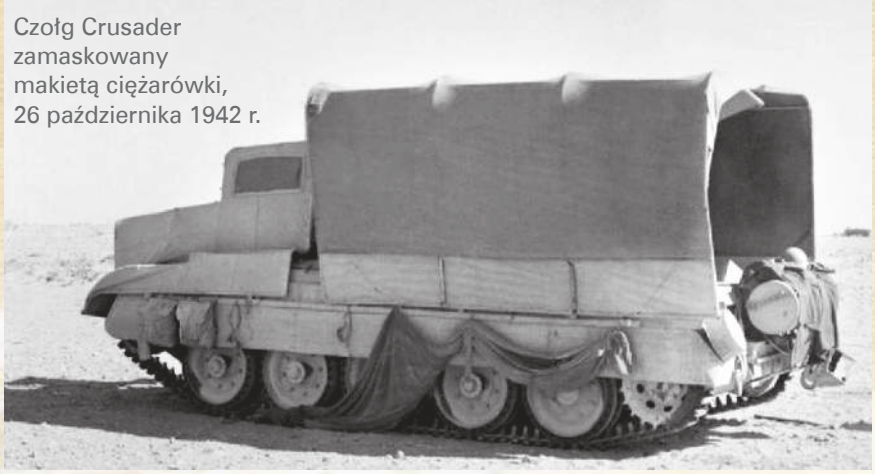

Czołg Crusader zamaskowany makietą ciężarówki, 26 października 1942 r.

Operacja „Fortitude North" miała przekonać Niemców, że celem alianckich desantów w 1944 r. będzie Norwegia.

Niedługo po tym zdarzeniu szef „A" Force podczas rozmowy w sztabie brytyjskiej 8. Armii usłyszał: – Musicie ukryć 150 tys. ludzi z tysiącem dział oraz tysiąc na równinie płaskiej i twardej jak stół bilardowy i do tego tak, by Niemcy nic o tym nie wiedzieli, chociaż będą oczy wypatrywać, obserwując każdy ruch.

– Jasne, że tego nie da się zrobić, ale my oczywiście musimy w to świństwo się pakować! – opowiadał podkomendnym ppłk Geoffrey Barkas.

Mieli mało czasu. W ciągu miesiąca należało upozorować koncentrację sił na południowym odcinku frontu, by przekonać Niemców, że uderzenie nastąpi w okolicach depresji Kattara. Zbudowano więc czołgi ze sklejki i umieszczono je na łazikach. Siedemset przygotowanych makiet załatwiło sprawę.

Z kolei na północy masy sprzętu i zapasów schowano w zapomnianych już transzejach wokół El Alamein. Ale jak ukryć pojazdy trzech dywizji pancernych? Jako maski dla czołgów i wozów pancernych użyto ciężarówek. Ustawiono je tak, by nie rzucały się nachalnie w oczy obserwatorom z nożycowymi lornetkami.

Nocą między pustynią a istniejącymi bazami zaopatrzenia kursowały transporty, aby uśpić czujność Niemców co do zwiększenia dostaw.

Ostatecznie natarcie wyprowadzone przez Brytyjczyków, znane jako druga bitwa pod El Alamein, odniosło sukces. – Dzięki wspaniałemu systemowi kamuflażu osiągnięto na pustyni całkowite zaskoczenie taktyczne – oznajmił w Izbie Gmin premier Winston Churchill.

Kryptonim „Bodyguard"

Największym wyzwaniem była jednak dla aliantów inwazja na kontynent europejski w 1944 r. Chodziło o to, by przeciwnik nie znał miejsca desantu. Bo o ile alianci mogli ogniem z dział i lotnictwem przytłumić obronę Niemców na wybrzeżu, o tyle rozszerzenie przyczółków i marsz naprzód pod ogniem niemieckich czołgów wiązały się z ogromnymi stratami. Operacja, która miała osłonić lądowanie aliantów w Normandii, nosiła kryptonim „Bodyguard" i angażowała polityków, dziennikarzy i szefów sztabów.

Mniejsza operacja, zwana „Fortitude North", miała przekonać Niemców, że celem alianckich desantów w 1944 r. będzie Norwegia. Hitler, dla którego Norwegia była ważna,

FOT. WIKIPEDIA (2)

eprasa.pl 95b41e7ff6

utrzymywał tam siły liczące 400 tys. żołnierzy. Aby pozostali oni na norweskim wybrzeżu, zainicjowano przygotowania do alianckiego desantu, który miał wyruszyć ze Szkocji. Utworzono specjalnie całą armię, która składała się także z jednostek tyłowych i przeprowadzała manewry. Powstawały makiety czołgów, tworzone m.in. ze sklejki. Prasa informowała o wydarzeniach towarzyskich i meczach rozgrywanych w armii dokonującej inwazji na Skandynawię. Przekazywano wiadomości radiowe, wypuszczano kontrolowane przecieki informacji z agencji wywiadowczych. Alianci mieli po wylądowaniu kontynuować natarcie razem z Armią Czerwoną.

Z kolei na Bliskim Wschodzie działał program „Zeppelin", mający przekonać Niemców, że inwazja nastąpi na Bałkanach i Krecie. Podczas konferencji w Teheranie miano ustalić wszystkie szczegóły operacyjne, podano nawet termin rozpoczęcia inwazji. Oczywiście zadbano o to, by Niemcy o tym się dowiedzieli. Podobnie jak o istnieniu silnego zgrupowania inwazyjnego, będącego brytyjską armią. Mało, w jej skład wchodziła nawet fikcyjna polska dywizja piechoty i dywizja pancerna. Ruszyły przygotowania do zbudowania makiet pojazdów. Na bazie cywilnych kutrów i jachtów pośpiesznie konstruowano też repliki barek i okrętów desantowych. I wszystko się udało. „Nie mamy pojęcia, skąd uderzą alianci", notował w dzienniku jeden z oficerów wywiadu Abwehry.

Odpowiednie akcje pozoracyjne miały także zatrzymać Niemców na południu Francji. Mogli oni się spodziewać uderzenia z Bliskiego Wschodu.

Wreszcie należało przekonać Niemców, że co prawda miejscem inwazji będzie Francja, ale nie Normandia. Dowództwo niemieckie powinno być przekonane o innym jej terminie i nie mieć też pewności co do tego, czy nastąpi jedno lądowanie, czy też inwazja podzielona będzie na kilka etapów. Gdy dokonał się faktyczny desant, wściekły Hitler pytał swoich generałów: – A więc to już jest, czy nie jest inwazja?

Spadochroniarze kukiełki

Operacja „Quicksilver" będąca częścią „Bodyguarda" miała przekonać Niemców, że siły desantowe gromadzą się wokół Dover. Potencjalne siły inwazyjne tworzyła 1. Grupa Armii USA – FUSAG. Rozmieszczone w Szkocji i Irlandii 1. Armia kanadyjska oraz 3. Armia amerykańska naprawdę wchodziły w skład FUSAG. Sam sztab FUSAG mieścił się w Londynie. Aby uwiarygodnić całe przedsięwzięcie, dowódcą tych sił mianowano gen. George'a Pattona. Tak znany generał wzmacniał prawdziwość związku taktycznego. Niemcy mieli prawo przypuszczać, że dopóki Patton zostaje w Wielkiej Brytanii, inwazji jako takiej nie będzie.

Patton tymczasem wczuł się w rolę dowódcy – wizytował jednostki i sztaby, odbywał konferencje prasowe, brał udział w oficjalnych uroczystościach. Gros informacji na temat FUSAG dostarczali zresztą podwójni agenci zwerbowani przez wywiad angielski. Działali oni pod pseudonimami „Garbo" i „Brutus". Notabene „Brutus" był Polakiem, w latach 1940-1941 kierował tajną organizacją we Francji. Specjalne służby radiowe aliantów imitowały w sumie aż 22 fałszywe jednostki łączności, zgłaszające problemy ze sprzętem, dyscypliną, informujące o zmianie lokacji itp.

W kwietniu 1944 r. sztab niemiecki ocenił, że „ataku można się spodziewać lada chwila, gdyż oddziały inwazyjne czekają tylko na podstawienie transportowców i barek desantowych". Już podczas samego lądowania w Normandii odbyła się operacja „Titanic". Aby wprowadzić zamieszanie wśród żołnierzy Wehrmachtu, razem z prawdziwymi spadochroniarzami zrzucono setki kukieł – fałszywych spadochroniarzy.

A co się działo z siłami FUSAG? Związek widmo wypełnił swoje zadanie. Niemiecki dowódca tego odcinka, feldmarszałek Erich von Rundstedt, nadal się spodziewał drugiego rzutu wojsk inwazyjnych. Japoński *attaché* wojskowy w Berlinie wysłał do Tokio depeszę: „Zważywszy, że jedna samodzielna Grupa Armii stacjonuje na południowo-wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii, można przypuszczać, że przeciwnik planuje przerzucenie jej w rejon Calais i Dunkierki". Dzięki temu blefowi Hitler zachował w rezerwie 15. Armię, która stanowiła realne zagrożenie dla wojsk inwazyjnych.

Gen. Dwight Eisenhower już po wojnie wspominał że „gdyby niemiecka 15. Armia została użyta w czerwcu lub na początku lipca, to moglibyśmy zostać przygnieceni liczebnie".

Oddajmy na koniec głos ppłk. Barkasowi, który podsumował działania „A" Force: „Miło jest czuć, że kamuflaż pomógł frontowym żołnierzom rozpocząć bitwę w dogodniejszych warunkach i osiągnąć zwycięstwo za najniższą cenę krwi".

Tomasz Wojciechowski

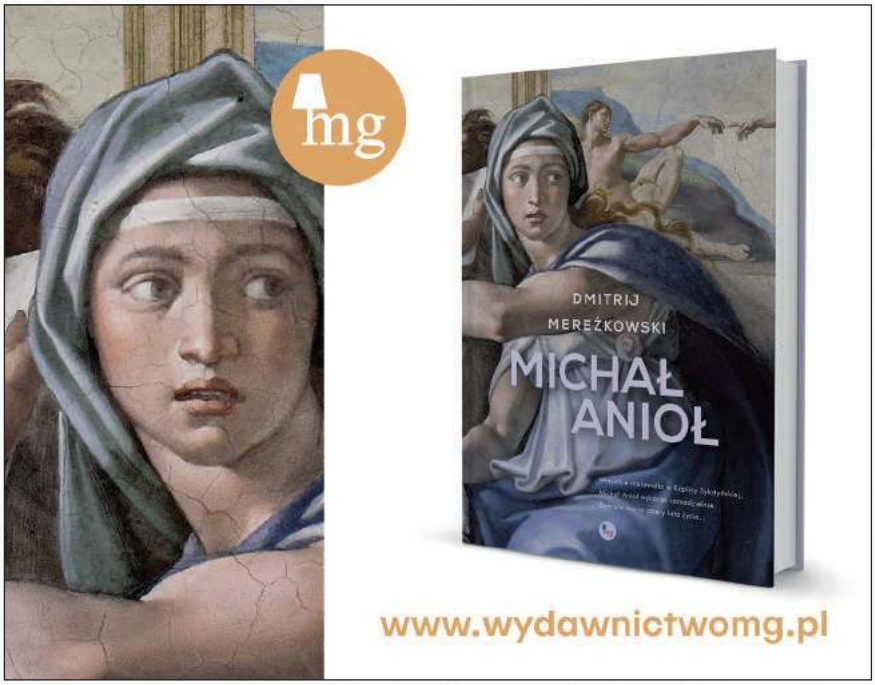

eprasa.pl 95b41e7ff6

Sztuka w miejscach śmierci

Prof. dr hab. Halina Taborska – filolog, filozof, historyk sztuki, wykładowca akademicki, w latach 2011-2017 pełniąca funkcję rektora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie – od dziesięcioleci zajmuje się badaniami nad sztuką upamiętniającą ofiary II wojny światowej w Europie. Najnowsze opracowanie przygotowane we współpracy z Marianem Turskim, publicystą, więźniem Auschwitz i Buchenwaldu, jest wynikiem 25 lat gromadzenia, dokumentowania oraz opracowywania bogatego materiału archiwalnego i zdjęciowego oraz wywiadów ze świadkami wydarzeń. Jak pisze prof. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, Halina Taborska poświęciła badania ludziom mordowanym tylko za to, kim byli, skupiając uwagę na pomnikach będących zapisem i hołdem dla zgładzonych europejskich Sinti i Romów, chorych psychicznie oraz homoseksualistów. Autorka przedstawia wizualne formy upamiętnienia masowych niemieckich zbrodni wojennych, takie jak pomniki, rzeźby i miejsca pamięci. Zgromadzony materiał i warsztat akademicki – zaznacza profesor ASP w Warszawie Jan Stanisław Wojciechowski – czynią z tej książki pozycję niezbędną nie tylko w badaniach zbrodni wojennych w Europie, ale także w badaniach symbolicznej reprezentacji masowych zbrodni, zwłaszcza w dziedzinie kulturoznawstwa, antropologii kulturowej i historii sztuki.

Halina Taborska, *Sztuka w miejscach śmierci. Europejskie pomniki ofiar hitleryzmu,* współpraca Marian Turski, Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2019

1. Pomnik Dzieci Ofiar Wojny w Lidicach.
2. Cygański wędrowiec – pomnik upamiętniający więźniów obozu Maxglan.
3. Rzeźba „Polonia" na Cmentarzu-Pomniku w Wawrze.
4. Pomniki Pamięci o Zagładzie Romów w Borzęcinie.

FOT. REPRODUKCJE Z KSIĄŻKI „SZTUKA W MIEJSCACH ŚMIERCI"

eprasa.pl 95b41e7ff6

FESTIWAL

25. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STAROWCE AGA ZARYAN QUARTET: HIGH & LOW

Aga Zaryan łączy ambitne cele artystyczne z umiejętnością dotarcia do szerszej publiczności, dzięki czemu jej płyty zyskują status złotych i platynowych. W dorobku ma choćby „My Lullaby" ze standardami z „Great American Songbook", podwójnie platynowy album „Picking Up The Pieces", „Remembering Nina & Abbey" czy „Umiera piękno" z poezją powstańczą. Jej najnowszy album „High & Low" zaskakuje nowym brzmieniem, czerpiącym nie tylko z jazzu, lecz także z rhythm & bluesa, funky i bossa novy – podkreśla on związek jazzu z pokrewnymi gatunkami. W nowym repertuarze, oprócz utworów autorskich, pojawią się interpretacje utworów Paula Simona czy Stevie'go Wondera. *(ap)*

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 24 SIERPNIA, GODZ. 19.00

DOKUMENT TV

WYPRAWA NA DNO

National Geographic,
premiera 25 sierpnia, godz. 21.00

Jaki widok ukazałby się naszym oczom, gdyby jeziora, morza i oceany nagle wyparowały – pytają twórcy serii „Wyprawa na dno", poszukujący najbardziej tajemniczych śladów historii ukrytych pod wodą. Drugi sezon serii przybliża nam kolejne historyczne wydarzenia – od klęski Wielkiej Armady, przez wojnę secesyjną i II wojnę światową, aż po współczesność. Wybierzemy się także na niezwykłą wyprawę do Nowego Jorku, gdzie przyjrzymy się wrakowi skrywanemu przez lata pod fundamentami rozrastającego się Manhattanu.

ZASŁUCHAJ SIĘ

Piotr Przedbora
PENDERECKI, MEYER, GÓRECKI

DUX

Kolejny raz piszemy o płycie młodego wirtuoza gitary Piotra Przedbory. Teraz ambitnie sięga po polską muzykę współczesną. Płyta jest wyjątkowa, bo wykonawca musiał uzyskać wsparcie samego Krzysztofa Pendereckiego. Postanowił przerobić jego siedmioczęściowy „Koncert na altówkę" na swój instrument. Czy gitara może naśladować granie smyczkiem? Raczej nie, ale kompozytor, który podjął się dyrygowania taką adaptacją, był chyba zadowolony. Gitara klasyczna musiała jednak stać się w jakiejś części elektryczną, aby wzmocnić swoje brzmienie w konfrontacji z orkiestrą. Drugi utwór na płycie – „Koncert gitarowy" Krzysztofa Meyera – nie wymagał przerabiania, choć gitarę też pewnie trzeba było wzmocnić. Wreszcie „Arioso e furioso" Mikołaja Góreckiego (syna słynnego Henryka) daje wytchnienie gitarze, która gra melodię jak z hollywoodzkiego filmu miłosnego. *Bronisław Tumiłowicz*

NA EKRANACH

UPIORNE OPOWIEŚCI PO ZMROKU

reż. André Øvredal, prod. USA, już w kinach

Choć ożywa tu strach na wróble, przez komin wchodzi spragniony czerwieni krwi Mikołaj, a w piwnicy nawiedzonego domu straszy duch maltretowanej nastolatki, „Opowieści…" nie są nastawione na to, byśmy podskakiwali w fotelu. A przynajmniej nie tylko na to, bo równie ważny dla twórców jest namysł nad opowieścią – jej istotą i rolą, i tym, czy potrafi skrzywdzić albo uleczyć. Oglądamy grupę nastolatków, które w Halloween znajdują tajemniczą księgę, nośnik pamięci o przerażających zdarzeniach z przeszłości. I wtedy zaczyna się horror, bo księga chce, żeby oni też stali się tylko mrocznymi opowieściami na jej kartach. Zmusza bohaterów do zmierzenia się z własnymi demonami – opętany zdrowym odżywianiem chłopak natrafia na ludzki palec w zupie, licealistce z obsesją na punkcie własnego wyglądu zagnieżdża się w policzku pająk, a obwiniająca się za odejście matki dziewczynka nie potrafi ochronić znikających przyjaciół. Przewrotny, oryginalny i świetnie zagrany przez młodych aktorów film stanowi dowód na istnienie udanego kina grozy dla całej rodziny. Świetnie będą się bawić na nim i nastolatki, i ich rodzice. Bać się razem raźniej. *Artur Zaborski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

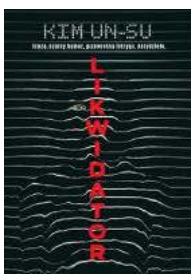

Kim Un-su
LIKWIDATOR

tłum. Radosław Madejski
Akurat, Warszawa 2019

Tak to jest z płatnymi zabójcami, że noszą razy kilka, a potem zostają poniesieni – do niejakiego Niedźwiedzia, który w legalnym życiu zajmuje się kremowaniem zwierząt. Szanujący się zabójca po sobie sprząta, ciało musi zniknąć bez śladu. Zwłoki, które ktoś mógłby odnaleźć, to spartaczona robota. Chociaż akurat Resengowi przytrafiła się historia odwrotna, usunął ciało, które miało zostać znalezione. Czy dlatego sam stał się teraz celem? Ktoś podrzucił mu minibombę do… muszli klozetowej. W pochwałach na okładce podkreślany jest czarny humor powieści południowokoreańskiego pisarza. Silniej jednak odczuwa się smutek otaczający postacie. Przede wszystkim Resenga, znajdę wychowanego w bibliotece, która jest jednym z ośrodków rynku zabójstw „w alternatywnej rzeczywistości Seulu". Smutne są rytuały, którymi Niedźwiedź żegna zmarłych. Smutek towarzyszy walce Resenga z Golibrodą, zabójcą wręcz legendarnym. A jeszcze jest dziewczyna, która szuka zemsty i widzi, jak bardzo ją to zmieniło. Zamknięte mikroświaty cierpienia znajdziemy tam, gdzie najmniej byśmy się ich spodziewali. *Aleksandra Pańko*

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. CENTRALA/MARTA ORLIK-GAILLARD, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 95b41e7ff6

Oko w oko

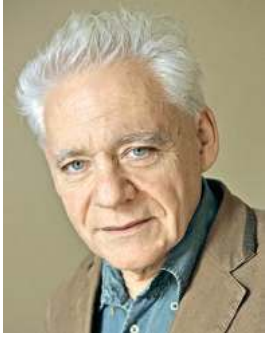

Tomasz Jastrun

Żętyca i polityka

Przed domem kultury w moim Międzylesiu wyrosła powstańcza barykada: z krzeseł, desek, z nie wiadomo czego, jak prawdziwa. Im dalej w las i w czas, tym więcej celebrowania powstania. Jak nie mieć mieszanych uczuć? Pięknie pamiętać o heroizmie i poświęceniu, ale nieustanne celebrowanie klęski, strasznej w swojej skali, wynikłej z błędu, ze złej oceny sytuacji, może nawet z głupoty, to ryzykowna praktyka. I to też staje się częścią gry politycznej. Kiedy w Gdańsku zaproponowano, by początek wojny święcić mniej żałobnie, od razu prezydent miasta została oskarżona o brak patriotyzmu, więcej, że jest niemiecką agentką.
Jak co roku czytam prace dzieci i młodzieży nadsyłane na konkurs Lipa w Bielsku-Białej. Oto malutki patriotyczny wierszyk uczennicy z drugiej klasy szkoły podstawowej: „Polska moja mała, piękna i wspaniała. Kochana Ojczyzna, na niej krew i blizna". Czy chcemy, żeby naszym dzieciom tylko z tym kojarzyła się ojczyzna?

•

Wszystko, co niemądre, cyniczne i populistyczne zjada PiS, akurat konsumuje ruch Kukiza. Ludzie z tego ruchu przechodzą do PiS, jeden po drugim, czując, że ich okręt tonie. A jednak Kukiz poczłapał na Nowogrodzką, by pertraktować z prezesem o możliwym sojuszu wyborczym. Nie jest mądry, to wiemy, żaden z niego polityk, też wiemy. Wprowadził w swoim pospolitym ruszeniu do Sejmu strasznych ludzi. I jest rozchwiany psychicznie. A jednak znamienne, co stwierdził po tej rozmowie z Kaczyńskim: „Chce upartyjnić, czytaj »upisić«, państwo na wzór bolszewicki. I – przysięgam – nie piszę tego złośliwie. Prezes tak centralizuje państwo, że wkrótce samorządy zostaną poddane kontroli »jedynie słusznej partii«, a prezydenci, burmistrzowie i wójtowie podlegać będą wojewodom mianowanym bezpośrednio przez Zakon PiS". Kukiz w końcu przystał do PSL. Całe szczęście, wszystko, co daje szanse na pokonanie PiS w wyborach czy choćby pomniejszenie jego zwycięstwa, witam z nadzieją i sympatią.

•

Oto cytat z eseju świetnego rosyjskiego pisarza Wiktora Jerofiejewa. Ależ to pasuje do PiS i Kaczyńskiego. Putin i prezes, jak się ich uważnie obwącha, pachną tak samo. „Putin uważa, że Rosja jest krajem prawosławnym i nie po drodze jej z Europą, która niszczy więź religijną. (…) Dusza Putina widzi dwa bieguny życia. Na jednym LGBT, którego działacze chcą wykarczować z korzeniami drzewo tradycyjnych wartości. Na drugim Cerkiew, która nie chce niczego w sobie zmieniać, dlatego Putin stoi po jej stronie. Każda konserwatywna idea, religijna lub polityczna, nawet jeśli wyraża skrajnie prawicowe rojenia, jest mu milsza niż wolność. Liberalizm jest najgorszym wrogiem ręcznego sterowania państwem. (…) Dusza Putina nie jest moim zdaniem aż tak krwiożercza, jak myśli wielu jego przeciwników. Putin, wierzę, nie chce wszystkich ciemiężyć ani wtrącać do więzień. Niech sobie nawet żyje liberalna idea – musi tylko znać swoje miejsce".

•

W Zakopanem na festiwalu literackim, na którym mam spotkanie autorskie, jestem też w jury konkursu na najlepszą książkę o tym mieście. To, co tu się dzieje, przechodzi ludzkie pojęcie. Krupówkami płynie rzeka ludzi, tak gęsta, że jak się do niej dołączy, trudno z niej się wygrzebać na brzeg. Zakopane przypomina jeden wielki przewód pokarmowy, kawiarnie, restauracje, bary połączone są ze sobą plątaniną jelit. Pamiętam te ulice sprzed ponad pół wieku, teraz domy bardziej dostatnie, umyte, kapią bogactwem. A ja jakby niezmieniony. Tylko wtedy tak lekko nosiłem siebie, w dzieciństwie miałem nawet skrzydła. A teraz idąc tymi ulicami, też Doliną Białego, jakbym niósł plecak wypełniony ołowiem minionych lat.

Pięknie pamiętać o heroizmie i poświęceniu, ale nieustanne celebrowanie klęski to ryzykowna praktyka.

Reglami w stronę Doliny Strążyskiej, faluje zielenią krajobraz, w dole wielkie stado owiec kotłuje się jak biała chmura. Drewniana chałupka, to tu zachodziłem lata temu na żętycę, która tak mi smakowała. Góralka nalewa ją teraz do drewnianego kubka, proszę raz jeszcze. Boski napój. Góralka wychodzi przed chałupę, zerka na mnie. „Pan Jastrun?", pyta. Okazało się, że to czytelniczka moich felietonów w „Zwierciadle". Narzeka, że niedziela niehandlowa. Mówię, że nie trzeba było głosować na PiS. Aż podniosła się wzburzona i wygłosiła mowę antypisowską, nie krępując się wieloma turystami siedzącymi wokół. Mówi, jaki szok przeżyła, gdy na chwilę weszła na „Wiadomości", powrót do komuny. „Przez ile lat trzeba to będzie odrabiać?", zadumała się. Proszę o trzecią żętycę, dostaję za darmo. W końcu należymy do jednej rodziny.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 95b41e7ff6

Mateusz Mazzini

Aori Nishimura ma ogromne szanse, by za rok w ojczyźnie zdobyć złoty medal na igrzyskach.

Na desce po medal

Na przyszłorocznych igrzyskach olimpijskich zadebiutuje aż pięć nowych dyscyplin

Aori Nishimura ma 17 lat, długie, farbowane na blond włosy i ponad 91 tys. fanów na Instagramie. Jej profil w mediach społecznościowych nie przypomina jednak typowego konta nastolatki. Poza sporadycznymi wspólnymi zdjęciami z koleżankami oraz kilkoma fotografiami jej psa dominującym motywem jest deskorolka. Bo Aori Nishimura ma też ogromne szanse, by za rok zdobyć w ojczyźnie złoty medal na igrzyskach olimpijskich. W dodatku jako pierwsza w historii w profesjonalnym deskorolkarstwie.

Jazda na desce to jedna z pięciu nowych dyscyplin, które Międzynarodowy Komitet Olimpijski wprowadził do programu igrzysk. Ogłaszając decyzję w sierpniu 2016 r., przedstawiciele Komisji Programowej MKOl podkreślili, że debiutujące na olimpiadzie zmagania stanowić będą „atrakcyjny i emocjonujący pakiet dla kibiców". W procesie selekcji nowych dyscyplin kierowali się nie tylko rosnącą popularnością wybranych sportów, ale też ich dostępnością w przestrzeni publicznej oraz znaczeniem, jakie mają one dla kraju gospodarza kolejnych igrzysk – Japonii. W przyszłym roku w Tokio olimpijską premierę (lub w niektórych przypadkach, jak softball, spektakularny powrót) będą mieć więc zawody w jeździe na deskorolce, surfingu, wspinaczce ściankowej, karate oraz bejsbolu (dla mężczyzn) i softballu (dla kobiet). I już w tym zestawie widać spory ukłon MKOl w kierunku Japończyków, bo zarówno jazda na desce, jak i wspinanie się w hali oraz obie wariacje uderzania piłki kijem są u nich ogromnie popularne.

Choć jest już mistrzynią Azji i zdobywczynią pierwszego miejsca w mistrzostwach świata w ulicznym deskorolkarstwie, Nishimura nie lubi mówić o sobie jako o profesjonalnej atletce. „Nie uważam jazdy na desce za sport. To dla mnie bardziej styl życia, sposób spędzania czasu, wyrażenia samej siebie", opowiadała reporterom brytyjskiej edycji magazynu „Vogue". „Jeśli rzeczywiście uda mi się wystąpić na igrzyskach i coś wygrać, to chciałabym móc pokazać ludziom, że skateboarding to rzeczywiście dobra zabawa, wokół której istnieje fajna kultura". Te słowa znajdują potwierdzenie w jej wizerunku – Aori wciąż nosi nieco za duże męskie T-shirty, czapki z daszkiem i spodnie z niskim krokiem.

Władze światowego olimpizmu są krytykowane za powiększenie liczby dyscyplin na siłę, bez wyraźnego powodu.

Już niedługo będzie musiała jednak niezobowiązujący strój zamienić na coś dużo poważniejszego – najpewniej obcisły kombinezon z flagą narodową i numerem startowym, do tego kask i ochraniacze. Z chwilą gdy stanie się sportowcem olimpijskim, zaczną obowiązywać ją ściśle określone przepisy MKOl. Żadnych nadruków na koszulkach, żadnych krzykliwych strojów, symboli politycznych czy manifestowania poglądów. Za złamanie zasad grozi dyskwalifikacja i ewentualne odebranie medalu.

I tutaj pojawia się pierwszy zgrzyt w nowej relacji między deskorolkarzami a organizatorami igrzysk. Tokio będzie poligonem doświadczalnym – tam się okaże, czy kultura jazdy na desce i klasycznych olimpijskich zawodów mogą iść ze sobą w parze. Bo skateboarding wywodzi się z miejsca, gdzie jakakolwiek uniformizacja zawsze była odrzucana z definicji. W tym sporcie nigdy nie było miejsca na uporządkowany wizerunek, jasne zasady ani – przede wszystkim – na komercję. Przez dekady

eprasa.pl 95b41e7ff6

był synonimem nieograniczonej swobody. Nie miał nawet swojej areny. Uprawiano go i uprawia się przecież dosłownie wszędzie: w parkach, na placach, wokół pomników, przejść podziemnych i ramp. Wszędzie, gdzie się da na desce rozpędzić i zrobić z nią coś ciekawego, wykorzystując prędkość i różnicę wysokości. Igrzyska olimpijskie są przeciwieństwem tego podejścia – w totalnej swobodzie widzą raczej chaos, a wszystkie konkurencje chcą podporządkować sztywnym zasadom, co w przypadku skateboardingu wydaje się łączeniem ognia z wodą.

Bo może Aori Nishimura lub jej główna rywalka do olimpijskiego złota, Amerykanka Lacey Baker, nie postrzegają siebie jako stojących w jednym szeregu z koszykarzami, lekkoatletami czy wioślarzami, jednak na pewno robią to sponsorzy. Decyzje MKOl o poszerzeniu repertuaru igrzysk są bowiem podyktowane nie tylko popularnością i powszechnością konkretnych dyscyplin, ale też szansą na ich komercjalizację. Olimpiada to nie tylko najważniejszy turniej sportowy, to też wielomiliardowy biznes. Josh Friedberg, prezes Amerykańskiego Związku Skateboardingowego, przyznaje to bez ogródek. „Statystyczny widz oglądający letnie igrzyska przed telewizorem ma 55 lat. Włączenie do programu olimpijskiego takich sportów jak jazda na deskorolce jest szansą dla sieci telewizyjnych na przyciągnięcie przed ekrany dużo młodszej widowni", mówił w marcu w brytyjskim „Vogue'u". Więcej widzów to większe wpływy z reklam i możliwość pozyskania kolejnych sponsorów czy współpracy z nowymi markami. A jest o co walczyć. Według obliczeń firmy doradczej IBIS World globalny rynek sprzętu deskorolkarskiego wart jest 4,8 mld dol. Do tego należy dodać prawie 80 mld, które rocznie generują tzw. marki streetwearowe, czyli producenci sprzedający swobodne codzienne ubrania, preferowane przez uprawiających ten sport.

Dodając jazdę na desce do programu igrzysk, MKOl niewątpliwie chce wbić zęby w kawałek skateboardingowego tortu. Podobnie ma się zresztą sprawa z innym sportem, który zadebiutuje w Tokio i który szczelnie obudowany jest subkulturą, czyli surfing. Tak jak jazda na desce, surfowanie to dla wielu najlepszych zawodników w tym sporcie wciąż bardziej styl życia niż zawód i źródło dochodu. W wypowiedziach najlepszych surferów, takich jak Tia Blanco typowana do olimpijskiego złota reprezentantka Puerto Rico, wciąż niczym refren pobrzmiewa chęć pozostania blisko natury. Blanco, znana nie tylko z sukcesów na desce, ale również z popularyzowania diety wegańskiej, regularnie organizuje w kraju akcje zbierania śmieci z plaż. Podobnie jak Aori Nishimura swoje sukcesy przedstawia jako osiągnięte „przy okazji", bez specjalnego treningu czy typowych dla olimpijczyków lat poświęceń i katorżniczego wysiłku.

Analogii między włączeniem obu sportów do programu igrzysk jest zresztą więcej. I deskorolkarze, i surferzy mają ulubione marki odzieżowe oraz producentów sprzętu. Dotychczas ten rynek pozostawał poza zasięgiem bliskich MKOl koncernów i sponsorów – dzięki debiutowi w Tokio może to się zmienić. Rocznie firmy ściśle związane z surfingiem – producenci sprzętu czy kombinezonów piankowych – generują obrót w wysokości 8 mld dol. Do tego należy dodać odzież marek kojarzonych z tym sportem, produkujących również ubrania codziennego użytku, jak Quicksilver czy Billabong.

Aspekt finansowy poszerzenia programu olimpijskiego nie ogranicza się jednak do reklam. Po igrzyskach przychodzi przecież czas na podział zysków. I tu pojawia się kolejny powód do niepokoju dla nowicjuszy. Fernando Aguerre, szef Międzynarodowej Federacji Surfingu (ISA), zauważa bowiem, że choć nowe sporty mogą znacząco poszerzyć publikę olimpijskich zmagań i tym samym podnieść zyski z samej olimpiady, to zarządzające nimi związki nie zobaczą z tej sumy ani grosza. Całość zarobionych w 2020 r. pieniędzy podzielona zostanie pomiędzy sam MKOl, komitet organizacyjny z Tokio i federacje 28 sportów uznawanych za podstawowe w formacie olimpijskim. Surfing do nich nie należy, tak samo jak pozostałe cztery nowe dyscypliny.

Koszty związane z wejściem na igrzyska są z kolei ogromne. Trzeba przecież przeprowadzić eliminacje, możliwie najrówniejsze dla zawodników ze wszystkich kontynentów, przygotować serię turniejów treningowych. Do tego dochodzą logistyka, obsługa prasowa i mnóstwo innych zobowiązań finansowych. Co z tego, że dzięki transmisjom z Tokio miliony osób mogą po raz pierwszy obejrzeć zmagania surfingowe, skoro bezpośrednio dyscyplina ta nie skorzysta na tym w wymiarze finansowym? Aguerre podkreśla, że dla takich federacji jak ISA ewentualne przychody z olimpiady byłyby ogromnym zastrzykiem stymulującym rozwój ich dyscypliny. I narzeka, że MKOl nie podziela jego punktu widzenia. Mimo to cieszy się, że surfing otrzymał już prowizoryczną akceptację, jeśli chodzi o kolejne igrzyska, w 2024 r. w Paryżu.

Władze światowego olimpizmu są krytykowane nie tylko przez nowicjuszy. Zarzuca się im, że poprzez ciągłe modyfikacje liczby dyscyplin i programu sportowego niszczą prawdziwą rywalizację – bo sportowcy przygotowują się do zawodów, nie mając pewności, czy ich konkurencja będzie w ogóle na olimpiadzie obecna. Słychać też głosy o powiększaniu na siłę liczby dyscyplin, bez wyraźnego powodu. W ten sposób sporo serwisów branżowych opisuje chociażby debiut w Tokio koszykówki w formacie trzyosobowym. Kiedy jednak do rozdania będzie komplet medali, głosy te zapewne zamilkną. Liczyć się będzie tylko zwycięstwo. ■

Decyzje MKOl podyktowane są nie tylko popularnością konkretnych dyscyplin, ale też szansą na ich komercjalizację.

Rocznie producenci sprzętu czy kombinezonów piankowych do surfowania generują obrót w wysokości 8 mld dol.

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 95b41e7ff6

Nowe terapie w leczeniu raka

W warunkach laboratoryjnych można skonstruować limfocyty, które będą rozpoznawały komórki rakowe i je niszczyły

Rozmawia Barbara Jagas

Czy możemy porozmawiać o terapiach genowych w onkologii?

– Ale takich jeszcze nie ma...

Jak to? A przeprogramowywanie limfocytów T w celu zwalczania raka? Ostatnio trochę o tym się mówi.

– Fakt, chociaż to nie jest klasyczna terapia genowa, która powinna polegać na tym, że naprawimy uszkodzenie genu, który doprowadził do powstania nowotworu. Ma pani na myśli tzw. terapię CAR-T, którą częściowo można nazwać genową, ale polega ona na tym, że uczulamy własne komórki odpornościowe, czyli limfocyty T, na nowotwór – po to, by go zniszczyć.

Proszę nam przybliżyć tę metodę.

– Zacznę od wyjaśnienia, czym jest nowotwór. To komórka naszego organizmu, która nagle zaczyna źle działać. Kompletnie nie słucha organizmu, dzieli się wtedy, kiedy nie powinna, i rośnie, kiedy nie trzeba. A zachowuje się dziwnie, dlatego że uszkodziła sobie geny, czyli wyłączyła instrukcję funkcjonowania.

Komórka uszkodziła sobie geny?

– Pierwszy etap nastąpił pod wpływem środowiska, np. nadmiernego promieniowania czy narażenia na dym tytoniowy. Najpierw uszkodzeniu ulega jeden gen, co powoduje łatwiejsze uszkodzenie następnego, a potem kolejnego itd. Jednym słowem, uruchamia się kaskada uszkodzeń. Taka komórka zachowuje się nietypowo, nie słucha już poleceń organizmu, że ma przestać się dzielić, ma też powyłączane możliwości naprawy uszkodzeń.

W ten sposób zaczyna się rozwijać rak?

– Tak to właśnie jest. Jeżeli mamy zmienione tylko pojedyncze komórki, wówczas nasz organizm za pomocą układu immunologicznego codziennie zabija takie komórki, aby się nie mnożyły i nam nie szkodziły. Ale niestety, jeśli dojdzie do wielu uszkodzeń, taka komórka staje się niewidoczna dla układu odpornościowego i nie może już być celem do zaatakowania. A właśnie podstawą terapii CAR-T jest spowodowanie, by komórki nowotworowe stały się widoczne dla naszego układu immunologicznego i by mógł on je zwalczać.

DR HAB. MED. ANNA WÓJCICKA
z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i Warsaw Genomics

eprasa.pl 95b41e7ff6

Jak to się robi?

– Po prostu uczymy limfocyty T, czyli komórki odpornościowe, rozpoznawać komórki rakowe, właśnie te, które są mocno zmienione. Robi się to w warunkach laboratoryjnych. Najpierw pobiera się od pacjenta krew, w której są limfocyty, i zmienia się je w taki sposób, by potrafiły znaleźć i zniszczyć komórkę nowotworową. Kiedy podamy je ponownie pacjentowi do organizmu, będą u niego zwalczały raka.

Czy to jest metoda zwana immunoterapią?

– Tak, jest to odmiana immunoterapii i jedna z najnowocześniejszych metod leczenia raka. W warunkach laboratoryjnych można skonstruować niemal sztuczne limfocyty, które będą rozpoznawały komórki rakowe pacjenta, a potem je niszczyły.

To już jest wyższa szkoła jazdy. A w jakich nowotworach ma zastosowanie metoda CAR-T?

– Jest stosowana w białaczkach, nowotworach krwi. Natomiast nie umiemy jeszcze w ten sposób leczyć nowotworów litych, czyli guzów.

A czy jest dostępna w Polsce?

– Tak, istnieje możliwość zastosowania jej w białaczkach dziecięcych. Pamiętajmy jednak, że na świecie też jest to całkiem nowa metoda. W Stanach Zjednoczonych pierwsza terapia CAR-T została zatwierdzona przez Agencję Żywności i Leków (FDA) niespełna dwa lata temu. Jest dostępna i zatwierdzona także w niektórych nowotworach u młodych dorosłych.

Dotychczas udało nam się ustalić 14 genów odpowiedzialnych za raka piersi.

Czy w ten sposób został wyleczony Jimmy Carter?

– Nie, w przypadku Jimmy'ego Cartera zastosowano immunoterapię klasyczną, która polega na czymś nieco innym. Pobudza się układ odpornościowy do walki z nowotworem za pomocą pewnych substancji, ale bez przeprogramowywania zachowania limfocytów. W metodzie klasycznej lek ma za zadanie pokazanie nowotworu układowi odpornościowemu. Bo komórki rakowe przykrywają się takimi cząsteczkami, które dla układu immunologicznego są jak czapka niewidka. I właśnie lek ją zdejmuje, sprawiając, że komórki rakowe znowu są widoczne i ich obecność pobudza układ odpornościowy do walki.

Klasyczna immunoterapia też jest dostępna w Polsce?

– Tak, mamy już kilka tego typu leków na rynku. Refundowana jest u nas np. w leczeniu czerniaka, raka jelita grubego czy nowotworu płuc.

Czyli można wyleczyć pacjentów z tych nowotworów?

– Oczywiście tak, choć niestety wciąż nie są to częste przypadki. A to dlatego, że pacjenci pojawiają się u lekarza za późno, kiedy nowotwór jest już w zaawansowanym stadium rozwoju. Chodzi więc często nie o to, by pacjenta całkowicie wyleczyć, ale o to, aby nowotwór przekształcić w chorobę przewlekłą. A to już bardzo wiele, bo pacjenci żyją z nim po kilkanaście lat i dłużej – jak np. z chorobą serca czy cukrzycą. Najważniejsze jest jednak to, że im wcześniej te choroby będą diagnozowane, tym większa jest szansa na ich skuteczne wyleczenie.

Metoda CAR-T jest stosowana w białaczkach, nowotworach krwi.

Jak można zastosować wiedzę z genetyki w terapiach przeciwnowotworowych?

– Tak jak wspominałam, nie umiemy jeszcze naprawiać uszkodzeń genetycznych w komórkach, ale za to potrafimy przeciwdziałać ich skutkom. Jak wiemy, gen jest instrukcją do zachowania się komórki i kiedy jest uszkodzony, komórka zaczyna np. nadmiernie się dzielić, powodując rozrost guza. W tej chwili potrafimy znaleźć rodzaj uszkodzenia genetycznego i opracować na tej podstawie lek, który będzie działał na skutki uszkodzenia. Ten rodzaj terapii nazywamy leczeniem celowanym.

Mamy już takie leki?

– Tak, jest ich niemało i pojawia się coraz więcej. Jednym z takich stosunkowo nowych leków jest Olaparib, który w Polsce jest już refundowany w terapii pacjentek z rakiem jajnika. Lek jest też skuteczny u osób z nowotworami piersi czy trzustki. Ale jest jeden warunek – tacy chorzy muszą mieć mutację w genie BRCA1 albo BRCA2, choć lista tych genów zapewne zostanie niebawem rozszerzona. W pozostałych przypadkach lek nie zadziała.

To rak piersi nie jest spowodowany tylko mutacją genów BRCA1 i BRCA2?

– Dotychczas udało nam się ustalić 14 genów odpowiedzialnych za ten nowotwór.

Jak można się dowiedzieć, czy dany lek będzie skuteczny?

– Zawsze przed rozpoczęciem leczenia trzeba przebadać tkankę nowotworową pod kątem mutacji genowej. I tylko w ten sposób można dopasować lek, który rzeczywiście zadziała. Bo on będzie działał na określone skutki wynikające z uszkodzenia konkretnego genu. To jest istotą terapii celowanej.

A co z chorymi, dla których nie ma takich leków? Chemioterapia, którą od lat się stosuje, nie cieszy się dobrą sławą. Pacjenci źle się czują, często muszą przerywać leczenie.

– Kiedy myślimy o chemioterapii, przychodzi nam do głowy, że każdy pacjent ma być leczony tak samo, czyli według z góry określonych schematów. A to nie tak powinno się odbywać. Każdy bowiem lek, nawet przeciwbólowy, inaczej działa na poszczególne osoby.

Ale jak to wcześniej sprawdzić?

– Zacznę od tego, że lek, który zażywamy, najpierw przechodzi przez naszą wątrobę, gdzie jest przekształcany, by lepiej działać, a potem musi być usunięty, aby nam nie szkodzić. I u niektórych osób wątroba niewydajnie usuwa chemioterapeutyk, prowadząc do jego nagromadzenia w organizmie, co wywołuje bardzo nasilone efekty toksyczne leczenia. Takim osobom nie powinno się podawać określonych rodzajów chemioterapii albo też zmniejszać dawki. Ale skąd mamy to wiedzieć?

No właśnie...

– Przed podaniem chemii możemy „przeczytać" strukturę konkretnych genów, które odpowiadają za usuwanie leku z organizmu, i na tej podstawie określić, jaką dawkę możemy zastosować u danej osoby: u kogo trzeba ją zredukować, a u kogo w ogóle zrezygnować z tego typu leczenia.

To chyba jakieś nowatorskie podejście?

– Zgadza się, to jest przełom. Podam przykład leku chemioterapeutycznego

eprasa.pl 95b41e7ff6

najczęściej stosowanego w raku jelita grubego i trzustki, który nazywa się 5-Fluorouracyl, a który potrafi dawać tak nasilone efekty toksyczne u niektórych pacjentów, że trzeba przerywać leczenie. A jest jeden gen, którego przebadanie powie nam, czy akurat ten pacjent może dostać standardową dawkę tego leku, czy w jego przypadku trzeba naprawdę uważać.

Doskonałe rozwiązanie!

– Niestety, nie wszyscy o tym wiedzą. A przecież dobrze byłoby wiedzieć wcześniej, jak dany pacjent zareaguje na określone leczenie, a nie przerywać je po pięciu-sześciu cyklach chemioterapii.

Kto się zajmuje takimi badaniami w Polsce? Państwo, czyli spółka Warsaw Genomics, która działa przy Uniwersytecie Warszawskim?

– Tak, my się tym zajmujemy. Ale to jest trudna sprawa. W terapiach celowanych sprawa jest jasna – pacjent może otrzymać dany lek wyłącznie po badaniu genetycznym, które podpowie, czy lek będzie skuteczny. W przypadku badań pod kątem chemioterapii jest inaczej: z jednej strony te badania można już wykonać w Polsce – robimy je w Warszawie, a także w Białymstoku, nawet część z nich można by było objąć refundacją NFZ dla pacjentów onkologicznych, ale z drugiej strony medycyna jest tak ubrana w procedury i schematy, że czasem trudno jest onkologowi wziąć pod uwagę wynik badania genetycznego, by zmienić leczenie – bo to nie jest jeszcze objęte żadną procedurą. Zdrowy rozsądek podpowiada, że warto zrobić badania genetyczne przed podaniem chemioterapii, ale rzeczywistość może być taka, że najbezpieczniejsze dla lekarza może się okazać postępowanie zgodne z procedurami, które nie zakładają zmian w leczeniu. Oczywiście to też się zmienia. Za część badań pacjenci też muszą sami płacić, co nie ułatwia lekarzowi przekazywania informacji, że warto takie badanie wykonać.

To już nie jest optymistyczne... Ale zapytam, czym jeszcze zajmuje się pani zespół?

– Zajmujemy się tym, co można wyczytać z genów. A jest to coraz więcej rzeczy. Przychodzą do nas ludzie, którzy proszą, aby ich przebadać od strony genetycznej, sprawdzić, czy mają większe ryzyko zachorowania na raka. Sprawdzamy wtedy, czy nie urodzili się z uszkodzeniem genu, które zwiększa ryzyko zachorowania na określony nowotwór. Przychodzą też osoby, w rodzinie których ktoś miał raka – bo chcą sprawdzić, co ich może czekać. Warto bowiem wiedzieć, że jeśli w rodzinie krąży uszkodzony gen, mamy 50% szans, że go odziedziczymy. A wraz z nim zwiększone ryzyko choroby. Takie osoby na pewno powinny wiedzieć, czy mają te mutacje. Bo jeśli tak, muszą wcześniej przeprowadzić różne badania. Jeśli ktoś np. ma uszkodzony gen odpowiadający za wystąpienie raka jelita grubego, musi po prostu wcześniej zrobić kolonoskopię: w wieku 25 lat, a nie czekać do pięćdziesiątki. Bo jak wcześniej się zgłosi, to ten nowotwór można będzie i szybciej wykryć, i lepiej wyleczyć.

Chciałam panią zapytać o postęp w terapiach nowotworowych za 10-15 lat. Co będzie nam mogła zaoferować genetyka, nad czym już się pracuje?

– Trudne pytanie, bo jest to dziedzina, która się rozwija nieprawdopodobnie szybko. A jednocześnie nadal mamy dużo zagadek. Chociaż dokładny zapis wszystkich genów człowieka rozszyfrowaliśmy w 2003 r., w dalszym ciągu o większości z nich nic nie wiemy. Absolutnie nic. Wiemy tylko, że są.

Okazało się, że tych genów jest mniej, niż zakładano.

– Tak, to wszystko prawda, a na dodatek z jakimikolwiek chorobami czy cechami połączyliśmy dotąd jakąś jedną piątą z nich. Znaczenia pozostałych genów nie znamy, nie wiemy też do końca, po co jest cała ogromna część naszego DNA. Natomiast jeżeli chodzi o nowotwory, to uszkodzenia genetyczne, które prowadzą do ich powstania, są stosunkowo dobrze scharakteryzowane. Myślę, że postęp będzie polegał na tym, że zanim zaczniemy leczyć pacjenta z nowotworem, wcześniej zbadamy go od strony genetycznej. Sądzę, że zaczną się rozwijać terapie ukierunkowane na leczenie konkretnego pacjenta. Właściwie już wiemy, że nie ma czegoś takiego jak nowotwór jelita grubego. U każdego pacjenta ten nowotwór ma troszkę inne podłoże i będzie inaczej przebiegał. W związku z tym wszystko idzie coraz bardziej w tę stronę, by leczyć konkretnego człowieka i jego problem, a nie statystyczną osobę ze statystyczną chorobą. I tak się na pewno będzie działo... Tylko pytanie, co z kosztami takiej terapii, bo one są, jak na razie, bardzo wysokie. Czym innym jest bowiem wyprodukowanie leku dla kilku milionów pacjentów, a czymś innym tylko dla danej osoby. Ale mimo to myślę, że wszystko pójdzie dobrze i to leczenie stanie się dostępne z czasem dla wszystkich. Musi. Nie mamy innej drogi.

Barbara Jagas

Warto zrobić badania genetyczne przed podaniem chemioterapii, żeby wiedzieć, jak pacjent na nią zareaguje.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, FOTOLIA

eprasa.pl 95b41e7ff6

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Jak ksiądz Skorupka ocalił Paryż

W miarę jak reinterpretujemy naszą historię, Bitwa Warszawska coraz bardziej nam rośnie, potężnieje, stając się wręcz decydującą dla losów Europy i cywilizowanego świata. Owszem, zwycięskie walki stoczone na przedpolu stolicy w połowie sierpnia 1920 r. ocaliły niepodległość odradzającej się Rzeczypospolitej i z tego powodu należy się im pisane złotymi zgłoskami miejsce w historii narodowej. Jednak „świadomości dziejowej" Polaków to oczywiście nie wystarcza. Ze zwycięstwa odniesionego dzięki znakomitemu manewrowi Józefa Piłsudskiego, a po części także intrygom Józefa Stalina udaremniającym pomoc armii Tuchaczewskiego ze strony bolszewickiego Frontu Południowo-Zachodniego, zrobiono wkrótce „cud nad Wisłą", a do działań wojennych wmieszano nawet Matkę Boską Zielną. Nie o to jednak chodzi. Dużo ciekawsze są dalsze losy polityczno-historycznej opowieści o wydarzeniach. Polacy, mający masochistyczne poczucie wiecznego niedocenienia, skłonni są uważać, że otacza ich świat potwarców i polonożerców (*vide* domniemany antypolonizm). Nie odpowiada to prawdzie. Mieli zawsze i nadal mają grono sympatyków i irracjonalnych nawet wielbicieli, by wymienić tylko Erazma z Rotterdamu, Karola Marksa, Gilberta Chestertona.

Do tych ostatnich zaliczał się ekscentryczny lord angielski, sir Edgar Vincent D'Abernon (wicehrabia, a od 1914 r. baron). Mianowany 21 lipca 1920 r. przypadkowo i bez zgody Lloyda George'a szefem misji międzysojuszniczej w Warszawie, staje się z dnia na dzień gorącym orędownikiem Rzeczypospolitej. Już 4 sierpnia, wraz z Jeanem Julesem Jusserandem (co akurat nie dziwi, gdyż Francuzi konsekwentnie wspierali wówczas Polskę), redaguje depeszę, w której domaga się, żeby – ni mniej, ni więcej – alianci wypowiedzieli oficjalnie wojnę bolszewikom. Wywołuje to wściekłość w Londynie, gdzie Lloyd George uważa Polskę za zawalidrogę w ustanawianiu nowego ładu europejskiego. Niezrażony brakiem odpowiedzi romantyk d'Abernon wysyła kolejne pismo, odwołujące się do... honoru Albionu, którego względność winien był przecież znać od podszewki. Nic dziwnego, że wkrótce po Bitwie Warszawskiej zostaje przeniesiony do Berlina i całkowicie odizolowany od spraw nadwiślańskich. Ten uparty facet, chybiony dyplomata, ani historyk, ani politolog, osobiście urażony nie daje za wygraną. W 1931 r. pisze książkę o Bitwie Warszawskiej „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata". Teza dzieła jest prosta: jak Karol Młot pod Poitiers ocalił Europę przed muzułmanami, tak Piłsudski pod Warszawą przed krwiożerczym bolszewizmem. Książka budzi w Polsce niebywały entuzjazm. To nie rodak nas to sławi, ale Anglik! Ba! Nie byle jaki Anglik, ale lord angielski głosi, żeśmy naszą chrześcijańską piersią ocalili kontynent. Nie będzie odtąd oficjalnej wypowiedzi na temat „cudu nad Wisłą", w której nie powoływano by się (z wyjątkiem... Piłsudskiego) na sformułowanie o „decydującej bitwie".

Sam D'Abernon zaczyna mieć jednak wątpliwości. Od kiedy Karol Młot zatrzymał Maurów, mija już 13 wieków, a wkrótce rekonkwista wyprze ich z Europy. Bolszewicy natomiast nie stracili w 1920 r. siły zaczepnej, co Polsce udowodnili już w 1939 r. Zorientował się w tym D'Abernon, ale zasadnicze poprawki wniesione w kolejnym wydaniu książki nie zostały już (oczywiście to czysty przypadek) w Polsce zauważone.

Kawę na ławę wyłożył Norman Davies, historyk walijski, skądinąd zawsze schlebiający Polakom: „14 lat po opublikowaniu książki D'Abernona Armia Czerwona najechała na Europę Środkową i unieważniła wszystko, co napisał. W ośmiu z 24 suwerennych państw Europy zaprowadzono pod auspicjami sowieckimi nowy porządek społeczny. (...) Bitwa Warszawska nie ocaliła nie tylko całej epoki, ale nawet jednego pokolenia". Zresztą, żeby brać na serio D'Abernona, trzeba by było wytłumaczyć, jak Armia Czerwona, która nie dała sobie rady z Polakami, zdołałaby w 1920 r., rozciągając o dalsze 400 km swoje linie zaopatrzeniowe, opanować Niemcy, gdzie nastroje rewolucyjne dawno już osłabły (a w Prusach Wschodnich, które zostałyby na tyłach, nigdy ich nie było).

Media, podręczniki szkolne i politycy nadal nadają Bitwie Warszawskiej ogólnoeuropejski wymiar.

Jednak szara rzeczywistość nas jak zwykle nie obchodzi. Media, podręczniki szkolne i politycy w dalszym ciągu nadają Bitwie Warszawskiej ogólnoeuropejski wymiar. Powraca upiór chrześcijańskiego przedmurza. Ocalenie na 19 lat wolnej Rzeczypospolitej najwyraźniej nie wystarcza ambicji narodowej. Dopiero megalomański sen, że dzięki nam stoi jeszcze w Paryżu wieża Eiffla, w Kopenhadze kokietuje syrenka, w Brukseli sika Manneken Pis, a w Madrycie muzeum Prado nie zostało obrócone w perzynę, może zaspokoić nasze patetyczne kompleksy. A że wszystko było nieco inaczej, niż IPN i prezydent Duda głoszą? Cóż, oni mogą powołać się na D'Abernona, Matkę Boską i księdza kapelana lotnego (były wówczas takie rangi) Ignacego Skorupkę, który jeśli nie został dotąd kanonizowany, to tylko przez niedopatrzenie wynikłe z przedwczesnej śmierci Jana Pawła II. Zaiste, siła złego na rzetelnych historyków.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 95b41e7ff6

Agata Olejarczyk

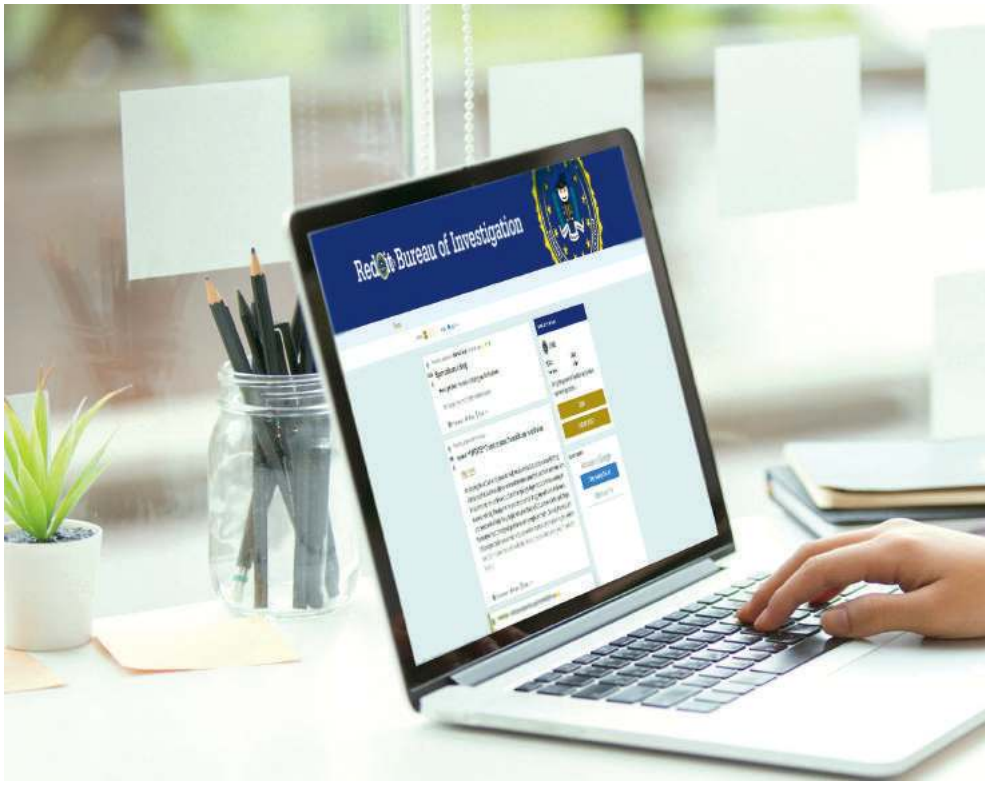

Internetowi detektywi

Po kawałku plastiku dotrzeć do sprawcy

Cyfrowy Sherlock Holmes, który rozwiązuje zagadki przez internet? Reddit Bureau of Investigation wiele razy udowodniło, że dzięki sile i determinacji sieciowego tłumu można rozwikłać niemal każdą łamigłówkę

W sierpniu 2018 r. 63-letnia Susan Rainwater jechała rowerem wzdłuż prostej szosy, gdy została potrącona przez samochód. Kobieta zginęła na miejscu. Dopiero po kilku godzinach przypadkowy przechodzień znalazł ciało. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku, nie było świadków zdarzenia. Jedyną wskazówką dla policji stał się kawałek czarnego plastiku z charakterystycznym wycięciem w kształcie litery U.

Funkcjonariusz stanowy Johnna Batiste udostępniła zdjęcie przedmiotu na Twitterze, prosząc o pomoc w rozwiązaniu sprawy. Służby publikują czasem w internecie zapisy z monitoringu, lecz rozpoznanie 15-centymetrowego elementu wydawało się niemożliwe. A jednak na odpowiedź internautów nie trzeba było długo czekać.

Tweet funkcjonariuszki następnego dnia trafił na platformę Reddit do sekcji r/WhatIsThisThing. Niedługo potem użytkownik JeffsNuts z RBI napisał, że znaleziona część pochodzi z ramki reflektora Chevroleta C/K pick-upa, produkowanego w późnych latach 80. Charakterystyczne wycięcie ułatwiało dostęp do śruby regulacji reflektorów. Diagnoza Jeffa zrobiła wrażenie, choć on sam nie do końca zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. „Dopiero gdy przeczytałem wiadomość z podziękowaniami za moją pomoc, zdałem sobie sprawę, że to, co zrobiłem, było bardzo ważne".

Policjanci rozpoczęli poszukiwania samochodu i po kilku dniach namierzyli sprawcę, którym okazał się mieszkający w okolicy Jeremy Simon. Funkcjonariuszom powiedział, że uciekł z miejsca wypadku, bo nie chciał zobaczyć martwego ciała. A to dopiero jedna ze spraw, które pomogli rozwiązać internetowi detektywi z Reddita.

Internetowe FBI

Reddit Bureau of Investigation, czyli Redditowe Biuro Śledcze, to jedna z sekcji na platformie Reddit, licząca ponad 130 tys. użytkowników. Detektywi amatorzy próbują rozwiązywać zagadki, korzystając z własnych umiejętności i dostępnych narzędzi internetowych. Uczestników śledztw obowiązują jednak pewne zasady. Po pierwsze, policja jest jedyną instytucją, która może pomóc w przypadkach karnych. Wyjątek stanowią sprawy, w których zakończono dochodzenie, oraz nierozwiązane dawne incydenty. Po drugie, nie można ujawniać danych osobowych. Takie informacje przesyła się jedynie w prywatnej wiadomości.

Do RBI trafiają też zwykłe sprawy nurtujące ludzi na co dzień. Tak jak fotografia trawnika, która pojawiła się na platformie w 2012 r. Tysiące internautów ruszyło na poszukiwania przedstawionego miejsca. Jedni analizowali obraz, drudzy skupili się na faunie i florze. Po kilku próbach udało się ustalić lokalizację – zdjęcie zostało wykonane w Karolinie Południowej.

Czasem jednak w RBI pojawiają się poważniejsze historie.

Do sukcesów użytkownicy biura mogą zaliczyć pomoc w sprawie Michaela Slagera. Wiosną 2015 r. czarnoskóry Walter Scott został śmiertelnie postrzelony przez białego policjanta Slagera. Pięć z ośmiu kul wystrzelonych przez oficera trafiło w cel. Według raportu policjanta mężczyzna ukradł jego paralizator, więc funkcjonariusz postanowił strzelać, ponieważ „czuł się zagrożony". Sprawa mogłaby przejść bez echa, gdyby nie świadek, który nagrał całe zajście.

Feidinowi Santanie udało się zarejestrować akcję na telefonie i na tej podstawie mógł twierdzić, że policyjny raport był przekłamany oraz niezgodny z rzeczywistością. „Scott nigdy nie zabrał policyjnego paralizatora", podkreślał Santana w rozmowie z „The Today Show". Film dotarł do rodziny zmarłego za pośrednictwem aktywisty organizacji Black Lives Matter, a później rozprzestrzenił się w sieci. Na nagraniu widać, jak Slager podbiega do postrzelonego mężczyzny i upuszcza jakiś przedmiot, którym według Santany prawdopodobnie był paralizator. Chociaż w raportach policyjnych zapisano, że u Scotta przeprowadzono resuscytację oddechowo-krążeniową, na filmie nie widać tych działań. Po upublicznieniu nagrania sprawa zyskała rozgłos i wzbudziła ogromne kontrowersje, szczególnie ze względu na motywy rasowe. Amerykańskie

eprasa.pl 95b41e7ff6

społeczeństwo w zdecydowanej większości stanęło po stronie śmiertelnie postrzelonego Scotta.

Jeden z użytkowników Reddita, Daniel Vashart, postanowił dokładnie przeanalizować film. Dzięki doświadczeniu operatorskiemu udało mu się ustabilizować obraz i dostarczyć kluczowy dowód, ukryty – według Vasharta – w 394. kadrze filmu. Okazało się, że w momencie, gdy Slager wyciągał broń, Scott rzeczywiście trzymał w ręce paralizator – zgodnie z wersją policyjnego raportu. Ten drobny szczegół, wcześniej podważany przez Santanę, mógł poprawić wizerunek mundurowego i przysłużyć się obronie podczas rozpraw sądowych. Kanadyjska telewizja CBC wyprodukowała film dokumentalny „Frame 394" o strzelaninie i przełomowym odkryciu Vasharta. Ostatecznie jednak Michael Slager trafił do więzienia na 20 lat za morderstwo drugiego stopnia.

Grateful Doe

26 czerwca 1995 r. około godz. 1.30 w nocy volkswagen transporter uderzył w drzewo na poboczu drogi 58 West. W wypadku zginęli dwaj mężczyźni. Kierowcą był Michael Hager, który postanowił zabrać autostopowicza. Problemem okazało się jednak ustalenie tożsamości pasażera. W kieszeni jego spodni funkcjonariusze znaleźli zapalniczkę, dolara i dwa bilety na koncert Grateful Dead, datowane na 24 i 25 czerwca. Od tego momentu niezidentyfikowany mężczyzna był przedstawiany w mediach jako Grateful Doe.

Funkcjonariusze nie potrafili ustalić tożsamości tragicznie zmarłego autostopowicza. Chociaż w pobliżu miejsca wypadku znaleziono list adresowany do Jasona, śledztwo nie ruszyło z miejsca. Dwie kobiety, podpisane jako Caroline O. i Caroline T., prosiły o kontakt, jednak zapisany numer telefonu nie zawierał cyfr kierunkowych. Policja sprawdziła listę osób biorących udział w koncercie Grateful Dead w Waszyngtonie, ale żadna z uczestniczek o imieniu Caroline nie została zidentyfikowana jako autorka liściku. Również rodzina Hagera nie potrafiła podać personaliów mężczyzny.

Tożsamość Grateful Doe przez 20 lat pozostawała nieznana – do czasu, gdy do jej ustalenia zabrali się użytkownicy Reddita. Temat zaczęła drążyć Layla Betts, co ostatecznie doprowadziło do utworzenia wątku poświęconego sprawie Grateful Doe. Do poszukiwań dołączało się coraz więcej osób, a w sieci zaczęły krążyć fotografie i rekonstrukcje twarzy zmarłego. Po pewnym czasie Betts udało się skontaktować z dawnym współlokatorem Jasona Callahana, który miał być niezidentyfikowanym autostopowiczem.

Matka Callahana potwierdziła, że jej syn zaginął po wyruszeniu w trasę na Grateful Dead w 1995 r. Nie zgłosiła jego zaginięcia, ponieważ zdawała sobie sprawę z koczowniczej natury fanów zespołu i myślała, że Jason chciał zacząć żyć na własną rękę. Wyniki redditowych wysiłków potwierdziły badania DNA, które dowiodły, że tragicznie zmarłym mężczyzną był Jason Callahan.

Reddit uczy się na błędach

Nie zawsze sprawa, którą chcą rozwikłać internetowi detektywi, ma szczęśliwy finał. Po ataku bombowym podczas bostońskiego maratonu 15 kwietnia 2013 r. na Reddicie rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania sprawców. W wyniku wybuchu dwóch skonstruowanych domowym sposobem bomb zginęły trzy osoby, a 264 zostały ranne. „Znajdź bostońskich zamachowców" – pod tym hasłem tysiące internautów próbowało zidentyfikować przestępców, gdy tylko FBI trzy dni po zamachu upubliczniło zdjęcia podejrzanych. Internauci oskarżyli o atak zaginionego 22-letniego studenta Sunila Tripathiego.

Użytkownicy Reddita byli pewni, że udało im się znaleźć osobę odpowiedzialną za tragedię. Jednak na wskazaniu sprawcy się nie skończyło – internauci zaczęli wydzwaniać do rodziny Tripathich z pogróżkami. Kilka dni później znaleziono ciało Sunila, a za przyczynę śmierci uznano samobójstwo przez utonięcie. Choć student nie odebrał sobie życia w wyniku zmasowanych oskarżeń, gdyż zaginął miesiąc przed atakami, jego rodzina w trudnych chwilach dodatkowo musiała radzić sobie z groźbami telefonicznymi.

„Incydent z Boston Bomber nadal pozostaje jednym z najgorszych na Reddit", przyznał Cherian, moderator RBI, w rozmowie z portalem Wired. Serwis oficjalnie przeprosił za „polowanie na czarownice online", jednak niesmak pozostał. Opinia publiczna zaczęła się zastanawiać, czy kilku moderatorów jest w stanie kontrolować działania setek tysięcy internetowych detektywów. Twórcy jednak uważają, że do podobnych błędów już nigdy nie dojdzie. „RBI nauczyło się na błędach innych i jest zaangażowane w dostarczanie platformy opartej na etyce", wyjaśniał Cherian, dodając: „Jeżeli nie będziemy ostrożni, Reddit brutalnie nas zamknie".

Co do tego nie ma wątpliwości – już niejedna sekcja została usunięta ze względu na nieetyczne, niedemokratyczne lub nietolerancyjne treści. Obecnie RBI zdaje się funkcjonować bez zarzutu. Użytkownicy bawią się świetnie, śledząc, analizując i pomagając w rozwikłaniu zagadek, które komuś spędzają sen z powiek. Coraz więcej osób dołącza do inicjatywy – i nie ma w tym nic dziwnego, kto z nas bowiem nie chciał być w dzieciństwie detektywem? ■

Użytkownicy portalu bawią się świetnie, pomagając w rozwikłaniu zagadek, które komuś spędzają sen z powiek.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 95b41e7ff6

1

2

5

Sklep NA GŁOWIE

Marketingowcy nazwaliby to sprzedażą bezpośrednią, czyli oferowaniem towarów konsumentom na zasadach kontaktów indywidualnych. Dodaliby, że wymaga to osobistej prezentacji produktu. My tę formę sprzedaży nazwaliśmy sklepem na głowie.

1. Tradycyjne krzesła na sprzedaż – Nairobi, Kenia.
2. Obnośna apteka na ulicy w Abidżanie – Wybrzeże Kości Słoniowej.
3. W sklepie byłby to dział wyposażenia wnętrz z poduszkami – Lomé, Togo.
4. Wąska specjalizacja: pluszowe misie – Monrowia, Liberia.
5. Chodzący butik z ubraniami – Lomé, Togo.
6. Prezentacja nabiału, jakiekolwiek potknięcie niewskazane – Lagos, Nigeria.
7. Ciasteczka od ręki – Kair, Egipt.

eprasa.pl 95b41e7ff6

3

4

6

7

FOT. EAST NEWS (6)/AFP/UIG DIVERSE/DESIGN PICSRM/UIG TRAVEL AND SATELITE /ROBERT HARDING

eprasa.pl 95b41e7ff6

Marek Pióro

Bielik – morski orzeł z polskiego godła

Śmiało możemy go nazwać ptakiem w ekspansji. Z roku na rok przybywa w Polsce nowych par, gniazd, rewirów

Zdaniem większości kompetentnych osób – ornitologów, przyrodników, historyków – to bielik, a nie żaden z orłów, widnieje w polskim godle. Jako że mam wielki szacunek do fachowców, nie będę próbował wdawać się z nimi w jakiekolwiek dyskusje. Niepokoić może jedynie fakt, że albinosy znacznie częściej trafiają się wśród królewskich orłów przednich. Dlaczego zatem nasi przodkowie mieliby postawić na kluchowatego bielika? Ścierwojadem, bo bielik padliną nie gardzi, ptaka tego nie nazwę tylko z obawy, że jakiś nadmierny patriota doniesie na mnie do prokuratury. Taka historia spotkała Adama Wajraka.

Bielik tak naprawdę nie jest orłem, lecz orłanem. Aby nie wprowadzać zbędnego zamieszania, nazewnictwem nie będę się jednak zajmował. Orzeł morski z birkutem mogliby tu sporo namieszać.

Istotną cechą odróżniającą bielika od orła przedniego są skoki, czyli nogi. Bielik, podobnie jak orzeł z naszego godła, ma je opierzone. Piór na skokach pozbawiony jest natomiast orzeł przedni.

Nigdy nie zapomnę wrażeń z pierwszego spotkania z bielikami w naturze. Nad Wartą wypatrzyliśmy z synem dwa odległe niewielkie przecinki z białymi ogonami. Chwilę pokręciły się nad rzeką i odleciały. Choć widziałem później bielika z odległości kilku metrów, a nawet ośmiu przedstawicieli tego gatunku w jednym miejscu, oglądałem też o nich piękne filmy, tak wielkie emocje i radość już się nie powtórzyły.

Bieliki w Polsce budują gniazda wyłącznie na drzewach. Jeżeli para ptaków nie jest nękana w swoim rewirze odwiedzinami ludzi, to po latach użytkowania i remontów, gniazdo przemienia się w gigantyczną, ważącą nawet tonę twierdzę o rozmiarach 4 metrów wysokości i 2,5 metra średnicy. Generalnie ptaki szponiaste budują w życiu nawet kilkanaście gniazd. Po jakimś czasie zdarza im się wracać do gniazda wcześniej używanego.

Większość ludzi w moim miasteczku ma zdrowe podejście do gniazd bielików i całkowicie je ignoruje. Żałuję jednak, że nie każdy. Jest wśród nas, niestety, ich pasjonat, większy, niż ptaki mogłyby sobie tego życzyć. Wizyty tego szkodliwego miłośnika, poszukującego trofeum w postaci pióra czy choćby kawałka skorupki, kończyły się w 2004 i 2005 r. bardzo nieciekawie. Spłoszonym bielikom do pustego gniazda zajrzały kruki i urządziły sobie ucztę z niepilnowanych jaj.

W początkach marca 2006 r. wyszliśmy z synem do gniazd (a nasze bieliki mają ich już pięć), by na prośbę leśniczego wypełnić ankietę dla Komitetu Ochrony Orłów. Zamieszkane gniazdo łatwo z daleka rozpoznać po tym, że jest upaćkane po zimowej przebudowie. Jakież zdziwienie i oburzenie wywołała w nas ambona myśliwska ustawiona sto metrów od niego! Teren lęgowy ma prawną strefę ochronną: 200 metrów bezwzględnie przez cały rok, a 500 metrów w okresie lęgowym.

Sprecyzowałem miejsce przyszłego lęgu i w domu natychmiast chwyciłem za telefon. Zawiadomiłem leśniczego, jak gospodarzą na jego terenie myśliwi. O skandalicznej lokalizacji ambony poinformowałem też dr. Tadeusza Mizerę, ówczesnego szefa wielkopolskiego Komitetu Ochrony Orłów. Stanęło na tym, że ambona na czas lęgu zostaje, ale nie może być używana. Potem zaś miała zostać rozebrana.

W maju 2006 r. z nieukrywaną radością usłyszałem, że pisklę z naszego lasu zostało zaobrączkowane! Samiczka otrzymała imię Pamela.

Na tym jednak historia z moimi bielikami się nie skończyła. Czasami bywam niedowiarkiem. Czy myśliwi rozebrali ambonę? W styczniu następnego roku poszedłem sprawdzić. Przeczucie mnie nie zawiodło: ambona nie tylko stała, ale jeszcze ją wzmocniono.

eprasa.pl 95b41e7ff6

Tym razem szef wielkopolskiego Komitetu Ochrony Orłów przyjechał osobiście. Pojawił się też nadleśniczy. Ambona poszła do kasacji, jej los podzielił też paśnik ustawiony zbyt blisko orlego gniazda.

Największe zgrupowania młodych bielików widuję w Słońsku. Choć siedem czy osiem bielików na żadnym z obserwatorów ptaków wrażenia nie uczyni, bo w trakcie jesiennych koncentracji (zwykle na stawach rybnych) można zobaczyć jednocześnie nawet 40 sztuk, ja jestem zachwycony. W Słońsku, wraz z pobliskim Parkiem Narodowym „Ujście Warty", te majestatyczne ptaki widuje się niemal na zawołanie, a takich miejsc w Polsce przybywa. Szczególnie dobrze się mają młode osobniki, dla których tamte okolice są wymarzonym miejscem na naukę życia.

Bielika śmiało możemy nazwać ptakiem w ekspansji. Z roku na rok przybywa w Polsce nowych par, gniazd, rewirów. Działania ochronne – jak wprowadzenie ochrony bezpośredniej, utworzenie wspomnianych wcześniej stref ochronnych, między innymi Komitetu Ochrony Orłów – przynoszą piękne rezultaty. Z ok. 50 par w latach 50. ubiegłego wieku populacja rozrosła się obecnie do około półtora tysiąca.

Bieliki nie mają jednak kolorowego życia. Nigdy nie słyszałem, by skazano kogoś za zabicie ptaka będącego symbolem naszego państwa. Również 500 tys. km linii energetycznych zbiera krwawe żniwo wśród osobników gatunku. Jak już napisałem, wiele szkód czynią ludzie zbliżający się do gniazd podczas lęgów. Do listy zagrożeń dołączyły niedawno wiatraki energetyczne.

W wyniku zamierzonej działalności człowieka ginie 25-35 bielików rocznie.

Ciekawy jest skład pokarmu bielika. Niecałe 5% jego diety to ssaki; ponad 25% – ptaki, głównie kaczki; najwięcej, bo aż 70%, to ryby. Bielik chętnie zjada padlinę lub eliminuje zwierzęta chore. Chociaż należy do gatunków ściśle chronionych, często zdarza mu się ginąć w pobliżu gospodarstw rybnych. Czasami na stawach zastawiane są na niego różne pułapki. Jedną z nich, szczególnie perfidną, jest deszczułka nabita od spodu długimi gwoździami, z leżącą na wierzchu rybą.

Przez kilka lat liczyłem martwe bieliki, o których donosiły media. W 2004 r. zastrzelono co najmniej trzy; inny został postrzelony tak poważnie, że nie mógł wrócić na wolność. Zabito bielika między innymi w pobliżu Parku Narodowego „Ujście Warty". W Śmiłowie w pobliżu Farmutilu, zakładu utylizacyjnego byłego senatora Stokłosy, padły w 2005 r. trzy bieliki. W 2006 r. cztery otruto pod Cieszanowem na Podkarpaciu (zdziwiłem się, że tam występują). 26 lutego 2007 r. pięć otrutych bielików znaleziono na skutym lodem jeziorze koło Giżycka. Do tego trzy zabite na stawach rybnych w okolicy Łowicza w listopadzie 2007 r. 6 kwietnia 2009 r. w Górowie Iławeckim – pięć czy sześć osobników. 24 kwietnia 2009 r.: cztery bieliki otrute w gminie Obsza na Zamojszczyźnie. W tej ostatniej grupie był ptak z obciętymi przez jakiegoś psychopatę szponami. Powstało we mnie przekonanie, że nie wszystkim ludziom odpowiada coraz większa populacja tych ptaków.

Spostrzeżenia te są tylko czubkiem góry lodowej. Według szacunków Komitetu Ochrony Orłów w wyniku zamierzonej działalności człowieka ginie 25-35 bielików rocznie.

Ścisła ochrona nie zawsze gwarantuje chronionym gatunkom bezpieczeństwo...

Na szczęście kiedy jedni celowo lub przypadkowo zwalczają bieliki, drudzy je ratują. Nieoceniony w pomaganiu tym majestatycznym ptakom jest między innymi Ośrodek Rehabilitacji Zwierząt Chronionych w Przemyślu. Dzięki pomocy tamtejszych weterynarzy sporo bielików, jak i wiele innych gatunków zwierząt, wróciło na łono przyrody.

Bielik w kulturze został zdominowany przez bardziej przebojowego orła przedniego. Pojawił się co prawda w pięknym wierszu Kazimierza Przerwy-Tetmajera, ale zatytułowanym „Orzeł morski". Widnieje też w logo Wolińskiego Parku Narodowego. Okręt podwodny ORP „Bielik" ma już 50 lat i przedstawia raczej wartość zabytkową niż bojową.

Fragment książki Marka Pióry *Plamka mazurka. Jak ptaki odmieniły moje życie*, Marginesy, Warszawa 2019

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 95b41e7ff6

Ogórek bio, ale w plastiku

Większość odpadów komunalnych wciąż nie jest segregowana

Anna Brzeska

Zagadka nr 1. Czy chcąc dbać o środowisko, powinniśmy kupować zwykły, zielony ogórek na wagę czy ten „bio", ale zapakowany w folię? Odpowiedź: dla naszego zdrowia lepszy będzie ogórek „bio", ale dla planety zwykły, ponieważ jego skórka jest w stu procentach biodegradowalna.

Ktoś mógłby dodać, że opakowanie ogórka możemy przecież wrzucić do pojemnika na plastik, dzięki czemu ulegnie potem przetworzeniu. Kłopot w tym, że większość odpadów komunalnych wciąż nie jest segregowana, choć selektywna zbiórka odpadów prowadzona jest we wszystkich gminach w Polsce.

Wciąż za mało

W Warszawie (dostępne są dane za 2017 r.) recyklingowi poddaje się jedynie 20,4% odpadów. Dla porównania – w Kutnie, będącym jednych z liderów segregacji, w 2018 r. segregowano już ponad 37%. Polska średnia to niespełna 29%. Tyle odpadów udaje nam się segregować. Dla porównania: Niemcy już w 2013 r. osiągnęły poziom 47%, a Słowenia – aż 55%.

Te statystyki muszą się poprawić i to natychmiast, ponieważ zobowiązują nas do tego dyrektywy unijne. Do roku 2020 powinniśmy segregować przynajmniej 50% śmieci! Inaczej grożą nam wysokie kary.

Zagadka nr 2. Wracając z wakacji spędzonych nad polskim morzem, natykam się na kontener wielkości ciężarówki, stojący przy jednej z popularnych fastfoodowych restauracji, wypełniony „z górką" zmieszanymi odpadami w czarnych, plastikowych workach. Łatwo w takiej sytuacji pomyśleć – co z tego, że ja, zwykła Kowalska, produkująca rocznie „zaledwie" 312 kg odpadów komunalnych (2017 r.), staram się segregować śmieci, skoro gastronomiczny gigant ma to wszystko w nosie? Czy zamartwianie się zafoliowanym ogórkiem ma sens?

Odpowiedź: ma, ponieważ w 2017 r. z gospodarstw domowych odebrano 10,4 mln ton odpadów, co stanowiło 83,7% wszystkich wytworzonych odpadów komunalnych. Zatem to my, zwykli obywatele produkujący śmieci w gospodarstwach domowych, jesteśmy w największym stopniu odpowiedzialni za to, jak nam idzie spełnianie unijnych wymogów.

Mit jednej śmieciarki

Zagadka nr 3. Czy ma sens segregowanie, skoro „oni i tak nie segregują"? Zapewne większość z nas zna legendę miejską o wielkiej śmieciarce, która „przyjechała i wrzuciła wszystko do jednego kontenera".

Odpowiedź: ma sens, ponieważ pozory mylą. Na stronie Ministerstwa Środowiska możemy obejrzeć krótki filmik (naszesmieci.mos.gov.pl/materialy-wideo), który obala „mit jednej śmieciarki". Nawet jeśli po wszystkie śmieci przyjeżdża jedna ciężarówka, możemy być niemal pewni, że wewnątrz jest podzielona na kontenery przeznaczone do różnych frakcji śmieci (a więc osobno papier, plastik itd.).

Gdy mimo wszystko mamy wątpliwości, czy nasze śmieci rzeczywiście są zabierane przez przystosowane pojazdy, zapytajmy o to kierowcę śmieciarki. Jeśli potwierdzi nasze wątpliwości, bo nasza gmina nie zadbała o to, by odbiór śmieci organizowała firma posiadająca właściwy sprzęt – to nadal nie jest to powód, by nie segregować odpadów. Zgodnie z kodeksem postępowania administracyjnego mamy prawo napisać skargę na wójta gminy – do rady gminy, a w przypadku braku działań ze strony rady możemy skarżyć się na gminę radzie wojewody.

Mało prawdopodobne wydaje się jednak, że ewentualne zaniedbania – jeśli nadal się zdarzają – będą się utrzymywać. Według noweli ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach, którą 6 sierpnia podpisał prezydent Andrzej Duda, gmina będzie miała prawo czerpać zyski ze sprzedaży surowców wtórnych przez skupy i przeznaczyć je na dalsze usprawnienia systemu lub zniżki dla mieszkańców. Dlatego tym bardziej powinniśmy nalegać na włodarzy, by zadbali o należytą zbiórkę odpadów komunalnych.

Jeśli natomiast nie jesteśmy pewni, jak segregować, zajrzyjmy na stronę gminy i poszukajmy poradnika. Nie ma go tam? Poprośmy gminę o udostępnienie go.

Gminy z kolei mają prawo (i obowiązek) naciskać na mieszkańców. Według nowych przepisów będą miały prawo znacznie podnieść opłaty za odbiór odpadów niesegregowanych. Stawki będą mogły być już czterokrotnie wyższe niż te, które zapłacimy za wywóz posegregowanych śmieci. W przypadku czteroosobowej rodziny, jeśli w tej chwili opłata wynosi np. 25 zł za osobę, za niesegregowanie śmieci zapłacimy aż 400 zł.

Do 2021 r. muszą zniknąć plastikowe produkty jednorazowego użytku.

Zagadka nr 4. Czy ma sens segregowanie, skoro mieszkam w bloku, a sąsiadom nie chce się segregować?

Odpowiedź: ma. Oczywiście wyżej przedstawione statystyki wskazują na to, że rzeczywiście wciąż śmieci nie segregujemy. Niestety, o ile w domach wolnostojących, gdzie odpady odbierane są indywidualnie, łatwo jest egzekwować segregowanie od każdego mieszkańca, o tyle w przypadku zabudowy wielorodzinnej nie jest to już proste. To dlatego duże miasta (gdzie jest więcej bloków lub kamienic) mają zwykle poważniejszy problem z osiągnięciem wymaganych wskaźników niż małe miasteczka, składające się w dużej mierze z domów jednorodzinnych.

Jak mogą sobie radzić duże miasta? – W stolicy, jeśli mieszkańcy

eprasa.pl 95b41e7ff6

zabudowy wielorodzinnej zadeklarowali segregowanie odpadów, a tego nie robią, lub odpady segregowane są zanieczyszczane innymi frakcjami, pracownicy odnotowują ten fakt stosowną informacją w systemie (każdy pojemnik znajdujący się w altance śmietnikowej ma indywidualny chip). Firma odbierająca odpady ma obowiązek zgłosić takie zdarzenie do Biura Gospodarki Odpadami m.st. Warszawy oraz odebrać zanieczyszczone odpady segregowane podczas najbliższego odbioru odpadów zmieszanych – informuje Judyta Motyka z MPO w Warszawie.

W praktyce jednak nie można określić, który mieszkaniec nie segreguje śmieci lub robi to źle. Co z tym zrobić? – W tym wypadku obowiązuje zbiorowa odpowiedzialność, co oznacza, że jeśli np. jedna osoba czy grupa osób nie segreguje odpadów zgodnie z wcześniejszą deklaracją, wówczas konsekwencje takiego postępowania (wzrost stawki), spadają na wszystkich członków wspólnot czy np. spółdzielni mieszkaniowych – wyjaśnia Judyta Motyka.

Rozmawiając o konieczności segregowania śmieci, często można też spotkać się z argumentem o braku miejsca w kuchni na kilka różnych koszy. To zrozumiałe. Jednak *dura lex, sed lex* – jakoś wszyscy będziemy musieli się przyzwyczaić i odpowiedzialność zbiorowa powinna skłonić nas choćby do większego wysiłku w kwestii edukowania sąsiadów.

Warto też przyjrzeć się własnym nawykom i zadać sobie np. takie pytania – czy w sklepie powinienem wybrać trzy plasterki sera na tacce owiniętej folią, czy raczej kupić ser w kawałku. To samo z wodą – zamiast kupować półtoralitrową butelkę, pijmy filtrowaną (lub nie) kranówkę i kupmy saturator.

Nie tylko recykling

Związek Miast Polskich skrytykował jednak nową ustawę. W swoim stanowisku wskazuje na kilka zasadniczych problemów. Jednym z nich jest obawa, że nowe zasady ustalania stawek dla tzw. nieruchomości niezamieszkanych (czyli np. domków letniskowych) doprowadzą do wyłączenia tego typu nieruchomości z gminnego sytemu odbioru odpadów, a przez to do „zmniejszenia szczelności" systemu.

W Warszawie w 2017 r. recyklingowi poddawano jedynie 20,4% śmieci.

Miasta mają też wątpliwości co do proponowanej w ustawie możliwości równoległego odbioru śmieci przez wiele podmiotów, co jest ich zdaniem sprzeczne z założeniami ograniczenia emisji spalin w centrach miast. Niepokój związku budzi też „odstąpienie od uregulowanych kryteriów pozwalających stwierdzić, czy właściciele nieruchomości prawidłowo prowadzą selektywną zbiórkę odpadów komunalnych".

Jeśli chodzi o prawo unijne, to Parlament Europejski zatwierdził w marcu nowe prawo zakazujące sprzedaży na terenie UE plastikowych produktów jednorazowego użytku, takich jak: talerze, sztućce, słomki, balony z tworzywa sztucznego, mieszadełka, patyczki kosmetyczne, polistyrenowe kubki i pojemniki na żywność (chodzi tu o jednorazowe „piankowe" tacki czy pojemniki używane np. w restauracjach do pakowania jedzenia na wynos). Wszystko to musi zniknąć z punktów sprzedaży, restauracji i barów do 2021 r.

Nowe unijne przepisy nie wycofują jednak pakowania warzyw i owoców w plastik. Czy dystrybutorzy żywności i markety są skłonne – mimo braku zakazu – wprowadzić jednak dobre praktyki?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 95b41e7ff6

Aleksandra Robaszkiewicz, Lidl Polska: – Podjęliśmy zobowiązanie redukcji opakowań plastikowych marek Lidla o 20% do 2025 r. Również do 2025 r. 100% plastiku użytego do produkcji opakowań marek własnych będzie mogło zostać poddane recyklingowi. W ramach realizacji naszych zobowiązań zredukowaliśmy plastikowe opakowania części warzyw i owoców dostępnych na Ryneczku Lidla, ograniczyliśmy również materiał PET w butelkach wody. Nasze butelki są teraz cieńsze, dzięki czemu w 2019 r. Lidl Polska oszczędzi aż 442 tony plastiku – to ok. 19 zapakowanych po brzegi tirów.

Aleksandra Robaszkiewicz zaznacza również, że pakując produkty (np. pieczywo czy warzywa), klienci mogą skorzystać z własnych opakowań, ale muszą zadbać o właściwą ekspozycję produktów podczas ich kasowania.

Biuro prasowe Lidla zaznacza też, że sieć zredukowała już zużycie plastiku, np. poprzez wprowadzenie zamiast jednorazowych naczyń plastikowych artykułów biodegradowalnych. To pozwoliło na eliminację ok. 140 ton plastiku.

– Produkty do niedawna sprzedawane wyłącznie w opakowaniach, m.in. takie jak pomidory rzymskie, papryczki pikantne, cytryny, pomarańcze, grejpfruty, mandarynki, włoszczyzna, pory, buraki, cebule, czosnek, obecnie są dostępne bez nich. Dążymy do dalszego ograniczenia liczby opakowań na Ryneczku Lidla. Część naszych BIO warzyw i owoców sprzedajemy m.in. w biodegradowalnych i kompostowalnych przemysłowo opakowaniach z polilaktydu (PLA) – wyjaśnia Aleksandra Robaszkiewicz.

Z kolei właściciel sieci Biedronka, spółka Jeronimo Martins, deklaruje, że w 2018 r. odsetek odpadów przekazanych do recyklingu wyniósł ponad 91%. – W ubiegłym roku zakup toreb w sklepach naszej sieci zmniejszył się o prawie 40% w stosunku do roku 2017 – informuje Sylwia Krzyżycka, dyrektor Działu Ochrony Środowiska.

Przedstawicielka firmy dodaje, że oddzielne pakowanie warzyw i owoców znacznie przedłuża ich świeżość, co pozwala na minimalizowanie strat żywności, a niesprzedane artykuły spożywcze spółka przekazuje na cele charytatywne. W 2018 r. było to aż 4 876 ton żywności

– Produkty, które nie zostają spożytkowane jako darowizna żywności, nie trafiają na wysypisko – dodaje Sylwia Krzyżycka. – Odpady są selektywnie gromadzone w sklepie, następnie odbierane przez wyspecjalizowane firmy i podlegają recyklingowi, przetworzeniu lub odzyskowi. Przykładowo z owoców i warzyw wytwarzany jest biogaz do produkcji energii i ciepła, z produktów mięsnych wytwarzana jest karma dla zwierząt, a pieczywo trafia do gorzelni jako surowiec do produkcji alkoholu – wyjaśnia.

Jan Kołodyński, menedżer ds. relacji zewnętrznych, wylicza jeszcze inne zmiany, m.in. wprowadzenie papierowych, zdejmowalnych etykietek na jogurty bio, co oszczędza 9 tys. kg plastiku rocznie, czy rozpuszczalnej folii w tabletkach do zmywarek marki własnej Biedronki, czyli Kraft. Firma już dziś wprowadza papierowe patyczki do uszu (marki Dada i Carea). W Biedronce można też już kupić talerze, kubki i sztućce wyprodukowane w 100% z materiałów pochodzenia roślinnego, które po użyciu można wyrzucić do pojemnika na odpady BIO.

Z kolei Carrefour Polska zapewnia, że głównymi celami w redukcji ilości odpadów opakowaniowych są: wprowadzenie do 2025 r. 100% opakowań marki własnej nadających się do recyklingu lub kompostowania, a także redukcja masy opakowań marki własnej do 2022 r. o 5% w stosunku do roku 2017 r.

Sieć Carrefour Polska redukuje też wykorzystanie tworzyw sztucznych do magazynowania i transportu. Przedstawiciele biura prasowego zachęcają klientów do przynoszenia własnych opakowań wielorazowych – nie tylko toreb na zakupy, ale też pudełeczek, woreczków czy słoików, by pakować w nie sery czy wędliny. Carrefour pracuje również nad wycofaniem tzw. zrywek ze swoich sklepów i wprowadzeniem woreczków wielokrotnego użytku. Biuro prasowe tłumaczy też, że jeśli chodzi o opakowania używane przez producentów ekologicznych warzyw (czyli np. naszego tytułowego ogórka), niewiele można tu zrobić, ponieważ taki sposób pakowania narzucają przepisy, mówiące o tym, że „produkty te nie mogą mieć bezpośredniego kontaktu z żywnością niecertyfikowaną ze względu na niebezpieczeństwo przenikania środków ochrony roślin z powierzchni warzyw i owoców wychodowanych w sposób konwencjonalny na produkty bio".

Carrefour zachęca klientów do przynoszenia własnych pudełeczek, woreczków czy słoików, by pakować w nie sery czy wędliny.

Co z fast foodami?

Ponieważ wciąż trapił mnie widok kontenera przed jednym z fast foodów, napisałam do liderów branży – sieci McDonald's oraz spółki AmRest (właściciela marek KFC, Burger King czy PizzaHut), chcąc sprawdzić, jakie jest ich podejście do selekcji odpadów.

Niestety, inwestowanie w szybką ekspansję oraz skupienie się raczej na poprawie jakości sprzedawanej w nich żywności sprawiły, że gospodarka odpadami przez lata raczej kulała. Na szczęście stratedzy McDonald's już zauważyli, że kwestia śmieci jest ważna i obiecali wprowadzenie do 2025 r. recyklingu we wszystkich restauracjach marki (już w tej chwili selekcja jest możliwa w większości restauracji) oraz przejście w 100% na opakowania ze źródeł naturalnych, produkcji certyfikowanej lub recyklingu.

Nieco gorzej jest z markami AmRest. Trzeba przyznać, że firma podjęła starania w innych obszarach dbania o planetę. Są to choćby energooszczędne rozwiązania w procesie produkcji, instalacje punktów ładowania dla elektrycznych samochodów czy eliminacja oleju palmowego z produkowanej żywności. Jednak śmieci nadal nie są segregowane. Nad rozwiązaniem problemu nadal pracują specjalnie powołane zespoły, jednak Maria Grzybowska z działu kontaktu z mediami przyznaje, że „przy kompleksowości i skali firmy są to duże wyzwania".

Anna Brzeska

eprasa.pl 95b41e7ff6

W Mińsku też nie potrafimy…

Dwa tygodnie temu pisaliśmy o ambasadzie w Berlinie, której budowa nie może ruszyć od 20 lat, tydzień temu o podobnej sytuacji w Gruzji, teraz przenieśmy się trochę bliżej, na Białoruś.

Tam również Polska nie może zacząć budowy ambasady, przynajmniej od roku 2012. A historia tej zwłoki także nie świadczy dobrze o MSZ.

Wszystko zaczęło się od uzyskania przez Białoruś niepodległości. Pierwszą swoją ambasadę Polska ulokowała w budynku konsulatu RP, który został przeniesiony w nowe miejsce. Ta siedziba znajdowała się przy ul. Rumiancewa, w dawnej willi (niektórzy mówią – pałacyku) szefa NKWD Białorusi Ławrentija Canawy. Budynek od początku był za ciasny, wiadomo więc było, że jest to siedziba tymczasowa. Zwłaszcza że nie była ona polską własnością, płaciliśmy Białorusinom za wynajem. W pewnym momencie, z paroletnim wyprzedzeniem, MSZ Białorusi poinformowało Polskę, że umowa wynajmu nie będzie przedłużona. Zaczęło się więc szukanie miejsca na nową siedzibę. Szło to opornie, propozycje Białorusinów nam nie odpowiadały. W końcu, w roku 2010 otrzymaliśmy satysfakcjonującą nas działkę w centrum Mińska, niedaleko ambasady Rosji. Termin wynajmu starego budynku upływał 1 lipca 2012 r., więc było wiadomo, że nie zdążymy zbudować nowej ambasady. Było jednak wystarczająco dużo czasu, by znaleźć miejsce na siedzibę tymczasową.

Szukano jej tak, że trzeba było przenieść ambasadę do budynku konsulatu. A w grudniu 2012 r. do biurowca przy ul. Biaduli 11, gdzie na trzech piętrach zajęła 1000 m kw. Na jaki czas? Nie wiadomo. Pytany o to ówczesny ambasador w Mińsku odpowiadał, że wciąż trwają prace związane z „uszczegółowianiem projektu". To znaczy że jeszcze nie ma zatwierdzonego projektu nowego budynku, więc o innych sprawach nie ma co rozmawiać. Choć oczywiście można marzyć. „Najważniejsze, aby wbić pierwszą łopatę w ziemię – mówił. – Najbardziej optymistyczne szacunki przewidują, że nastąpi to w przyszłym roku". Czyli w roku 2013. A sama budowa miałaby trwać dwa-trzy lata. Tak więc w grudniu 2012 r. można było zakładać, że w roku 2016 będzie można uroczyście otwierać nową ambasadę.

Mamy rok 2019. Do tej pory nawet symboliczna łopata nie została wbita w ziemię. Trwają przetargi. A przedstawiciel MSZ pytany w Sejmie, co z tą ambasadą, mówił tak: „Obecnie wzywamy potencjalnych generalnych wykonawców – na polu boju zostało dwóch – do złożenia ostatecznych ofert. Najprawdopodobniej w ciągu dwóch trzech miesięcy dojdzie do podpisania umowy na wykonawstwo".

A potem? A potem, jak wyjaśniał, zacznie się budowa i „w ciągu 28 miesięcy powinniśmy tę ambasadę mieć zrobioną".

Policzmy – mniej więcej w październiku ma być podpisana umowa, czyli na początku roku 2022 polscy dyplomaci pracujący w Mińsku powinni przeprowadzić się do nowej ambasady.

Po 12 latach od momentu otrzymania działki.

Przy czym, dodajmy, te obietnice padły z ust niewiarygodnych, bo urzędników MSZ… Kiedy to wszystko naprawdę się skończy, tego nadal nie wiemy.

Attaché

Chłopiec ze służby porządkowej roznosi wodę modlącym się muzułmanom podczas Święta Ofiar (Id al-Adha), które obchodzone jest po corocznej pielgrzymce do Mekki. Kara Isheri w Nigerii.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 95b41e7ff6

JOLKA

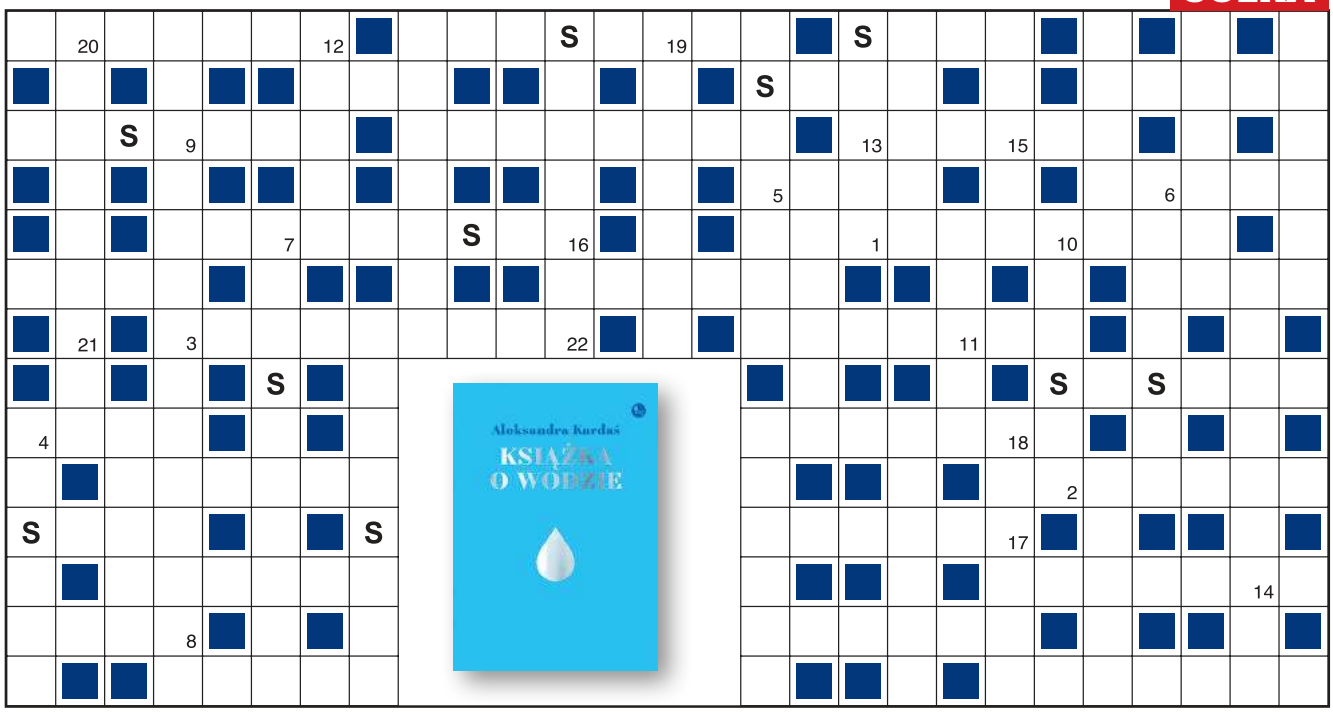

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10

11	12	13	14	15	16

17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- początkująca w zawodzie
- np. Stanów Zjednoczonych w Warszawie
- odpowiednik
- ostre zapalenie migdałków i gardła
- Jan Stokłosa lub Krzysztof Herdzin
- wynajem samolotu, statku
- to on pyta: „Cóz tam, panie, w polityce?”
- potrawa podawana na stół
- sielanka, idylla
- księżyc Jowisza od kochanki Zeusa
- prom, który zatonął na Bałtyku w 1994 r.
- niskogatunkowy to wojłok
- w kartotece i do notatek
- Lordów lub Gmin w brytyjskim Parlamencie
- w mitologii indyjskiej i w powieści Sienkiewicza
- gra rockowo lub na ludowo
- maron do zjedzenia
- ma czerwoną kulkę jako nos
- roznoszą boreliozę
- przeciwieństwo abstrakcji
- Wallenrod u Mickiewicza
- piłki, rowów, ziemniaków
- Wielka im. Stanisława Marusarza
- przelewa uczucia w strofy
- socjalny dla osoby bezdomnej
- nie każde jest metropolią
- rozdzielana metodą ekstrakcji
- włoskie miasto z Zamkiem Jajecznym
- pełen jej język hejterów
- podlec, nędznik
- poszukiwana w upalne dni
- jest nim Shrek
- palmeta albo bukranion
- pasie się pod okiem bacy
- symptom, przejaw
- …Na Wodzie w Łazienkach
- używana do krycia dachów
- Szachrajka u Brzechwy
- jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o nie
- cięta, trafna i szybka odpowiedź
- Kaponiera w Poznaniu
- rozróżnienie, oddzielenie, demarkacja
- nagromadzenie gruzu, odłamków skalnych
- trunek w czarce ochoko
- wyróżniała Waligórę i Wyrwidęba
- tam wyrabiano pasy kontuszowe
- jabłko pod jabłonką
- okres trzech nóg w zagadce Sfinksa
- operacyjny, podatkowy lub emerytalny
- zwierzęce oczy
- mała do wkręcenia
- miękiszowa w organach roślinnych
- inaczej fuksja
- trener Jan albo Jerzy z „Nie”
- na wodę, węgiel, śmieci
- lodowy może prowadzić do powodzi
- koneserka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-922”. Do rozlosowania publikacje „Książka o wodzie” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 sierpnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-919” z 4 sierpnia: *W złości nie ma litości*.
Nagrody otrzymują: Konrad Pawliczuk z Warszawy, Edward Skoczylas z Warszawy, Kazimierz Zduński z Rudy Śląskiej.

eprasa.pl 95b41e7ff6

PENETRACJE

STANISŁAW ARONSON „RYSIEK”, POWSTANIEC WARSZAWSKI

Góra AK to byli megalomani. Powstanie wywołało kilku kompletnie niekompetentnych ludzi. Wbrew logice. I oni – jak ślepcy z obrazu – poprowadzili nas ku tragedii. Stało się z nimi coś arcypolskiego: oni oszaleli, zachłysnęli się Polską i oszaleli. Stracili zdolność racjonalnego myślenia. Liderzy AK w sposób zupełnie nieodpowiedzialny, szafując życiem setek tysięcy ludzi, rzucili się w szalonej szarży z pięściami na wroga.

JACEK DOBROWOLSKI, POETA I TŁUMACZ

Lobby deweloperskiemu, które od lat prowadzi kampanię na rzecz odbudowy Pałacu Skwarcowa, udało się wmówić rządzącym, że zrekonstruują Pałac Saski – siedzibę Rzeczypospolitej! Andrzej Duda i sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta ds. kultury Wojciech Kolarski, największy orędownik odbudowy Pałacu Skwarcowa, rodem z Krakowa, nie znają najwyraźniej historii Królestwa Kongresowego. Wydawanie ponad 800 mln zł netto na odbudowę trzeciorzędnego carskiego pałacu jest niebywałą ekstrawagancją i politycznym błędem. Czy w Krakowie ktokolwiek przystałby na odbudowę austriackiego odwachu przy ratuszu tylko dlatego, że stacjonowało tam później wojsko polskie?

PROF. JANUSZ SZTUMSKI, SOCJOLOG

Dopiero wtedy, gdy każda ludzka istota będzie przez rządzących traktowana jako podmiot, a nie przedmiot, którym mogą się oni posługiwać dla swoich egoistycznych celów – inspirowanych przez żądzę władzy – będzie można poważnie mówić o godności człowieka. Warto przypomnieć wypowiedź Alberta Einsteina z 1954 r.: „Istnienie i obowiązywanie praw człowieka nie jest bynajmniej zapisane w gwiazdach”. Znaczna część historii jest więc wypełniona walką o te właśnie prawa człowieka, odwieczną walką, w której nie można odnieść ostatecznego zwycięstwa. Lecz zaniechanie tej walki oznaczałoby zagładę społeczeństwa.

MARIA SADOWSKA, WOKALISTKA I REŻYSERKA

Uważam, że faceci zbyt często wykorzystują nasze wyzwolenie do tego, żeby być wiecznie niedojrzałymi chłopcami i nie brać odpowiedzialności za rodzinę. Mój mąż jest ode mnie o dziewięć lat młodszy, a okazał się dojrzalszy od wielu kolegów w moim wieku. Odkładaliśmy ślub przez kilka lat, nie mieliśmy pomysłu, jak i gdzie go zorganizować. Poznaliśmy się przez te 10 lat bardzo dobrze. W trakcie pracy nad „Sztuką kochania” sami badaliśmy też swoją seksualność, granice miłości, eksperymentowaliśmy na sobie. I dało nam to nowy, fantastyczny rozdział w życiu. A ślub dał nam jeszcze jednego kopa.

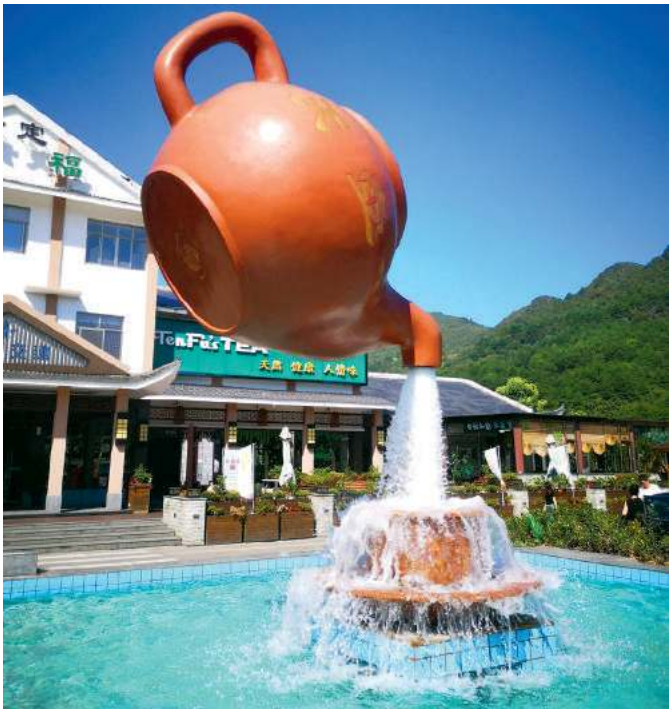

Newton by się zdumiał. Wbrew sile grawitacji? A jednak nie, rura utrzymująca czajnik ukryta jest w strumieniu wypływającej wody. Prowincja Guizhou w Chinach.

FOT. ICHPL IMAGINECHINA/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Aby język giętki…

PIOTR KUCZYŃSKI O OBIETNICACH PiS

Jak znam PiS i widzę, co robią, to w każdej chwili spodziewam się wszystkiego.

JAKUB BIERZYŃSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Jest bardzo słaby. Duda jest stuprocentowym produktem marketingowym.

STEFAN NIESIOŁOWSKI O ALEKSANDRZE KWAŚNIEWSKIM

Uważam Kwaśniewskiego za bardzo dobrego prezydenta. Jego dwóm kadencjom nie można nic zarzucić.

GRZEGORZ SCHETYNA O DONALDZIE TUSKU

W historii mamy dużo przykładów porażek biorących się z postawienia „wizerunku” przed faktycznym rozwiązaniem problemu.

JERZY BACZYŃSKI O SEJMIE

Przez cztery lata obserwowaliśmy, jak parlament zmienia się w karykaturę, arenę dla sztuczek i błazenady.

EWA LIPSKA O SEKSIZMIE

Dzisiaj jest dużo lepiej. Kobiety mężnieją, mężczyźni niewieścieją i jest coraz milej.

KATARZYNA HERMAN O MIŁOŚCI

Nie umiałabym być z aktorem, bo oni są jeszcze bardziej absorbujący niż aktorki.

KRZYSZTOF WIELICKI O CHODZENIU W GÓRY

Zawsze idę w góry ze strachem. On jest kreatywny i buduje wyobraźnię.

HANNA LIS O PODRÓŻACH

Pojechać do ukochanej Lizbony i pójść do jakiejś małej knajpeczki w Alfamie na koncert fado.

MAREK BOROWSKI O WINACH

Ostatnio lubię włoskie ze szczepu primitivo. Od święta piję Primitovo di Manduria. Wolę czerwone, bardziej szlachetne. Z żoną pokochaliśmy chilijskie Tarapaca.

TYMON TYMAŃSKI O PUBLICZNOŚCI

Mam małą publiczność nie dlatego, że nie mam talentu, ale dlatego, że dokonuję trudnych wyborów.

eprasa.pl 95b41e7ff6

Pragnienie matką wynalazków

Na Uniwersytecie w Glasgow powstał sztuczny język, który potrafi wyczuwać niuanse smakowe w próbkach whisky. Podczas testów świetnie poradził sobie m.in. z rozróżnianiem trunku tego samego producenta, ale leżakowanego 12, 15 oraz 18 lat. Wynalazek może znaleźć zastosowanie nie tylko w identyfikowaniu fałszowanego alkoholu, ale także w badaniach bezpieczeństwa żywności. Drugą nowinką w przemyśle alkoholowym jest ATOMIK – wódka z ziarna uprawianego w zamkniętej strefie wokół elektrowni w Czarnobylu. Stworzył ją prof. Jim Smith, który na co dzień bada, jakie tereny w okolicy można już wykorzystywać rolniczo. Uczony podkreśla, że napój jest bezpieczny, a 75% dochodów z jego sprzedaży wraca do lokalnej społeczności.

Grabarzu, powiedz przecie...

W Bawarii odnaleziono grób… Królewny Śnieżki. Zmarła w 1796 r. Maria Sophia von Erthal, dorastająca w zamku nieopodal miasteczka Lohr am Main, uchodzi za pierwowzór bohaterki baśni braci Grimm. Prześladowana przez macochę miała się schronić w lasach pasma górskiego Spessart. W regionie było wiele kopalń, w których pracowali ludzie bardzo niewielkiego wzrostu, dla ochrony noszący kaptury. Grimmowie żyli w tym czasie w tej części Bawarii, niewykluczone więc, że zainspirowała ich historia dziewczyny. Pewność będziemy mieć dopiero, gdy uda się odnaleźć mogiły Gapcia i Nieśmiałka.

Pomysł, że macki opadają

Mieszkanka Fox Island w stanie Waszyngton chciała zrobić efektowne *selfie* na potrzeby konkursu fotograficznego. W tym celu położyła sobie na twarzy wyciągniętą z wody ośmiornicę, która w stresie ugryzła ją w podbródek. Powstała rana krwawiła przez 30 minut i była bardzo bolesna, a po dwóch dniach twarz kobiety, jej gardło i ramiona zaczęły puchnąć, co skończyło się pobytem w szpitalu. – Chcę przekazać ludziom, że nawet jeśli coś wygląda na delikatne i piękne, może nas skrzywdzić – powiedziała telewizji King 5 News Jamie Bisceglia.

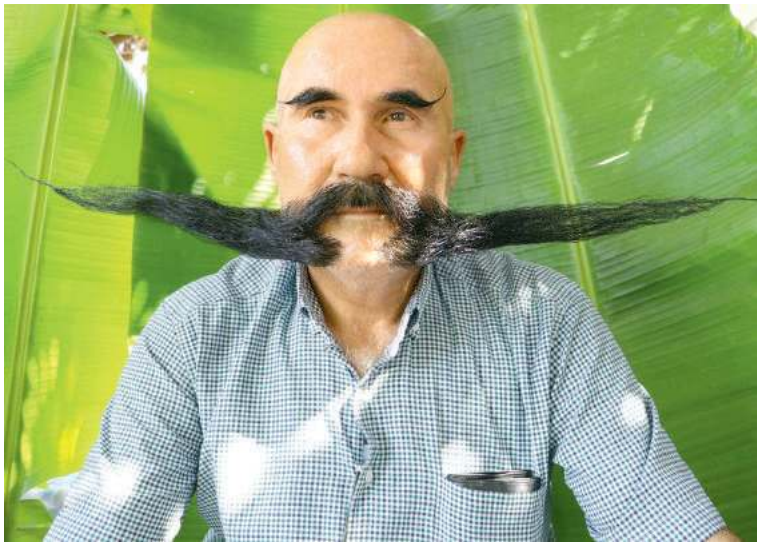

Leżysz? Nie gadaj!

O jeszcze większym pechu może mówić 70-latek, który został przez pomyłkę obrzezany w szpitalu w angielskim Leicester. Terry Brazier miał zostać poddany cystoskopii oraz zabiegowi wstrzyknięcia botoksu w ścianki pęcherza moczowego, jednak został pomylony z innym pacjentem. W gabinecie zabiegowym zagadał się z pielęgniarką i gdy zorientował się, co się stało, było już za późno. Doznaną stratę ma mu przynajmniej częściowo osłodzić 20 tys. funtów zadośćuczynienia.

Recykling się opłaca

Poczet szczęściarzy zasilił natomiast Amerykanin, który przez przypadek wyrzucił do pojemnika na odpady pudełko po butach zawierające całe jego oszczędności. Zrozpaczony mieszkaniec Oregonu skontaktował się z zakładem w Kalifornii, dokąd trafiły jego śmieci, ale nie robiono mu tam wielkich nadziei, gdyż większość odpadów z jego okolicy została już posortowana. Uczulono jednak pracowników, by zwracali szczególną uwagę na kartony po obuwiu, dzięki czemu mężczyzna odzyskał swoje 23 tys. dol. Nadal ktoś uważa, że spalarnie są dobrym rozwiązaniem?

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 95b41e7ff6

Na boki lub zawinięte wokół głowy. Huseyin Gunduz z Turcji – właściciel 80-centymetrowych wąsów, oraz Hindus, który twierdzi, że jego wąsy mają 8,5 metra.

Dobra robota robota

Największy bank w USA, JPMorgan Chase, przekonał się, że sztuczna inteligencja tworzy lepsze reklamy niż marketingowcy, i w związku z tym podpisał pięcioletnią umowę z twórcą stosownego programu, firmą Persado. Okazało się, że znacznie więcej osób klika w internetowe reklamy generowane przez uczący się algorytm niż w te pisane przez człowieka. Imponujące, ale prawdziwym przełomem dla sektora finansowego byłyby dopiero programy, które pod wpływem reklam decydują się na lokaty i kredyty.

Nie z Miki te triki

Instytut Neurobiologii Uniwersytetu Oregońskiego pracuje nad nauczeniem myszy rozpoznawania fake newsów. Chodzi o tzw. *deep fake*, czyli sfałszowane za pomocą sztucznej inteligencji nagrania audio i wideo z rzekomym udziałem znanych osób. – Nauczyliśmy myszy zauważać różnice między dźwiękami „buh" i „guh" w różnych kontekstach, w otoczeniu różnych samogłosek. A skoro potrafią się nauczyć skomplikowanego kategoryzowania składników mowy, wierzymy, że będziemy w stanie je wyszkolić, aby rozróżniały prawdziwe i fałszywe wypowiedzi – tłumaczy jeden z naukowców, Jonathan Saunders. Ustalenie, „jak one to wykrywają", ma umożliwić wdrażanie analogicznych mechanizmów np. w mediach społecznościowych.

FOT. MEMY.PL, AMEM, ANONIMOWY INTERNAUTA, AA/ABACA/EAST NEWS, AFP/EAST NES

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Natalia Czarnecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 95b41e7ff6

Patryk Bułhak

ZAMKNIĘTE

Opowieść o życiu codziennym zwykłych ludzi, których fotograf spotkał w Iranie w miejscach odległych od uczęszczanych szlaków. Rozmawiał z nimi, dał sobie czas na porozumienie z bohaterami. Tak właśnie powstawały portrety kobiet Bandari, zakrywających twarze maskami z metalu, oraz fotografie pasterskich rodzin. Kiedy dotarł na wyspę Hormoz i dostał się do wioski zamieszkanej przez społeczność Bandari, rozpoczął rozmowy, których celem było wyrażenie przez owe kobiety zgody na ich sfotografowanie. Chciał, by była to ich własna i świadoma decyzja, pragnął pokazać nie tylko ich piękne stroje, ale i odwagę, gdyż nigdy wcześniej nikt ich nie prosił o pozowanie, nikt nie robił im nigdy zdjęć. Kobiety Bandari pozostają w cieniu swoich mężów, zgodnie z tradycyjnymi prawami i oczekiwaniami.

LEICA 6×7 GALLERY

WARSZAWA, UL. MYSIA 3

DO 12 WRZEŚNIA

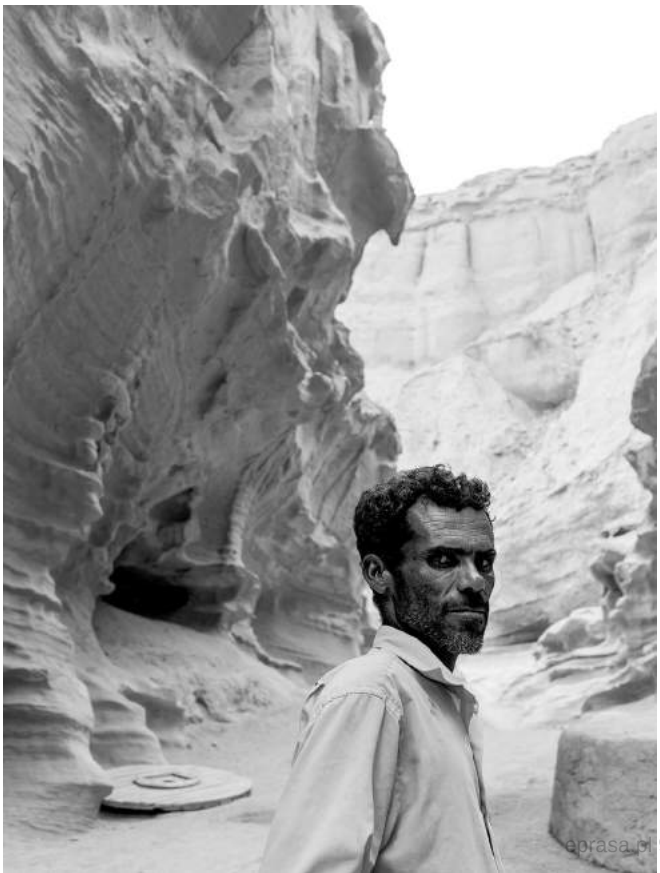

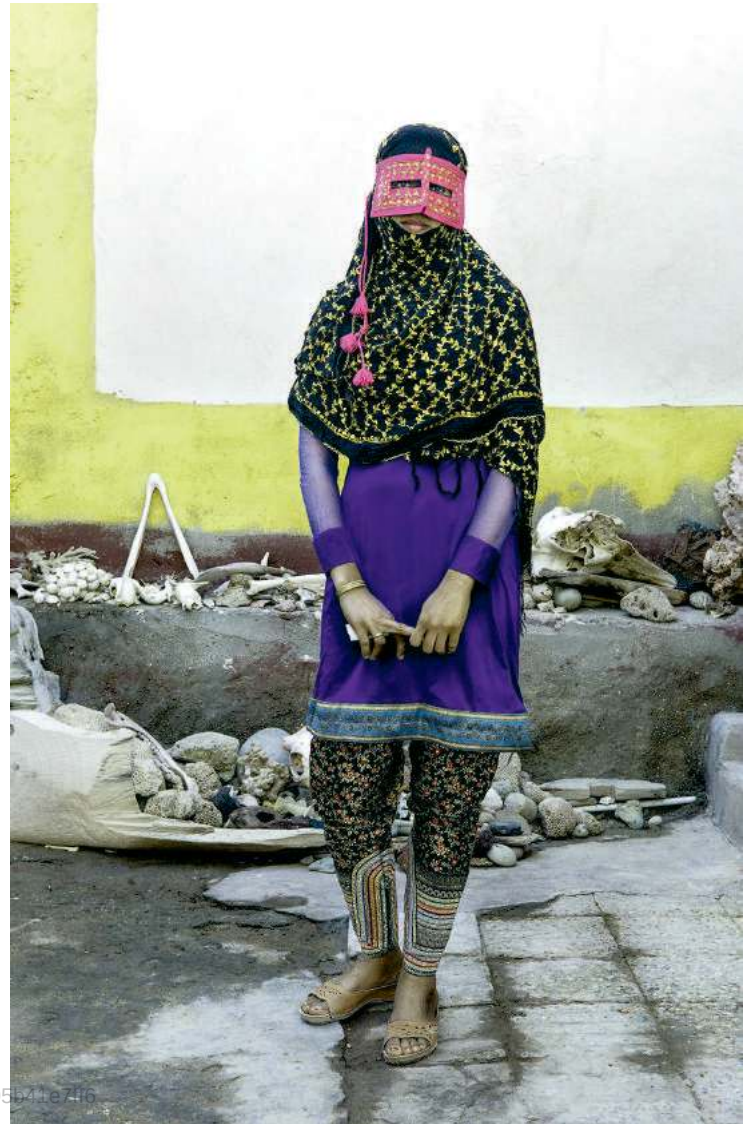

FOT. PATRYK BUŁHAK

eprasa.pl 95.41.e7.f6

WYJĄTKOWE DZIEŁO
Hollywood Reporter

NIEZWYKŁY BALANS POMIĘDZY BAJKOWOŚCIĄ I REALIZMEM
Screen International

PIĘKNE I SATYSFAKCJONUJĄCE DOŚWIADCZENIE
One Room with a View

KINO W TURCJI MA SIĘ DOBRZE
Interia.pl

OPOWIEŚĆ O TRZECH SIOSTRACH

REŻYSERIA EMIN ALPER

W KINACH OD 30 SIERPNIA

AURORA

eprasa.pl 95b41e7ff6

MFF TOKIO
GRAND PRIX

★★★★★
Nie chowa emocji
Bernadetta Trusewicz /FDB.pl

MFF WENECJA
NAGRODA LATERNA MAGICA

★★★★★
Uczciwy i z głębi serca
The Guardian

CEZARY 2019
VINCENT LACOSTE

★★★★★
Urzekający i delikatny
Variety

Vincent **LACOSTE** Isaure **MULTRIER** Stacy **MARTIN**

NA ZAWSZE RAZEM

W KINACH OD 30 SIERPNIA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

STOPKLATKA · sens · wprost · KropkaTV · LAVIE · AKTIVIST · KOBIETA.PL · Platform Channel

epfasa.pl/55b41e7ff6